

ELITA RÓWNYCH
Jak pandemia
zmienia uczelnie

BEZ PRAW
To nie jest kraj
dla zwierząt

PAPIEŻ W SADZAWCE
Wyśmiane dzieło
wcale nie do śmiechu

DWIE TURCJE
Imperium w realu
i w serialu

LATAJ Z POLOTEM
Udręka i ekstaza
w przestworzach

Kraków 11 października 2020 nr 41 (3718)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Skąd się biorą księża

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl



I MIĘDZYNARODOWY THE 1ST MIECZYSLAW KARLOWICZ KONKURS KOMPOZYTORSKI INTERNATIONAL COMPOSERS' IM. MIECZYSLAWA KARLOWICZA COMPETITION

Zapraszamy do udziału
w I Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim
im. Mieczysława Karłowicza

Take part in the 1st Mieczysław Karłowicz
International Composers' Competition

Pula nagród w konkursie to 100 000 PLN
The competition prize fund is 100 000 PLN

NOWY TERMIN!
CZEKAMY DO 31 PAŹDZIERNIKA!
NEW EXTENDED DEADLINE: 31ST OF OCTOBER 2020

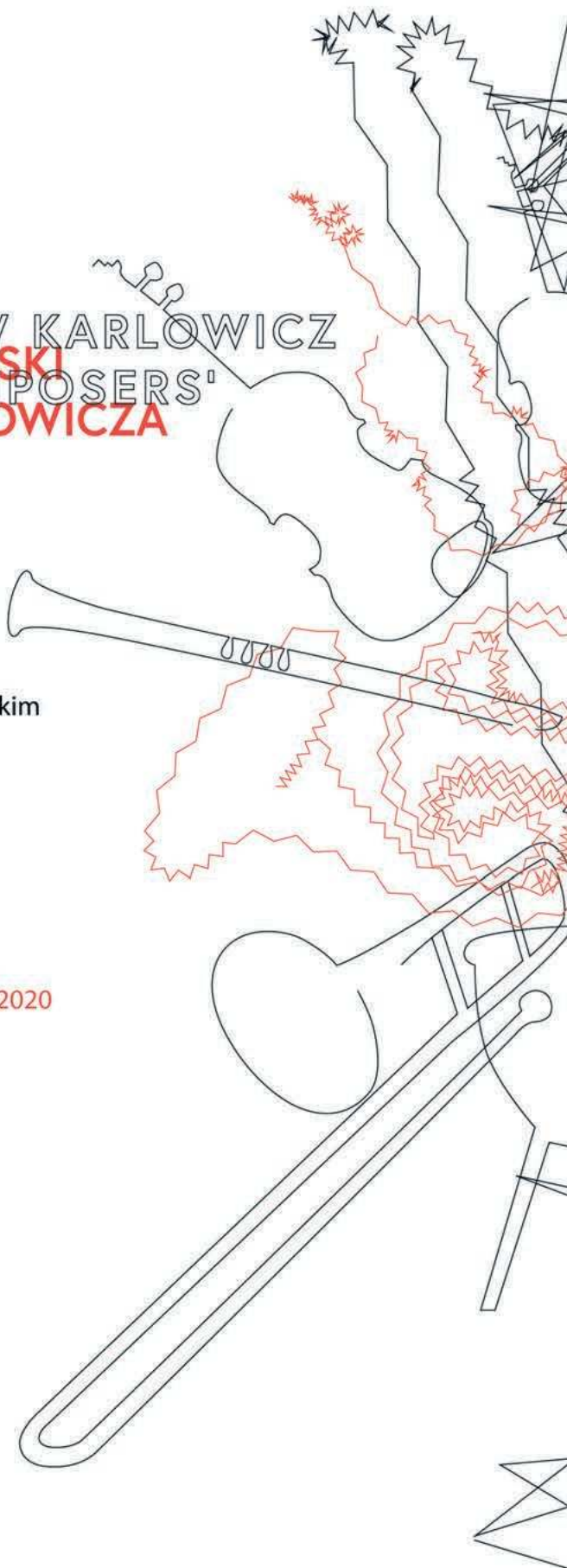
Więcej informacji i zgłoszenia na:
Find more info and apply at:
www.karlowiczcompetition.pl

ZAiKS



*Sprzysianie kulturze to nasz priorytet.
Regularnie organizujemy konkursy
dla twórców różnych dziedzin sztuki.
Jesteśmy jednym z największych
mecenasów kultury w Polsce*

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS



KS. ADAM

Boniecki: Co ich czeka

KTO DZIŚ „IDZIE NA KSIĘDZA”? BYŁY REKTOR warszawskiego seminarium duchownego (w latach 1997–2010) ks. prof. Krzysztof Pawlina, ekspert w dziedzinie formacji przyszłych księży, w książce „Powołania kapłańskie AD 2020” referuje i wnikliwie omawia wyniki ankietowych badań, które na początku roku akademickiego 2019/2020 przeprowadzono wśród wstępujących do seminarium kandydatów do kapłaństwa. Ze wszystkich seminarium diecezjalnych w Polsce – z wyjątkiem czterech, które nie odesłały ankiet – nadeszło 289 odpowiedzi, które poddano analizie socjologicznej. Podobne badania po raz pierwszy przeprowadzono w roku 2000. Teraz wyniki można było porównać.

Wylaniający się z tego badania „portret kandydata do kapłaństwa nie jest idealny” – stwierdza ks. Pawlina i pociesza się, że „dla badanych to dopiero początek drogi. Studia i formacja w seminarium trwają sześć lat”.

O młodych ludziach, których sportretowano i przenicowano, pisze w tym numerze Maciej Müller. Ja zaś patrzę na nich z perspektywy 60 lat bycia księdzem. Zostałem nim niespełna dwa lata przed Soborem Watykańskim II, Franciszek jest szóstym papieżem, którego imię wymieniam we mszy św., dziewięć lat odprawiałem mszę św. po łacinie, tymem do wiernych. A ich co czeka, jakie zmiany w Kościele?

Weźmy zmiany z ostatnich dekad. Stosunek do Kościoła: pozytywną jego ocenę na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku deklarowało ok. 90 proc. Polaków, w 2015 r. 60 proc. Zmiana rozpoczęła się od objęcia władzy przez partię deklarującą wierność wartościom chrześcijańskim. Po roku pozytywne oceny Kościoła spadły do 55 proc., a negatywne wzrosły do 32 proc. Po ukazaniu się pierwszego filmu braci Sekielskich oceny pozytywne spadły do 48 proc. (potem się poprawiły o 5 punktów), negatywne wzrosły do 40 proc. Autorytet Kościoła w Polsce wyparował. Przekonanie o „sojuszu ołtarza



z tronem” sprawia, że 30-40 proc. Polaków widząc, jak bardzo Kościół ogranicza swą funkcję „krytycznego sumienia demokracji”, przestaje praktykować i odchodzi od Kościoła. W ciągu ostatnich 10 lat nastąpił spadek deklaracji wiary u młodzieży o ok. 20 proc. Wzrosła grupa deklarujących się jako niewierzący z 5 proc. w 1996 do 17 proc. w 2018 r.

Jednocześnie znaczenia nabrały nowe formy religijności, jak zainicjowane przez o. Jana Górę spotkania młodych na Polach Lednickich, Kongresy Nowej Ewangelizacji itp. Miejsce kwitujących kiedyś katolickich organizacji zajęły ruchy takie jak Światło-Życie, Droga Neokatechumenalna i inne skupiające, według danych kościelnych, 2,5 mln wiernych.

Przyszli braciszki w kapłaństwie, będzie was znacznie mniej niż nas. W ciągu ostatniej dekady liczba seminarzystów w Polsce spadła z 5,5 tys. do niespełna 3 tys. W 2019 r. naukę w seminarium rozpoczęło 498 kleryków, o 122 mniej niż rok wcześniej. Co roku mniej... Zważywszy, że do święceń dochodzi plus minus połowa... sami widzicie.

Trudno sobie wyobrazić pole pracy dzisiejszych kandydatów do kapłaństwa. Także pod względem finansowym, skoro 80 proc. finansów Kościoła opiera się na ofiarach wiernych, których też ubywa.

Procesy dostosowania się do nowych sytuacji zwykle u nas trwały długo, ale przynosiły dobre rezultaty. Może spadek liczby księży przyniesie dowartościowanie świeckich, zwalczanie seksualnych nadużyć przywróci ludziom Kościoła wiarygodność, a odchodzenie od Kościoła zmusi do odważnej refleksji.

©P

Dane statystyczne oparłem na raporcie Marcina Przeciszewskiego „Kościół w Polsce u progu nowego roku 2020: kryzys i nadzieje”, ekai.pl, 1 stycznia 2020 r.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
MARTYNA WÓJCIK-SMERSKA DLA „JP”

Miej „DOBRE ŻYCIE”!

Wydanie specjalne
bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego”
dostępne w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz jako e-book na powszech.net/dobrezycie

TYGODNIK
POWSZECHNY

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDAŃIA

PDZE
KRD9

Classic

22 Cierpliwość braci mniejszych

KRZYSZTOF STORY

„Piątka dla zwierząt” ma szansę być największym przełomem polskiej polityki przyrodniczej od ponad 20 lat. I to nie jest wcale powód do dumy.



51 Jedwabne szaty i chiński sen

MARIA WIŚNIEWSKA

Moda na tradycję staje się w Chinach coraz powszechniejsza, od kilku lat jest też promowana przez rząd. Do czego komunistom potrzebny jest Konfucjusz i pamięć o cywilizacji Państwa Środka?



32 Skąd się biorą księża

MACIEJ MÜLLER

Kandydaci do seminariów są dziećmi świata, który odchodzi w przeszłość. Czy już jako duchowni uniosą reformę Kościoła?



64 Sny o potęgę w sadzawce

DARIUSZ KOSIŃSKI

Zamiast pikiet protestacyjnych przeciwnicy instalacji Jerzego Kaliny sięgnęli po memy i śmiech. Ale „beka” równie skutecznie zakłóca myśl, jak skandowanie „tu jest Polska!”.



60 Podążaj za wzrokiem

KATARZYNA DZIADOWICZ

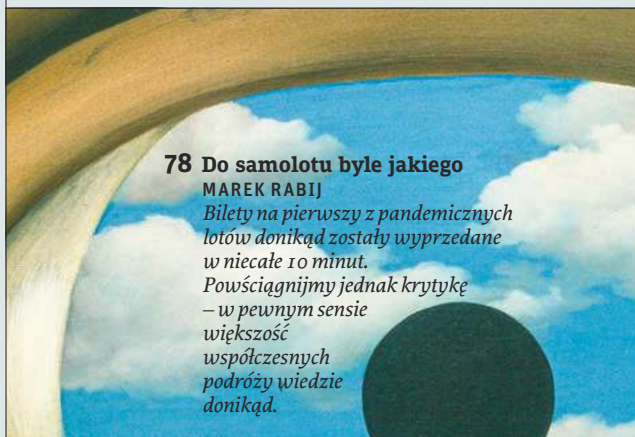
Nauka nie ustaliła jeszcze, czy oczy rzeczywiście są zwierciadłem duszy. Ale na pewno wiele mogą nam powiedzieć o umyśle – naszym i cudzym.



78 Do samolotu byle jakiego

MAREK RABIJ

Bilety na pierwszy z pandemicznych lotów donikąd zostały wyprzedane w niecałe 10 minut. Powściągnijmy jednak krytykę – w pewnym sensie większość współczesnych podróży wiedzie donikąd.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. WYDAWCA

- 6** **Recepta na gorączkę władzy**
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 **Obraz tygodnia**

- 20-21** **Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ /
PAWEŁ ŚPIEWAK /
O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

- 22** **Cierpliwość braci mniejszych**
KRZYSZTOF STORY

- 26** **Wszyscy mówią: nie wiem**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Jak zawodzi system interwencyjnego wspierania dzieci krzywdzonych w rodzinach

- 28** **Obywatelskie espresso**
PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI:
o mieszkających w Polsce Białorusinach

■ ■ **WIARA**

- 32** **Skąd się biorą księża**
MACIEJ MÜLLER

- 36** **Podróż Madonny**
MAGDALENA ŁANUSZKA:
*„Madonna pod jodłami”
Cranacha zachwyca także
złożoną symboliką teologiczną*

- 40** **Czyste światło**
PIOTR SIKORA:
*Modlitwa jest pełnią życia,
nie odrębnym działaniem*

■ ■ **ŚWIAT**

- 42** **Dwie Turcje**
KRZYSZTOF STRACHOTA:
Jakie jest państwo Erdoğan?

- 45** **Fikcja wagi państwowej**
MARCELINA SZUMER-BRYSZ:
*Tureckie seriale i tęsknota
za imperium*

TEMAT TYGODNIKA

JOANNA RUSINEK



12 **Elita równych**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Cyfrowy uniwersytet trzeba wymyślić na nowo.
Odtworzyć w internecie sale wykładowe,
korytarze, a nawet płomienne spory
w kawiarniach i pubach.

16 **Ogród przygód**

ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM KOZIOŁKIEM:

Uczelnia jest ostatnią niezależną instytucją publiczną, która nam została.
Autonomia jednostki, swobody obywatelskie
i polityczne, jakie tu panują, są nieporównywalne
z tymi gdzie indziej.

■ **FELIETONY** ■

- 31** ANNA DZIEWIT-MELLER **54** DOROTA MASŁOWSKA
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCIEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: GRAŻYNA MAKARA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

- 47** **Litewski Trump kontra klan Landsbergisów**
DOMINIK WILCZEWSKI Z WILNA:
Wybory w cieniu pandemii

- 50** **Nie poprosimy nawet o kroplę**
MONIKA ANDRUSZEWSKA
Z KIJOWA:
*Krym dotknęła największa susza
od 150 lat*

- 51** **Jedwabne szaty i chiński sen**
MARIA WIŚNIEWSKA

■ ■ **HISTORIA**

- 56** **Czerwone powojnie**
ZBIGNIEW ROKITA:
*75 lat temu wydawało się,
że komuniści obejmą władzę
także w Europie Zachodniej*

■ ■ **NAUKA**

- 60** **Podążaj za wzrokiem**
KATARZYNA DZIADOWICZ

■ ■ **KULTURA**

- 64** **Sny o potęgę w sadzawce**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI

- 68** **Podróż w krainę ułudy**
DOROTA KOZIŃSKA:
*W Operze Margrabiów
wszystko jest teatrem*

- 72** **Przebudzenie noblisty**
TOMASZ PINDEL:
*Mario Vargas Llosa, zimna wojna
i polityczna propaganda*

- 74** **Bez asekuracji**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmie Agnieszki Holland
„Szarlatan”*

- 76** **Sto lat temu i teraz**
LEKTOR o książce „Największa.
Pandemia hiszpanki u progu
niepodległej Polski”
Łukasza Mieszkowskiego

■ ■ **ZMYŚŁY**

- 78** **Do samolotu byle jakiego**
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

Świat arabski stracił kolejnego sędziwego przywódcę, wyznawcę umiaru i układów jako metody rozstrzygania sporów – o zmarłym emirze Kuwejtu pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Dom: z życia polarnika [Podkast Powszechny]**

Życie na stacji polarnej jest jak mieszkanie z ośmiorgiem rodzeństwa. A arktyczne środowisko podbija wszystkie emocje – opowiada **KACPER WOJTYSIAK**, polarnik i oceanograf
powszech.net/podkast



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

RECEPTA NA GORĄCZKĘ WŁADZY

Szumnie zapowiadana rekonstrukcja rządu nie odpowiada na żadne z wyzwań, przed którymi stoi Polska. To układanka, która ma być receptą na wewnętrzne dolegliwości obozu władzy.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

JAROSŁAW KACZYŃSKI WCHODZI DO RZĄDU PO raz pierwszy od 13 lat nie po to, by wzmocnić władzę w walce z koronawirusem. Porzucił niespieszne życie partyjnego lidera, by zająć się nadzorem nad resortami sprawiedliwości, obrony i spraw wewnętrznych. Pierwszy wniosek z rekonstrukcji rządu – obóz władzy wciąż bagatelizuje sytuację pandemiczną, a na pewno bardziej interesuje się swoją sytuacją wewnętrzną.

Kaczyński przecież wchodzi do rządu, by stłumić wojnę między Mateuszem Morawieckim i Zbigniewem Ziobrą o przyszłe przywództwo na prawicy.

Ale rekonstrukcja mówi wiele także o innych częściach Zjednoczonej Prawicy. Ziobro, choć początkowo buńczucznie zapowiadał sprzeciw wobec ustaw ważnych dla Kaczyńskiego i Morawieckiego, ostatecznie potulnie się cofnął. Znaczący to, że jest jeszcze za słaby na otwartą wojnę o władzę.

Do rządu wraca jako wicepremier i minister rozwoju Jarosław Gowin, który zabrał to stanowisko swej politycznej uczennicy Jadwidze Emilewicz. Pani minister na odchodne porzuciła Porozumienie, co jest kolejnym dowodem na to, że partia ta staje się tworem marginalnym.

*Przed rozmowami
w sprawie
rekonstrukcji rządu
na Nowogrodzkiej.
Warszawa,
28 września 2020 r.*

Powrót Gowina pokazuje też, że Kaczyński puścił w niepamięć jego sprzeciw wobec wiosennych wyborów prezydenckich w wersji korespondencyjnej. Stało się tak, bo – to kolejny wniosek – PiS nie jest w stanie w obecnym Sejmie zbudować żadnej innej koalicji. Podobnie zresztą ma się rzecz z pogroźkami PiS wobec partii Ziobry – karbowi prezesa musieli je szybko porzucić, bo sejmowa arytmetyka jest nieubлагana.

Wejście do rządu Kaczyńskiego i Gowina powoduje, że po raz pierwszy od dojścia Zjednoczonej Prawicy do władzy w gabinecie znajdują się wszyscy liderzy partii koalicyjnych. Zławsza obecność Kaczyńskiego jest zasadniczą zmianą – to osłabienie premiera. Morawiecki stanie się w swym własnym rządzie numerem 2. Ta sytuacja to najpoważniejszy test dla relacji obu polityków od momentu dojścia PiS do władzy.

Jeśli chodzi o organizacyjną stronę rekonstrukcji, to jest ona w dużej mierze pozorna. Łączone są resorty niedawno podzielone (środowisko i klimat), a w miejsce likwidowanych ministerstw powoływane są centralne urzędy (od sportu i gospodarki morskiej). Powstały resortowe potworki, jak Ministerstwo Kultury i Sportu, a Solidarność już protestuje, że nadzór nad rynkiem pracy trafił z resortu rodziny do Ministerstwa Rozwoju liberala Gowina.

Większość ministrów w nowym rządzie to twarze dobrze znane. Nowaliki są dwie. Młody poseł PiS Grzegorz Puda dostał funkcję ministra rolnictwa w nagrodę za to, że przeprowadził przez Sejm ustawę o ochronie zwierząt. Tyle że to na starcie naraża go na wrogi przyjęcie przez wieś. Z kolei znany z walki z osobami homoseksualnymi i teorią *gender* poseł PiS Przemysław Czarnek będzie kształtował polską młodzież – od szkół po uniwersytety. Osobistą decyzją Kaczyńskiego dostał posadę ministra edukacji i nauki. Na froncie walki ideologicznej ma stanowić pisowską konkurencję dla Ziobry.

Kłopoty z tą rekonstrukcją są dwa. Po pierwsze, nawet Kaczyński konfliktu Morawieckiego z Ziobrą już nie powstrzyma. Po wtóre, jeśli koronawirus uderzy w Polskę jeszcze mocniej, to wszystkie te rozszady mogą się okazać funta kłaków warte. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Strome wykresy epidemiczne

TO NIE DRUGA FALA, ale powrót pierwszej, stłumionej marcowym lockdownem – mówi epidemiolodzy (aby mówić o fali epidemicznej, musiałaby ona spowodować infekcję przynajmniej kilkudziesięciu procent populacji). Wielu ekspertów uważa, że marujemy dorobek tamtych tygodni, kiedy udało się przerwać drogi transmisji koronawirusa i uratować Polskę przed losem Włoch. Nie doszło wówczas do eskalacji zakażeń, która zagrażałaby możliwościom systemu ochrony zdrowia, lekarze nie musieli wysyłać chorych do szpitali w innych regionach ani wybierać, kogo podłączyć do respiratora.

Obecnie taka sytuacja nam niestety grozi. Przez kolejny tydzień liczba dziennie wykrywanych przypadków rośnie, osiągając rekord (2367) w sobotę 3 października. Podobnie było z liczbą aktywnych przypadków (w dniu zamykania numeru przekroczyła 25 tys.) i co gorsza – z liczbą hospitalizowanych (między 27 września a 4 października z 2223 do 2977) i pod respiratorami (ze 124 do 191). Dwa ostatnie wskaźniki świadczą o tym, że koronawirus przeniknął do grup zagrożonych ciężkim przebiegiem choroby: ludzi starszych i obciążonych innymi schorzeniami. Z kolejnych województw docho-

dą informacje, że kończą się miejsca w szpitalach. Najdotkliwszym problemem jest niedobór nie tyle samych łóżek czy respiratorów, ale lekarzy i pielęgniarów.

Tymczasem Ministerstwo Zdrowia zmieniło sposób raportowania przebiegu epidemii, wyróżniając dokładnie, ilu chorych zmarło „z powodu współistnienia COVID-19 z innymi schorzeniami”. Prawdopodobnie chodziło o zaakcentowanie, że COVID-19 zabija także osoby nieobciążone innymi chorobami – jak np. 36-latką z Warszawy. Brak wyjaśnień sprawił jednak, że negujący pandemię zaczęli traktować te liczby jako dowód, że koronawirus tak naprawdę nie jest groźny, a umiera się na choroby współistniejące. Zakaźnicy sięgają tymczasem po proste przykłady: jeśli chory od lat żył z „ustawioną” na lekach cukrzycą, a zmarł na zapalenie płuc po zakażeniu SARS-CoV-2, to uśmierciła go nie cukrzyca, ale koronawirus. „On albo dobija, albo zabija” – mówi bez ogródek wirusolog prof. Włodzimierz Gut.

Kluczowe w ograniczaniu zasięgu epidemii jest stosowanie trzech zasad sanitarnych: maseczka, dystans, dezynfekcja. W Polsce przybywa osób ostentacyjnie je łamiących w autobusach, sklepach czy kościołach. Prof. Gut podkreśla, określa, że „gdy 50 proc. społeczeństwa stosuje się do wymagań, mamy obecne wzrosty. Jeżeli 70 proc. zacznie się stosować, to sytuacja się ustabilizuje, jak 90 proc., zacznie spadać”. ©© MACIEJ MÜLLER

Burzliwy finał kampanii

PREZYDENT USA trafił w miniony piątek do szpitala z objawami COVID-19. Jak zapewnił dwa dni później lekarz Białego Domu Sean Conley: Donald Trump czuje się lepiej i niewykłuczone, że wkrótce opuści szpital. Conley przyznał jednak, że u prezydenta odnotowano dwukrotny spadek poziomu tlenu we krwi. W piątek, trzy dni po debacie telewizyjnej z wyborczym rywalem Joe Bidenem, miał wysoką gorączkę i podano mu tlen. Sam pacjent publikuje na Twitterze nagrania, w których przekonuje, że jego stan uległ poprawie. W niedzielę opuścił w limuzynie na kilka minut szpital, by pomachać swym zwolennikom.

To dramatyczny zwrot w kampanii Trumpa: zakażenie nie mogło przynieść w gorszym dla niego momencie. W kluczowych dla wyborów stanach, m.in. Pensylwanii, Wisconsin i Karolinie Północnej, traci on do Bidena 3-6 pkt. proc., a na Florydzie 2 pkt. proc. Choroba to cios dla strategii polityka, który lekceważył zagrożenia związane z pandemią i ro-

bił wszystko, by odwrócić uwagę od swej nieudolnej reakcji na kryzys. Nie wiadomo, czy 15 października weźmie udział w kolejnej debacie. Na kampanijny szlak wróci jedynie wiceprezydent Mike Pence, który otrzymał negatywny wynik testu, i w środę 7 października wystąpi w starciu z Kamalą Harris, kandydatką Bidena na wiceprezydenta.

W Ameryce huczy od spekulacji, co będzie, jeśli stan zdrowia Trumpa się pogorszy. Prezydent jest w grupie podwyższonego ryzyka: ma 74 lata i problemy z nadwagą. Jeśli będzie niezdolny do dalszego sprawowania władzy, jego obowiązki przejmie wiceprezydent. Znacznie trudniejsza byłaby sytuacja, w której konieczne byłoby wyłonienie przed wyborami nowego kandydata na miejsce Trumpa. Tym bardziej że w wielu stanach rozpoczęła się procedura tzw. wczesnego głosowania. Dodajmy, że zakażeni są też pierwsza dama, liczni sztabowcy Trumpa i trzech republikańskich senatorów. Chyba trudno o bardziej burzliwy finał kampanii wyborczej w USA.

© MARTA ZDZIEBORSKA z Nowego Jorku
Czytaj więcej na: powszech.net/usa-covid

Hołownia wyciąga ręce

PAWEŁ BRAVO



BYŁY KANDYDAT NA PREZYDENTA ZAPOWIEDZIAŁ rejestrację partii, która dopełni projekt angażujący energię ludzi pracujących przy jego kampanii. „Nasz ruch ma trzy elementy: głowę, czyli ekspertów z różnych dziedzin życia, którzy pracują nad programami sektorowymi; serce, czyli stowarzyszenie Polska 2050, które grupuje obywateli; ręce – polityków” – tłumaczył podczas konferencji Hołownia. Szefem partii zostanie jednak osoba dotychczas znana z komentowania polityki, a nie jej uprawiania, czyli Michał Kobosko, wcześniej szef sztabu wyborczego. Wspomniana „głowa” to z kolei *think-tank* o nazwie Instytut Strategii 2050, kierowany przez Katarzynę Pelczyńską-Nałęcz.

„Nie, że sobie stworzymy ruch obywatelski, by podnieść notowania i PR, ale to będzie partia, którą ruch obywatelski zakłada” – dodał przy okazji Hołownia, i jest to złośliwa aluzja do projektu Nowej Solidarności. Czyli ruchu, o którym na razie wiadomo tylko tyle, że został pomysły jako „obywatelska” mutacja Platformy niegdyś obywatelskiej, zdolna do zagospodarowania świetnego wyniku wyborczego Rafała Trzaskowskiego. Jednak różnorakie problemy (w tym niejasność co do relacji przyszłego ruchu z partią) sprawiają, że projekt prezydenta stolicy buksuje i ma już trzeci z kolei termin inauguracji.

Hołownia w kampanii nie wypierał się, że docelowo powoła partię, jednak tak szybka decyzja wydaje się wymuszona okolicznościami. Turbulencje w obozie władzy pokazały, że wcale niekoniecznie czekają nas trzy lata flauty przed kolejnymi wyborami. Z drugiej strony jeśli wybory nie odbędą się wcześniej, partii Hołowni grozi los innych politycznych meteorów, które miały być „nową jakością” polityki. To, co każe myśleć o szansach projektu mniej sceptycznie, to programowe równouprawnienie filara eksperckiego i obywatelskiego (któremu jest łatwiej trwać i działać między wyborami). A także fakt, że lider formacji nie ciągnie za sobą ogonów z dotychczasowej pracy partyjnej, mając przy tym spory kapitał rozpoznawalności.

©P

KRAJ W SKRÓCIE

KRONIKA DYPLMATYCZNA

„Wyrażamy nasze poparcie dla wysiłków na rzecz podniesienia świadomości społecznej na temat problemów dotyczących społeczności lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych i interseksualnych” – napisało w liście do polskiego rządu 50 ambasadorów, z reprezentującą USA Georgette Mosbacher na czele.

KRONIKA PRZYRODNICZA

Ekolodzy z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu ustalili, że wiosną 2020 r. woda w Warcie była czystsza niż w poprzednich latach. Przyczyną poprawy sytuacji było zmniejszone nawożenie okolicznych pól – efekt suszy lub epidemii koronawirusa.



MICHEL EULER / AP / EAST NEWS

KRONIKA SPORTOWA

Tenisistka Iga Świątek idzie jak burza przez turniej Rolanda Garrosa w Paryżu, a żużlowiec Bartosz Zmarzlik obronił tytuł mistrza świata. Triumf tego ostatniego podczas zawodów w Toruniu zakłóciły gwizdy kibiców pod adresem Mateusza Morawieckiego.

KRONIKA SĄDOWA

À propos premiera: zdaniem Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego zlecając Poczcie Polskiej organizację wyborów prezydenckich dwukrotnie złamał konstytucję, a przygotowania do głosowania korespondencyjnego odbywały się bez podstawy prawnej.

Koronawirus w szkołach, czyli lekcja statystyki

11 WRZEŚNIA, koniec pierwszego pełnego tygodnia nauki – komunikat resortu edukacji mówi o 124 placówkach pracujących w trybie mieszanym i 50 w zdalnym. Koniec tygodnia drugiego: 246 szkół zamkniętych częściowo i 80 całkiem. Tydzień trzeci: 321 i 106. Czwarty: 458 i 116... W ciągu trzech tygodni działania oświaty w epidemii niemal czterokrotnie wzrosła liczba placówek, które ograniczyły pracę, a ponad dwukrotnie pula tych, które przeszły na tryb zdalny.

Wyniki poselskiej kontroli w MEN eksminister oświaty Krystyny Szumilas malują jeszcze gorszy obraz – hybrydowo bądź zdalnie pracuje 50 tys. dzieci (część jest na kwarantannach, których MEN w statystykach nie uwzględniła). Szumilas ustaliła też, że władza edukacyjna nie wystąpiła do resortu zdrowia ani o testy na koronawirusa, ani o szczepionki na gripę dla nauczycieli. I że nie wiadomo wiele o sytuacji dzieci przewlekle chorych – poza tym, że w poradniach leżą sterty nierozpatrzone wniosków o nauczanie indywidualne.

„Monitorujemy sytuację. Bezpieczeństwo uczniów, rodziców, dyrektorów szkół i nauczycieli jest dla nas najważniejsze” – to zdanie przeklepane jest do kolejnych komunikatów MEN. Ale wedle krytyków niewiele ma ono już wspólnego z rzeczywistością.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Dług spowszedniał

81 MLD ZŁ – to wartość niezapłaconych rachunków i rat kredytów polskich gospodarstw domowych. Czy w dobie kryzysu po świecie finansów poruszamy się z tym samym moralnym kompasem, którego używaliśmy przed pandemią? Sprawdzili to autorzy tegorocznej edycji badania „Moralność finansowa Polaków”, przeprowadzonego przez zespół prof. Anny Lewickiej-Strzałeckiej.

89,9 proc. badanych uważa, że dług to zobowiązanie moralne. W porównaniu z wynikami z pierwszej edycji ankiety, przeprowadzonej w 2016 r., udział respondentów podzielających taką opinię spadł jednak aż o 6,6 pkt. proc. W gronie tych, którzy nie zgadzają się z tą oceną, przybyło głównie (z 1,4 do 6,7 proc.) respondentów mających trudności z odpowiedzią. Polski stosunek do długu powoli się relatywizuje – bo czy niemoralne jest np. stawianie dobra dzieci wyżej od kredytu, którego nie można spłacać po niezawinionej utracie pracy? 46,2 proc. badanych nie widzi też nic złego w oszukiwaniu instytucji finansowych – wiedzona przekonaniem, że one również oszukują klientów.

©P MAREK RABIJ



SIPA / EAST NEWS

Badanie przyczyn zatonięcia promu „Estonia”, Morze Bałtyckie, sierpień 2000 r.

„Estonia”: nowe pytania

ZATONĘŁA W NIECAŁĄ GODZINĘ we wrześniu 1994 r., w środku nocnego sztormu na Bałtyku, w drodze z Tallina do Sztokholmu. Katastrofa promu „Estonia” – najtragiczniejsza, jaka zdarzyła się w czasie pokoju na morzach Europy (zginęły 852 osoby) – na lata zjednoczyła Estończyków, Szwedów i Finów.

W międzynarodowym raporcie z 1997 r. uznano, że prom zatonął na skutek wad konstrukcyjnych furty dziobowej. Rodziny ofiar utrzymywały jednak, że nie tłumaczy to szybkości, z jaką poszedł na dno, i odgłosu metalicznego

uderzenia, który wspominali ocalali. Ich hipotezę – o dziurze w lewej burcie promu, powstałej wskutek zderzenia z obiektem o masie od 1 tys. do 5 tys. ton (spekulowano, że mógł to być okręt podwodny) – uwiarygodnia serial dokumentalny, emitowany właśnie w Skandynawii. Jego twórcy, Henrik Evertsson i Bendik Mondal, powstrzymują się od ocen, ale przedstawiony w nim materiał (m.in. zdjęcia podwodne) został uznany przez władze za wiarygodny i wznowiono dochodzenie. Jeśli podważy ono oficjalne ustalenia, będzie to oznaczać gorzki tryumf dla rodzin ofiar – oraz trudne pytania pod adresem rządów Estonii, Szwecji i Finlandii.

© MARCIN ŻYŁA

COVID-19: wieści z laboratoriów

MUTACJE. Najczęściej występująca w Europie i Ameryce odmianą SARS-CoV-2 jest wirus ze zmutowanym genem odpowiedzialnym za budowę jednej z wirusowych wypustek. Mutacja D614G stała się powszechna wiosną. W wirusowym białku doszło do wymiany jednego z aminokwasów. Według niektórych naukowców to właśnie ta niewielka zmiana ma odpowiadać za nieco łagodniejszy przebieg choroby. Najnowsze badania sugerują, że choć mutant jest bardziej zakaźny i silniej namnaża się w górnych drogach oddechowych niż pierwotny wirus, to jednak jest też bardziej podatny na działanie przeciwciał.

WAKCYNACJE. Przeciwciała możemy zapewnić sobie w bezpieczny sposób dzięki szczepionce. Obiecujące informacje napływają z Massachusetts, gdzie trwają prace nad szczepionką firmy Moderna. Osoby starsze (w tym badaniu 56 lat i więcej) dzięki szczepionce produkują ilości przeciwciał zbliżone do tych, jakie mają ozdrowieńcy. W dodatku jedyne obserwowane skutki uboczne (zmęczenie, ból głowy) były łagodne lub umiarkowane.

REINFEKCJE. Pytanie o to, czy przechorowanie lub szczepienie dają nam trwałą odporność, wciąż pozostaje otwarte. Opis przypadku dwójki pracowników służby zdrowia z Indii, którzy zarazili się ponownie, tym razem bezobjawowo, dał naukowcom asumpt do zadania pytania o częstość takich bezobjawowych reinfekcji i ich wpływ na transmisję wirusa. Ten wpływ może być niedoceniany.

© BARTOSZ KABAŁA

Uruchomiona lawina

KRZYSZTOF STRACHOTA



To, co jeszcze tydzień temu było hipotezą, potwierdza się: walki w Górskim Karabachu – między kontrolującymi ten region siłami ormiańskimi i armią Azerbejdżanu, do którego Karabach nominalnie należy – to regularna wojna, a nie kolejne napinanie muskułów.

Jeśli Azerowie liczyli na *Blitzkrieg*, to się przeliczyli. Postanowili więc wykorzystać swoją ogromną przewagę militarną, dewastując ogniem artylerii i atakami z powietrza obronę Ormian (i ich morale, bo atakują też cele cywilne), aby wtedy dopiero ponawiać ataki lądowe. Na pewno odnoszą sukcesy, choć – jak wszystko na tej wojnie bez dziennikarzy – dyskusyjne lub ograniczone. Ormianie na pewno próbują kontratakować, ostrzelali też odwetowo Gandzę (największe miasto zachodniego Azerbejdżanu). Jednak azerska presja militarna wydaje się trudna do zatrzymania przez walczących *de facto* w osamotnieniu Ormian. Jeśli stan obecny potrwa jeszcze jakiś czas (tygodnie? dni?), perspektywa upadku samozwańczej Republiki Górskiego Karabachu przestanie być fantazją.

O ile nie zatrzyma Azerów jakaś przewrotna fortuna wojenna, trudno, aby zatrzymały ich niemrawe apele Rosji i Zachodu o rozejm – nacjonalistyczna euforia w kraju jest już nie do wyhamowania bez spektakularnego sukcesu. Byłby on strategicznym sukcesem Turcji, wydatnie wspierającej Baku: dla Ankary byłby to, można powiedzieć, puchar Ligi Mistrzów zdobyty na boisku przeciwnika, tj. w rosyjskiej strefie wpływów i kosztem jej klienta, tj. Armenii.

Rosja może i zaakceptowałaby klęskę niestworzonych ostatnio Ormian i rekonkwistę przez Azerów dużej części Karabachu; zapewne zaakceptowałaby też pewien wzrost pozycji Baku i Ankary. Ale na upadek Armenii i utratę choćby „pakietu blokującego” w polityce regionalnej (rolę tę pełnił w dużym stopniu konflikt karabachski) pozwolić sobie nie może. Wydaje się, że najbliższy tydzień to czas na ruch Rosji. Może uruchomi kroplówkę z pomocą dla Ormian, a może poczeka, aż będą musieli przyjąć ratunkową brzytwę... Może Kreml spróbuje zaszachować Turków? A może przeniesie regionalną rozgrywkę do Gruzji (faktyczny łącznik między Azerbejdżanem i Turcją), która w pięciu patrzy na sąsiadów i oczekuje wyborów 31 października?

Tak czy inaczej, Azerowie (i Turcy) chyba uruchomili lawinę.

©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SPROSTOWANIE

Nie można twierdzić, że „udzielenie Komunii na rękę stanowi niebezpieczeństwo profanacji, jeśli wierny z wiarą i szacunkiem prosi o tę formę Komunii. (...) Nikt nie powinien tego sposobu potępiać. Kto zaś to czyni, wprowadza nieład i podział w rodzinie Kościoła” – orzekła Komisja Episkopatu ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów w reakcji na inicjatywę Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. Księdza Piotra Skargi „STOP Komunii świętej na rękę!”. W ramach akcji ukazały się m.in. billboardy.

WYRÓŻNIENIE

Franciszek powołał do Papieskiej Akademii Nauk Fabiolę Gianotti. Jako fizyk doświadczalny zaangażowany w badania cząstek elementarnych w CERN w Genewie w 2012 r. ogłosiła odkrycie bozonu Higgsa. Jest pierwszą kobietą na stanowisku dyrektora tego ośrodka i pierwszym dyrektorem wybranym na drugą 5-letnią kadencję. Gianotti, uczęszczając do liceum klasycznego, zainteresowała się fizyką po przeczytaniu biografii Marii Skłodowskiej-Curie.



WIKIPEDIA

ŚLEDZTWO

Z polecenia Watykanu toczy się dochodzenie w sprawie zarzutów o tuszowanie przestępstw seksualnych księży archidiecezji gdańskiej przez emerytowanego metropolitę abp. Sławoja Leszka Głódzia – poinformował portal Oko.press. Odbity się już przesłuchania przynajmniej czterech świadków.

Przyjmij Innego jak swego bliskiego

PIOTR SIKORA



WENCYKLICE FRANCISZKA „FRATELLI TUTTI” nie ma nic, czego by papież dotąd nie powiedział – a jednocześnie jest to tekst zaskakująco aktualny i potrzebny teraz. Warto, by sprowokował nas do rachunku sumienia.

Encyklika zawiera bowiem przenikliwą diagnozę współczesnej cywilizacji, zarówno na poziomie globalnych mechanizmów ekonomicznych czy politycznych, jak i duchowych schorzeń trapiących życie konkretnych ludzi. Można też w papieskim tekście znaleźć wiele fragmentów trafnie opisujących ciemne strony życia społecznego w Polsce AD 2020.

Papież nie byłby jednak sobą, gdyby nie zarysował zarazem horyzontu nadziei – wizji procesu leczenia owych ciemnych stron. Franciszek chce pozostać realistą, a jednocześnie zaprasza: „Zdobądźmy się na marzenie, jako jedna ludzka rodzina, wędrowcy w tym samym ludzkim cieple, dzieci tej samej ziemi, która jest naszym wspólnym domem, każda i każdy z nas przynoszący bogactwo swoich własnych wierzeń i przeko-

nań, każda i każdy z własnym głosem, siostry i bracia wszyscy”.

Osnową wszelkich bardziej szczegółowych uwag zawartych w encyklice jest antropologia relacyjna, wedle której osoba nie może istnieć w izolacji, lecz staje się wchodząc w możliwe głębokie relacje z innymi osobami. Franciszek wskazuje, że zamknięcie się na Innego – zarówno na poziomie osobistym, jak i na poziomie mniejszych i większych grup, np. wspólnot lokalnych czy narodowych – prowadzi do konfliktów i degeneracji. Zachęca, by świadomość swojej tożsamości łączyć z otwartością na relacje z ludźmi bardzo od nas różnymi.

Niezwykłe w tej encyklice – jako dokumencie *magisterium Ecclesiae* – jest pięciokrotne wymienienie w tekście (nie w przypisach!) osoby Ahmada al-Tayyeba, muzułmanina, Wielkiego Imama uniwersytetu Al-Azhar, jako kogoś, kto papieża inspirował. Franciszek mówiąc coś, jednocześnie robi to, o czym mówi. Spotkanie Innego jest źródłem słów o wartości spotkania. ©P

Nerwowe ruchy rektora KUL

WYJAŚNIAJĄ SIĘ dziwne kroki podejmowane przez niedawno wybranego rektora KUL ks. Mirosława Kalinowskiego względem etyka z tej uczelni ks. Alfreda Wierzbickiego. Na początku września poręczył on za Margot, aresztowaną aktywistkę LGBT+. Rektor odciął się wówczas od poglądów ks. Wierzbickiego, zaznaczając jednocześnie, że „w kwestiach związanych z LGBT+ Uniwersytet w pełni utożsamia się ze stanowiskiem Konferencji Episkopatu Polski”.

Niespodziewanie 29 września Kolegium Rektorskie przekazało „treść wypowiedzi medialnych ks. Wierzbickiego” do oceny Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej, nie podając jednak, o które wypowiedzi chodzi. Ten zaskakujący ruch (i formalnie niejasny, gdyż to rzecznik dyscyplinarny na wniosek rektora bada daną sprawę i ewentualnie przekazuje ją do komisji dyscyplinarnej, a wśród uczelnianych instytucji nie ma „Kolegium Rektorskiego”) wywołał protesty w środowisku naukowym. List w tej sprawie opublikowało 12 czynnych i emerytowanych profesorów KUL, a współpracę z uczelnią zerwał były rektor ks. Andrzej Szostek.

Dopiero 4 października dowiedzieliśmy się, że badane są wypowiedzi krytykujące dokument episkopatu na temat LGBT+. Chodzi zatem o obronę jego głównego autora – bp. Józefa Wróbla, również profesora KUL.

©P ARTUR SPORNIAN

Watykańskie zbiegi okoliczności

„NAZWAŁ MNIE CZŁOWIEKIEM NIEUCZCIWYM, i to przy papieżu, więc straciłem cierpliwość...” – powiedział kard. Angelo Becciu o kard. Georgu Pellu. To dwaj byli współpracownicy Franciszka. Ich perypetie godne są szekspirowskiego pióra. Pell odpowiadał za finanse i podejrzewał kolegę o malwersacje. Wkrótce potem niespodziewanie musiał wyjechać do Australii, by bronić się w sprawie o pedofilię sprzed 40 lat. W więzieniu spędził pół roku, z zarzutów uwolnił go sąd najwyższy. Przypadkiem to Becciu namawiał papieża do odesłania rywala za ocean. A wśród jego wielu podejrzanych transakcji dziennikarze odkryli – zrealizowane w trakcie procesu – przelewy na tajemnicze australijskie konta.

Dziś Pell gratuluje papieżowi pozbycia się nieuczciwego doradcy i postanawia natychmiast wrócić do Watykanu. „Papież go nie wzywał – mówi sekretariat stanu. – To czysty zbieg okoliczności”. Podobnie jak to, że Franciszek pisze o powszechnym braterstwie w świecie, a my czytamy o bratobójczych walkach w Watykanie.

©P EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

ZNAMY NAZWISKA

autorek nominowanych do tegorocznej Nagrody Conrada.

Na wyróżnione przez kapitułę książki Doroty Brauntsch, Joanny Gierak-Onosko, Barbary Klickiej, Doroty Kotas i Urszuli Zajączkowskiej można głosować do 24 października za pośrednictwem strony conradfestival.pl.

KSIĄŻKA REDAKTORA

naszego działu naukowego Łukasza Lamży „Światy równoległe. Czego uczą nas płaskoziemcy, homeopaci i ródzkarze” zwyciężyła w tegorocznej edycji konkursu na najlepszą polską książkę popularnonaukową. Plebiscyt organizowany jest przez warszawski Festiwal Nauki, Instytut Książki oraz miesięcznik „Nowe Książki”. Gratulujemy!

AUTORKA MUZYKI

do filmu „xAbO. Książd Boniecki”, kompozytorka Hania Rani, została niekwestionowaną zwyciężczynią tegorocznej edycji muzycznych Fryderyków, odbierając statuetki aż w czterech kategoriach. Jury hojnie wyróżniło jej debiutancki album „Esja”. Brawo!

W OCZEKIWANIU

na kolejną edycję Konkursu Chopinowskiego, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zaprasza wszystkich melomanów na cykl mistrzowskich recitali i koncertów kameralnych – streaming na kanale YouTube Instytutu.



KRZYSZTOF STRACHOTA

opowie o imperialnych ambicjach Turcji (tekst na s. 42) w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w środę, 7 października, o godz. 15.20. Prowadzenie: Agnieszka Lichnerowicz. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



SLAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA GAZETA

Ornament i zbrodnia

LAUREATEM LITERACKIEJ NAGRODY NIKE 2020

został Radek Rak, autor powieści „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”. Rzecz to osobiwa: klechda osnuta – jak mówi sam autor – na żywej jeszcze w początkach lat 90. wśród mieszkańców podkrakowskich wsi legendzie galicyjskiego Robin Hooda. W tej skomponowanej szkatułkowo opowieści o chłopskiej rabacji postaci fantastyczne funkcjonują na równych prawach z tymi, które znamy z podręczników historii. Rak podsuwa nam jednak wiele więcej: są tu np. autentyczne relacje świadków spisane przez austriacką policję czy pamiętniki głuchoniemego literata i malarza Franciszka Ksawerego Preka. Ale siłą „Baśni” jest przede wszystkim – jak powiedział w laudacji przewodniczący

jury Paweł Próchniak – sam akt snucia opowieści. A jest ona gęsto utkana z wielu tradycji (od kultury oralnej po gry komputerowe), jak i rejestrow literackiego języka (pierwsze „Słowo o Jakóbie Szeli” to Bruno Jasiński), powołująca się w równym stopniu na zmysłowość Leśmiana, co obsesję Schulza. Jeśli Schulz funkcjonuje w prozie Raka jako uwodziciel, pozwalając czytelnikowi bezpiecznie przeniknąć w dziecięcy świat baśni, to spod podszewki tego świata natychmiast wynurza się Leśmian, pod ornamentem pięknego języka skrywający makabryczną pustkę.

„Baśń” to trzecia powieść Raka, praktykującego w Krakowie lekarza weterynarii. Debiutem był sanatoryjny romans „Kocham cię, Lilith” (2014 r.). Wydane dwa lata później „Puste niebo” zdobyło Nagrodę Literacką im. Jerzego Żuławskiego i nominację do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. ©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Klawiatura nie zastąpi pióra. Wer, pisz

WYNIKI BADAŃ AUDREY VAN DER MEER z Norweskigo Uniwersytetu Naukowo-Technicznego przekonują, że pióro, ołówek czy długopis aktywują mózg na sposoby niedostępne dla komputerów czy smartfonów. A to przekłada się m.in. na łatwiejsze zapamiętywanie informacji.

Van der Meer porównywała, które ośrodki mózgu pracują, gdy piszemy tekst na komputerze oraz ręcznie. Zarówno u dorosłych, jak i u dzieci rejony mózgu odpowiedzialne za przetwarzanie bodźców i motorykę aktywowały się o wiele bardziej w tym drugim przypadku.

„Pisanie odręczne daje mózgowi więcej »ha-czyków«, na których formują się wspomnienia. W procesie udział bierze szereg zmysłów: czujemy nacisk długopisu na papier, obserwujemy kształty liter, słyszymy dźwięki wydawane podczas pisania. Te bodźce tworzą powiązania mię-

dzy różnymi rejonami mózgu. Dzięki nim uczymy się lepiej i lepiej zapamiętujemy” – pisze van der Meer w podsumowaniu wyników.

Nie tylko z tego powodu nie powinniśmy rezygnować z nauki pisania piórem w szkołach. „To powolny proces, ale też ważna faza, przez którą dzieci powinny przejść. Złożone ruchy dłoni i kształtowanie liter dają im kilka korzyści” – tłumaczy van der Meer, apelując o zwiększenie nacisku na pisanie i rysowanie w procesie nauczania. „Jeśli piszesz przy pomocy klawiatury, w przypadku każdej litery powtarzasz ten sam ruch. Pisanie odręczne wymaga precyzyjnej kontroli nad mięśniami i zmysłami”.

Słowem, uzależnienie od klawiatur może odpowiadać za coś więcej niż epidemię zespołu cieśni kanału nadgarstka. Czas powiedzieć: pisarze (wróćcie) do piór? © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ELITA RÓWNYCH

Cyfrowy uniwersytet trzeba wymyślić na nowo.
Odtworzyć w internecie sale wykładowe, korytarze,
a nawet płomienne spory w kawiarniach i pubach.

TEKST MARCIN NAPIÓRKOWSKI

ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

WMIARĘ, JAK ZBLIŻA SIĘ ROZPOCZĘCIE roku akademickiego, gazety wypełniają się czarnymi wizjami. Podobnie jak moja skrzynka mailowa, przez którą przetacza się właśnie kilka dyskusji o zdalnym nauczaniu i przyszłości uniwersytetu.

Przeprowadzka do sieci – przekonują moi koledzy – pozbawi nas dyskusji do białego rana i szansy na czerpanie z wielowiekowego etosu, spotkań przy kawie, albo i piwie. Bo zajęcia, oceny, semestry i indeksy (od dawna wirtualne) to nie wszystko. Uniwersytet to więcej niż tylko suma wszystkich ćwiczeń i wykładów.

Co właściwie ten lęk przed utratą zakorzenienia w Rzeczywistym mówi nam o współczesnej republice uniwersyteckiej i jej obywatelach?

Wielkie Rozdzielenie

Istotą nowoczesności było Wielkie Rozdzielenie – profesjonalizacja, rozwój in-

stytucji, przede wszystkim zaś nakreślenie wyraźnych granic między domem a pracą i szkołą. Najważniejsze instytucje nowoczesności oparte są na kulturowym podziale pracy i wiedzy. Rozpoznajemy precyzyjnie zdefiniowaną przestrzeń, w której żyjemy (odpoczywamy, spędzamy czas z rodziną), oraz przestrzeń, w której pracujemy. Jest także oddzielna przestrzeń, w której nauczamy i jesteśmy nauczani. W przednowoczesnych społeczeństwach agrarnych wszystkie te domeny pozostawały połączone. Granice między rolami ojca, pracownika/pracodawcy i nauczyciela były płynne.

Uniwersytet lubi wspominać swe średniowieczne, a nawet antyczne tradycje, sięgając do Akademii Platońskiej niczym książęta wywodzący swe rodowody od Karola Wielkiego, Cezara albo i Noego. W swej współczesnej formie jest jednak przede wszystkim dzieckiem nowoczesności. Bratem nowoczesnego korpusu

urzędniczego, fabryki i powszechnej szkoły; wynikiem opisywanego przez Maksa Webera procesu odczarowywania i racjonalizowania świata.

Choć wizja „zamiany uniwersytetu w fabryki studentów” jest tym, przed czym przestrzegają dziś krytycy zmian, w rzeczywistości nowoczesna akademia już od dawna jest fabryką w bardzo głębokim sensie. Dawne kultury oparte wyłącznie na rzemiośle nie znały doskonałej powtarzalności stołów, krzeseł i koszul, jaka cechuje nasz świat Ikei i odzieżowych sieciówek. Utrata niepowtarzalności każdego przedmiotu jest ceną, którą zapłaciliśmy za radykalne obniżenie ceny wielu dóbr, co z kolei zaowocowało ich demokratyzacją i powszechną dostępnością (niepowtarzalność pozostaje dziś luksusem, na który pozwolić sobie mogą wyłącznie sztuka czy rękodzieło).

Podobnie rzecz ma się z wiedzą. Powszechna szkoła i jej starszy brat, uni-



wersytet, oferują dziś szeroki dostęp do wiedzy za cenę odejścia od prawdziwie indywidualnego nauczania. Nie tylko nauczanie, lecz także produkcja wiedzy w ramach akademii zostały poddane standaryzacji poprzez podział na dyscypliny i wydziały, standardowe procedury publikacyjne i recenzyjne, konkursy grantowe itp.

Najistotniejsze jest jednak, że uniwersytet pozostaje wydzieloną czasoprzestrzenią, która rości sobie prawo do autonomii od reszty rzeczywistości. To, wbrew pozorom, także cecha, która łączy nas z fabryką, urzędem czy koszarą. Gdy zabrzmi fabryczna syrena, reguły świata na osiem godzin ulegają zawieszeniu, robotnik staje się wyłącznie ciałem wykonującym precyzyjnie opisane, zmechanizowane czynności, które są na tyle skomplikowane, że wciąż jeszcze nie oplaca się ich zastąpić maszyną. Podobny proces sygnalizuje szkolny

dzwonek, odbierający z kolei (poza lekcjami WF) całą cielesność i redukujący ją do chłonnego wiedzę umysłu, ewentualnie piszącej w zeszycie ręki. Na uniwersytecie nie ma syren ani dzwoneków. A jednak rozbrzmiewają one w naszych głowach.

Wielki Kryzys

Prekaryzacja, czyli „uwolnienie” pracy od tradycyjnych ram związanych z etatem i stałością wykonywanego zawodu, popularność wymuszonego i dobrowolnego samozatrudnienia czy doraźnych zleceń, uberyzacja, praca zdalna, *outsourcing* zacierający granice pracowniczego społeczeństwa, przestrzenie coworkingowe coraz bardziej przypominające szalone place zabaw dla dorosłych, do tego edukacja zdalna, umożliwiająca uczenie się przez całe życie, wizja nieustannego przebranzawiania się, pościg za uciekającym rynkiem pracy... Wszystko to dzieje

się na naszych oczach od dobrych kilku dekad!

Wiara w zbawczą moc konkurencyjności zwycięża z dogmatem stabilności. Tam, gdzie wczoraj wierzono, że tylko inwestycja w infrastrukturę i rozwój pozwoli na nieskończoną niemal, taśmową reprodukcję bogactwa, dziś głosi się kult elastyczności, jakiego nie powstydziliby się nomadzi.

Jeżeli nie możesz w jedną noc zwinąć swojej fabryki, ścieżki kariery, edukacji czy rodziny i przenieść ich na drugi koniec świata – nie będziesz zwycięzcą w nowym, wyłaniającym się porządku. Lokalność świetnie się sprzedaje, ale nie gwarantuje bezpieczeństwa. W XXI wieku musisz współpracować z całym światem i z całym światem konkurować. „Wszystko, co trwałe, rozplywa się w powietrzu”. Najszybszej zaś erozji ulega etos pracowniczej wspólnoty – bycia razem, ku wspólnemu celowi. ➔

→ Ta sama logika stoi za erozją wielu struktur nowoczesnego państwa narodowego, które – poszukując elastyczności i oszczędności – coraz więcej prerogatyw ceduje na zewnętrzne podmioty. Od sprzątaczek i ochroniarzy w szacownych instytucjach zatrudnianych na skandalicznych warunkach przez firmy zewnętrzne w celu redukcji kosztów aż po całe ustawy pisane przez wyspecjalizowane kancelarie. Z tej perspektywy pandemia nie jest rewolucją. Zaraza jedynie przyspieszyła i uwydatniła mechanizmy dogłębnie przekształcające nasze społeczeństwo od lat.

Uniwersytet nie jest wyjątkiem. Dotyczyć go te same procesy. Od lat akademie mierzy się z prekaryzacją naukowców skazanych na coraz dłuższe tułaczki po stażach i grantach w pogoni za uciekającym etatem. Studenci nieustannie zmieniają wydziały i kierunki, rzucając wyzwanie utartym ścieżkom dydaktyki. Wykładowcy i studenci zmuszeni są żonglować rolami i formami zatrudnienia, a personel sprząający na wielu wydziałach zatrudniany bywa w ramach przetargów realizowanych przez firmy zewnętrzne, co nierzadko prowadzi do skandalicznych nadużyć.

Rozmywa się podział między nauką i pracą, między domem i uniwersytetem, który wielu swym pracownikom nie zapewniał przecież nawet biurek, nie wspominając o gabinetach. Wobec postępów digitalizacji źródło uświęcony status straciła nawet biblioteka. Coraz częściej pracujemy oddzielnie, obok siebie, a nasze wysiłki synchronizuje kolejny zaawansowany system zarządzania projektem. Granice wspólnoty pracujących i uczących się razem zacierają się. To wielkie wyzwanie dla międzyludzkiej solidarności, etosu uniwersytetu i jakości kształcenia.

Ale niekoniecznie koniec świata.

Wieża z kości słoniowej

Problem z tego rodzaju diagnozami polega bowiem na tym, że gdy zaczniemy od opisu rozpadu dawnych wspólnot, zastany porządek wydaje się czymś, czego w oczywisty sposób powinniśmy bronić. Z punktu widzenia *status quo* każda zmiana wydaje się zmianą na gorsze.

Tymczasem na uniwersytecie spojrzeć można z innej strony. Wiele prowadzonych na całym świecie badań skupionych na społecznych skutkach „ukrytego programu” uniwersytetu (chodzi o owe

kawy, piwa i nocne dyskusje) wskazuje wyraźnie na negatywne skutki w postaci reprodukcji klasowych podziałów i kapitałów społecznych. Na uniwersytecie najlepiej radzą sobie ci, którzy przychodzą nań z gotowym formatowaniem. Dzieci wykształconych rodziców (najlepiej z rodzin profesorskich, oczywiście), po elitarnych liceach, z dużych ośrodków miejskich. Powtarzające się od lat w październiku rytualne narzekanie na masowość współczesnych studiów i coraz słabsze przygotowanie kandydatów, na brak kindersztuby i maile zaczynające się od „Witam!” to, przynajmniej w pewnym stopniu, wyraz tęsknoty za niezakłóconą reprodukcją elit. Podobnie jak krytyka

Powszechna szkoła i jej starszy
brat, uniwersytet,
oferują dziś szeroki dostęp
do wiedzy za cenę
**odejścia od prawdziwie
indywidualnego nauczania.**

spadająca na głowy studentów, którzy „nie chcą się w pełni poświęcić studiom”, godząc je z pracą zarobkową.

Najlepiej widać to za oceanem. Wśród zarządzających amerykańskimi uniwersytetami od kwietnia panuje panika. Przerazenie wzbudza m.in. odpływ studentów zagranicznych, którzy płacili wyższe czesne, zawieszenie rozgrywek sportowych, przynoszących gigantyczne dochody bezpośrednio i pośrednio (np. przez sprzedaż koszulek). Wielu studentów nie chce także płacić pełnego czesnego za naukę *online*, gdyż dawniej godzili się na inwestycję horrendalnych sum z pieniędzy rodziców lub pożyczonych, licząc na zwrot w postaci bezcennego networkingu. Anglosaskie uniwersytety są bowiem w większości nastawione na zamieszkiwanie studentów na kampusie i stanowią niejako naturalne przedłużenie elitarnych *boarding schools*, oferując całociowe doświadczenie formujące, silne więzy, ale też wolność od rodziców (a także wolność rodziców od

dzieci). Zaporowe czesne jest więc w zasadzie opłatą za reprodukcję klasowych przywilejów.

Przeciętny dochód rodziny studenta Harvardu to niemal 169 tys. dolarów rocznie, trzykrotność mediany dochodów w USA. Aż 15 proc. studentów pochodzi z grupy 1 proc. najbogatszych obywateli. Podobnie jest na pozostałych najbardziej prestiżowych uczelniach. W ten sposób uniwersytety stały się narzędziem reprodukcji prestiżu i strukturyzowania społeczeństwa poważnie ograniczającym mobilność.

Polskim uczelniom daleko do tych amerykańskich nie tylko pod względem miejsc w rankingu. Uniwersytety Warszawski czy Jagielloński w znacznie mniejszym stopniu zależą od czesnego, a dochody z tytułu sprzedaży biletów na wydarzenia sportowe i koszulek są u nas właściwie zaniedbywalne. A jednak słuchając po raz tysięczny historii o dyskusjach po świt, uniwersyteckim etosie i kawie z wykładowcami raz po raz zadaje sobie pytanie, czy w chaosie toczącej się wojny o przyszłość świata bronimy aby na pewno właściwych szanców? Czy te aspekty uniwersytetu, o które drżymy teraz najbardziej, są faktycznie narzędziami budowania wspólnot i sieci solidarności? A może przeciwnie? Może przyczyniają się do fragmentaryzacji społeczeństwa i dzielenia go na oderwane od siebie archipelagi, które nadchodzące tsunami uberyzacji zatopi bez trudu?

Oczywiście uniwersytety powinny tworzyć elitę. Taka jest ich misja. Ważne jednak, by nie robiły tego w myśl starej tramwajowej zasady: gdy już wsiądziesz do zatłoczonego wagonu, pilnuj, by na kolejnych przystankach drzwi nie otwierały się zbyt szeroko.

Cyfrowe burzenie Bastylii

Liczne badania sugerują, że rozwój edukacji *online* (w trybie mieszanym lub całkowicie zdalnym) może być istotnym narzędziem rozbijania monopolu elity, wspierania mobilności i docierania z wykształceniem do grup wykluczonych.

To nie tylko teoria. Od lat nie brakuje też konkretnych historii sukcesów. Michael Crow stojący na czele Arizona State University, w mojej ocenie jedna z najciekawszych postaci na współczesnej mapie zarządzania edukacją wyższą, jest jednym z nielicznych prezydentów uniwersytetów, którzy na COVID-19 patrzą z pew-

nym spokojem. W licznych wystąpieniach podkreśla, że Arizona State University przygotowywał się na epidemię od dawna, choć jego władze nawet o tym nie wiedzieli. W trosce o większą demokratyzację wiedzy i stworzenie oferty dydaktycznej dopasowanej do potrzeb różnych studentów placówka od lat rozwijała kursy *online* i w trybie mieszanym, prowadząc jednocześnie staranną ewaluację efektów kształcenia i pracując nad mechanizmami minimalizującymi negatywne skutki odcięcia od „kampusowego życia”.

To bardzo ważne, bo z badań wiemy też, że edukacja *online* działa odmiennie od tej prowadzonej twarzą w twarz. Nie jest gorsza ani lepsza, ale właśnie inna. Uważna obserwacja (którą zresztą narzędzia *online* ułatwiają) sugeruje, że olbrzymie znaczenie mają tu np. różnorodne „style poznawcze” samych studentów. Ci, którzy dobrze przyswajają wiedzę kanałami wizualnymi, wyraźnie lepiej radzą sobie w zdominowanych przez tekst i obraz środowiskach *online* niż na kampusie, wciąż podporządkowanym dyktatorowi słowa mówionego.

Nie do przecenienia jest też stała i konstruktywna informacja zwrotna od wykładowców, która według wszystkich niemal badań stanowi kryterium decydujące o sukcesie bądź porażce kursów *online*. Zaskakująco istotna (ważniejsza niż w przypadku kursów na kampusie) okazuje się też satysfakcja studentów, która w środowisku *online* bardzo silnie koreluje z uzyskanymi wynikami. Przekonującą hipotezą wyjaśniającą to zjawisko jest wpływ przyjemnego doświadczenia na zdolność do samodzielnego zmotywowania się do pracy i zarządzania czasem. Czynniki te są w nauczaniu *online* (zwłaszcza asynchronicznym) w oczywisty sposób ważniejsze niż na kampusie, gdzie rytm dnia wyznacza nam (przynajmniej w teorii) porządek kolejnych wykładów.

To wszystko konkretne wskazówki, którymi powinniśmy się kierować przy budowaniu edukacji zdalnej. Przy pełnej świadomości, że *online* nie pójdzie się na razie na piwo i lody, mamy do wyboru dwie drogi: albo załamać ręce i narzekać, albo spróbować do maksimum wykorzystać nowe narzędzia.

Przy tym wszystkim trzeba zdawać sobie sprawę, że badania przeprowadzone nawet kilka lat temu kompletnie nie od-

zwierciedlają dynamicznie zmieniającą się rzeczywistość i bez wątpienia zaniżają skuteczność transmisji wiedzy *online*, a także budowania przy użyciu narzędzi cyfrowych trwałych i głębokich więzi międzyludzkich. W ciągu ostatniej dekady wszyscy (a zwłaszcza najmłodsze pokolenie) nauczyliśmy się znacznie lepiej korzystać z cyfrowych narzędzi, w szczególności tych mobilnych, związanych z „bezpośrednią transmisją doświadczenia” czy nawet rzeczywistością rozszerzoną i wirtualną. Pokolenie obecnych studentów odruchowo chwytą za telefon, gdy dzieje się coś ważnego albo nawet i nieważnego. Dzięki mediom społecznościowym rodzą się nowe ruchy

Granice wspólnoty uniwersyteckiej właśnie się zacierają.

Sieć to wielkie wyzwanie dla etosu uniwersytetu i jakości kształcenia.

społeczne i polityczne, zawiązując protesty, rozprzestrzeniając memy z kotkami, rzeźbami i opinie o modnych knajpach. Czy nam się to podoba, czy nie, ekrany są dla młodych ludzi podstawowym narzędziem nawiązywania i utrzymywania relacji społecznych, wspólnego odbioru kultury, flirtowania i przyswajania wiedzy.

Facebook, Twitter, YouTube czy TikTok są wirtualnymi czasoprzestrzeniami, do których wchodzimy, przenosimy się, w których spotykamy obcych i bliskich, nawiązujemy nowe znajomości, przyswajamy wiedzę, w których znikamy niezauważalnie na całe dni.

Nowe szanse

Nowoczesne fabryczne ściany, które gwarantowały stabilność i bezpieczeństwo m.in. uniwersytetowi, były zarazem murami, które dzieliły ludzi. Jeżeli z tej strony spojrzeć na wymuszone przez pandemię zmiany na uniwersytecie, może

się nagle okazać, że mamy do czynienia nie ze śmiertelnym zagrożeniem, lecz z szansą. Szansą, by nie odwlekać dłużej zmian, które i tak trzeba by przemyśleć i podjąć. Szansą, by cyfrowe narzędzia wykorzystać nie do podwyższania starych uniwersyteckich murów, lecz do przerzucania nowych mostów. Nie damy rady zawrócić biegu dziejów, tak samo jak nie zawrócili go luddyci, rozbijający maszyny i protestujący przeciw upadkowi agrarnego, feudalnego porządku.

Od nas zależy natomiast, czy cyfrowe narzędzia potęgimy w czambuł, jako niepozwalające na wspólne piwo i kawę, czy też weźmiemy aktywny udział w walce o kształt nowego, cyfrowego świata. I naszym marzeniem będzie przeniesienie kampusowego doświadczenia do sieci w skali 1:1, porażka jest nieunikniona. Nie da się po prostu prowadzić zajęć jak dawniej, tyle że przed kamerą. W pełni rozumiem frustrację wykładowców, którzy czegoś takiego po nowych narzędziach oczekiwali. Cyfrowy uniwersytet trzeba, przynajmniej do pewnego stopnia, wymyślić na nowo. Odtworzyć nie tylko wirtualne sale wykładowe, lecz także wirtualne korytarze, a nawet płomienne spory w kawiarniach i pubach. Kilka lat temu przespałobyśmy moment, w którym uniwersytecki system USOS mógł się stać wielofunkcyjną platformą tworzącą cyfrowe doświadczenie bycia razem. Ale może nie ma tego złego. Teraz trzeba się rozzejrzeć wokół w poszukiwaniu gotowych narzędzi, z których każdy wydział, a nawet każdy wykładowca, może stworzyć unikalną kombinację.

Za dwa tygodnie zaczynam swoje pierwsze kursy *online*. Nie będę oszukiwał – boję się straszliwie. Kontakt z zebraną w wykładowej auli publicznością dawał mi mnóstwo energii i satysfakcji. Jeżeli jest coś trudniejszego niż nauczanie przed ekranem, to chyba tylko opowiadanie dowcipów do czarnych kwadratów symbolizujących wyłączone kamerki słuchaczy. A dowcipy zawsze były dla mnie kluczowym narzędziem dydaktycznym. Wierzę jednak, że uniwersytet wyjdzie z tej próby zwycięsko. Zapustymy mocne korzenie w nowych, wirtualnych światach, by jeszcze skuteczniej walczyć o to, co dla nas ważne.

A pewnego dnia wymyślimy wirtualne piwo.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Ogród przygód

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK, REKTOR UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO:

Uczelnia jest ostatnią niezależną instytucją publiczną, która nam została. Autonomia jednostki, swobody obywatelskie i polityczne, jakie tu panują, są nieporównywalne z tymi gdzie indziej.



KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy rok temu pomyślałby Pan, że czymś powszechnym stanie się zdalne nauczanie?

RYSZARD KOZIOŁEK: Nawet to przewidziałem. Zaczęło się od niepokoju związanego z wszechobecnością urządzeń elektronicznych, które zaczęły odciągać uwagę od studiowania w tradycyjny sposób, czyli poprzez lekturę tekstu. Obaślałem się, że ich rosnąca potęga w pewnym momencie wchłonie uniwersytet, w ogóle kształcenie.

Dręczyła mnie myśl, że w końcu powstanie urządzenie na tyle pojemne, poręczne i możliwe do obsługi głosem lub samą myślą, że uznamy za anachronizm przebywanie w sali wykładowej i słuchanie jednego starszego od nas człowieka. Te myśli prześladowały mnie od lat, a teraz przez epidemię łapię się na nich coraz częściej. Właściwie można powiedzieć, że jestem trochę „preppersem”.

Aż tak? Czyli wierzy Pan w rychły koniec świata, dlatego gromadzi wiedzę na temat przetrwania.

Takie przeczucie miałem w 2006 r., tuż przed wielkim kryzysem ekonomicznym – ruiną banków, bankructwem Islandii i innych miejsc na świecie. Zaczęłem wtedy fantazjować o piwnicy, w której trzymam słoje z przetworami, beczkę kapusty oraz dwa metry ziemniaków. Słowa, że żyję z minimum, jak moi przodkowie. Wówczas z przerażeniem uświadomiłem sobie, że moi dziadkowie i rodzice byli lepiej przygotowani do życia poza systemem państwa niż ja – mimo skoku cywilizacyjnego, którego dokonało moje pokolenie.

Ciekawe, bo tamte pokolenia żyły w świecie podobnym do naszego.

Lecz gdyby nagle odłączono im prąd i odcięto ich od budżetu, to oni by spokojnie pół roku funkcjonowali, a my byśmy zostali na lodzie. Dotarło do mnie wtedy, jak silne jest nasze uzależnienie od wielkich systemów – bankowych czy energetycznych – i jak łakomie karmimy się

RYSZARD KOZIOŁEK jest rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Stały współpracownik „Tygodnika”. Niedawno ukazała się jego książka „Wiele tytułów”. Na zdjęciu: w przestrzeniach swojej uczelni, Katowice, 2016 r.

złudzeniem, że żyjemy w bezpiecznym świecie.

Jaka jest w tym wszystkim perspektywa dla uniwersytetu?

Zobaczyłem ją jako aplikację na smartfona. Byłem przerażony. Właściwie jesteśmy o krok od tego – narzędzia już istnieją. Kwestia, czy ta wizja się ziści.

To możliwe?

Najpierw wyobrażałem to sobie jako niemożliwą dystopię, śmiejąc się z samego siebie. Tyle że coraz trudniej było mi znaleźć argumenty, dlaczego miałyby to być niemożliwe. Kiedy z kolei starałem się zebrać argumenty, by przekonać samego siebie, że to niemożliwe, do głowy przychodziły mi wyłącznie sentymentalne odpowiedzi.

Sentymentalne?

Sprowadzające istotę uniwersytetu do kontaktu mistrza z uczniem.

Ale przecież technika ułatwia pracę naukową pod każdym względem. Nie trzeba robić ksero, tekst można sfotografować komórką – jest szybciej, prościej, taniej. Pandemii, jak pisze Marcin Napiórkowski, można też potraktować jak szansę, by nie odwlekać na uczelniach większych, systemowych zmian.

Pełna zgoda: ogromnym luksusem są możliwości techniczne i swobodny dostęp do dóbr kultury – czytania, oglądania i słuchania. Ta rewolucja wydarzyła się w ostatniej dekadzie. Bo w moim i pani doświadczeniu pokoleniowym, ludzie urodzonych w latach 60. i 70., istnieją syndrom biblioteki jako twierdzy ze straszną panią bibliotekarką, która nie pozwala dotykać książek, zwłaszcza tych lepszych; książka, którą by się chciało przeczytać, zazwyczaj jest wypożyczona; a gdy staje się cud i dostajesz ją do ręki, trzeba ją zwrócić za trzy godziny.

Albo: książka, którą chcesz pożyczyć, została ukradziona.

I to się skończyło, tak jak nagle zniknęły granice – nastąpił cud kulturowego Schengen: jedziesz, gdzie chcesz, nikt cię nie zatrzymuje, czytasz, co chcesz i jak chcesz – w papierze czy na czytniku. Można zdobyć błyskawicznie niemal każdą pozycję. To jest cud cywilizacyjny i dziwi się, że ludzkość jeszcze nie ogłosiła święta

ku czci demokratyzacji kultury: nie celebry, nie tańczy, nie wychodzi na ulice.

Może powinniśmy celebrować też fakt, że nasza pamięć jest mniej obciążona za sprawą możliwości natychmiastowej weryfikacji informacji w internecie? Dzięki temu możemy skupić się na czymś innym. Na czym?

Choćby na refleksji dotyczącej ludzkiej kondycji.

Powątpiewam mocno, czy fenomenalne protezy pamięci, jakimi są smartfony, robią miejsce w naszych umysłach na kwestie istotne. Jeśli tak by było, edukacja powinna dawno już się zmienić, a na razie tego nie zauważyłem. W nauczaniu powinniśmy się zajmować tym, czego nie da się znaleźć w Wikipedii. Możemy sobie darować całą „pamięciówkę”, bo nosimy w kieszeni internetową encyklopedię i wszelkie archiwa, a pewnie jeszcze za naszego życia będzie możliwość transmisji danych bezpośrednio do ludzkiego umysłu. Tyle że ja nie dostrzegam, by człowiek odciążony tą już w istocie biopamięcią zaczął skupiać się na rzeczach naprawdę ważnych.

A co Pan widzi?

Nie pozbywamy się tego, co zbędne, tego, o czym nie musimy pamiętać, nie magazynujemy nadmiaru na smartfonach, tylko dokładamy do umysłu kolejne wagony informacji. Efekt jest taki, że brakuje w naszych głowach miejsca na analizę własnej świadomości, na ulepszenie relacji z innymi ludźmi, na racjonalne gospodarowanie emocjami.

Umysł jest też przemęczony ilością dostarczanych mu bodźców.

A student żyje równocześnie w kilku rzeczywistościach i to jest naturalne, że coraz trudniej skłonić go do dłuższej koncentracji na jednym problemie, np. na zdaniu z opowiadania Schulza.

Pracując z takim studentem wykładowca musi wymyślać specjalne atrakcje?

Student wcale nie żąda atrakcji, on sobie ją zapewnia sam. To nie odbywa się w ten sposób, że na zajęcia przynoszę „Księgę obrazów” z rysunkami Schulza i mówię: „O, patrzcie, jakie to niezwykłe”. Student to sobie sam zorganizuje,

na dodatek szybciej niż nauczyciel jest w stanie powiedzieć „dzień dobry”. Natomiast istnieje rzecz niezmienna: ktoś po raz pierwszy musi mu powiedzieć, że Schulz stworzył coś niebywałego. W tym punkcie wracamy do starego modelu nauczania. Emmanuel Levinas, który żył w innych czasach, nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierza świat, sformułował prorocze zdanie: „mistrz stawia opór anarchii ucznia”. To najlepsza definicja nauczyciela w nowych czasach.

Co to dokładnie znaczy?

W zalewie informacji trudno różnicować to, co jest ważne od mniej ważnego. Masz do dyspozycji wszechświat słów, obrazów, dźwięków, ale musisz wiedzieć, po co sięgnąć. Tu potrzebny jest ktoś, kto ci pomoże.

Przewodnik?

Nie, raczej ktoś bardziej wymagający, kto komplikuje gotowe obrazy rzeczywistości i stawia opór przejętym z sieci myślom, sądom, przekonaniom. Mądry nauczyciel staje na drodze ucznia jako wyzwanie. Można go ominąć, ale to porażka ucznia.

Pan spotkał w życiu mądrego nauczyciela?

Spotkałem kilku mądrych nauczycieli, ale najważniejszy był Stefan Szymutko, który mnie nieustannie zmuszał do ulepszenia argumentacji – był bezwzględny wobec myślowej łatwizny.

Jak profesor Szymutko stawiał opór?

Najbardziej druzgocące były uniesione brwi. Pochylał głowę, patrzył na ciebie niby z dobroliwym uśmiechem, a potem znad oprawek unosiły się łuki brwi i już wiedziałeś, że to beznadziejne, co mówisz. Seminarium z profesorem Szymutką odbywały się u niego w domu.

Jego żona wychodziła do pracy o siódmej, myśmy z przyjaciółmi meldowali się o ósmej, oczywiście z przeczytanymi książkami, które nam zadał, on parzył dzbanek potwornie mocnej kawy, moje serce jeszcze do dzisiaj cierpi z tego powodu.

Kilka godzin trwało rujnowanie naszych naprędce wzniesionych konstrukcji myślowych i zwiłaliśmy się o czternastą, bo żona Stefana wracała o piętnastą, a on musiał wstawić ziemniaki. I tak przez cztery lata. To były

→ najbardziej intensywne zdarzenia intelektualne, jakich doznałem w życiu. Oczywiście nie tylko o literaturze i literaturoznawstwie rozmawialiśmy, ale też o tym, jak żyć. Stefan lansował silną tezę, że nie ma różnicy między jednym a drugim.

Naprawdę nie ma?

Fikcją jest myśl, że można uprawiać czystą naukę. Nasze prace, nasze książki są jak nasze życie – nie da się wyskoczyć z sytuacji egzystencjalnej, w której jesteś. To redukcja, rodzaj samookaleczenia, jeśli nie uwzględniś tego w swoim myśleniu i pisaniu.

Jak?

Można oszaleć.

Pan prowadzi w domu seminaria?

Nie. Nie miałbym dość odwagi. U Stefana zajęcia nie kończyły się po półtorej godzinie. Jak był ciąg na rozmowę, jak była aura, jak był temat, jak był problem – z sali wykładowej przechodziło się do knajpy, z knajpy do domu, a potem jeszcze telefony wielogodzinne. To nie miało końca. Jeśli ktoś nie umiał się w tym zatrzymać, groziła mu ruina życia prywatnego. Stefan nie miał dzieci, więc pewnie te seminaria były dla niego rodzajem intelektualnej adopcji. I nikt z tego nie wychodził cało.

Czyli?

Gdy wchodzisz z kimś w głęboką więź intelektualną, w ogóle życiową, to trzeba za to zapłacić. To jest uczciwe, akceptowałem to od początku – jest w tym autentyczność prawdziwej więzi myśli i wspólnego zaangażowania w pracę rozumienia.

Nie dają mi spokoju te rany.

W przypadku relacji ze Stefanem to miało wszelkie cechy ostrej miłości między ojcem a synem, w której pojawiała się zazdrość i rywalizacja. Potem przychodził moment, w którym wybierasz własne życie – zakładaliśmy rodziny. A żaden mistrz dobrze nie znosi, gdy mówisz: „Wybacz, ale idę z dzieckiem na spacer” albo „Żona też by chciała ze mną porozmawiać wieczorem, a nie tylko słuchać, jak dwie godziny gadam z tobą przed snem”.

Taka relacja między mistrzem a uczniem mogłaby się zdarzyć poza uniwersytetem?



JOANNA RUSINEK

Nie. Uniwersytet był absolutnie niezbędny. To, o czym mówię, zaczynało się na zajęciach, mieszkanie było przedłużeniem uniwersytetu. Najpierw mogliśmy zobaczyć, jak Szymutko myśli na żywo, jak dyskutuje, jak rozmawia ze studentami – fascynujące było obserwować jego myśl rodzącą się w sporze. I to, w jaki sposób stawia nowe pytania, a nie te, z którymi przychodzisz na zajęcia. Notatki, w ogóle przygotowanie są niezbędne do tego, by sensownie uczyć, lecz zajęcia oparte wyłącznie na tym sprowadzają się do reprodukcji wiedzy. Wtedy nie ma przygody.

Szymutko i Maria Janion mieliby tylu uczniów, gdyby wykładali zdalnie?

Oczywiście, że nie. I więcej jest mistrzów tej rangi, co Szymutko i Janion. Choćby Krzysztof Kłosiński, który był pierwszym mistrzem Stefana. A później oni obaj pozostawali z sobą w fascynującym sporze. Miałem szczęście obserwować, jak ukształtowani badacze walczą ze sobą żarliwie, twórczo i boleśnie. Obserwowałem ten moment, kiedy uczeń mówi mistrzowi „nie”, jak zrobił to Stefan wobec Krzysztofa. Bez tego „nie” ba-

dacz nigdy nie wybije się na niepodległość. Najczęściej dzieje się to w tekstach, wobec autorów martwych. Moim szczęściem było, że idee Heideggera czy Derridy znalazły przejęte nimi ciało i umysł, z którymi mogłem setki godzin obcować.

Czyli prawdziwa nauka rodzi się w relacji na żywo. W takim razie, jak wyglądała Pana praca w czasie pandemii?

Z pierwszych wykładów na Zoomie i zajęć na Microsoft Teams byłem zadowolony: siedziałem w kuchni, piłem kawę, każdy miał swoje okienko, studentów widziałem nawet bliżej niż na sali wykładowej, wszyscy byli podpisani, więc odpadał stres, że nie pamiętam czyjegoś imienia, łąca były dobre, stawiałem te same pytania, co na zajęciach, które można było przedłużać lub łączyć się po godzinach.

Wtedy zaświtała mi zgubna myśl, że może przesadzamy, budując za dziesiątki milionów uniwersyteckie budynki, a przecież można nauczać siedząc każdy u siebie w domu i wcale nie jest to gorsze. Ponownie zaczęło mi brakować argumentu w odpowiedzi na pytanie, dlaczego uniwersytet nie może być aplikacją na smartfona.

I?

Po dwóch miesiącach przyszło poczucie pustki, znużenia, braku istotności tego, co robimy. Nastąpiło też wyraźne rozluźnienie wśród studentów, część zaczęła wyłączać kamery – zapewne ktoś poszedł zaparzyć herbatę, ktoś uciął sobie krótką drzemkę.

Coś, co jest niedopuszczalne podczas wykładu odbywającego się na sali uniwersyteckiej.

To sprawa poważniejsza i sporo czasu zabrało mi, by ten problem uchwycić. Z pomocą przyszła lektura „Kondycji ludzkiej” Hannah Arendt. Jej opis narodzin polityczności akcentuje fakt wyjścia z domu na agorę, do życia z innymi w sposób pokojowy, dzięki rozmawianiu ze sobą. Tymczasem myśmy, przez epidemię, wycofali się ze sfery publicznej, przenieśli w sferę prywatności. Prawie wszyscy.

W tym rozumieniu szkoła jest dosłownie polityczna, w tym sensie, że służy ulepszaniu życia z innymi dzięki wiedzy i mowie. W domu robię, co chcę, począw-

szy od traktowania własnego ciała. W sferze publicznej nie ma pełnej swobody – tu istotne jest, jak się ubieramy, jakie robimy gesty i jak mówimy. Bez opuszczenia domu nie zaistnieją państwo, miasto, społeczeństwo. By to się stało – musisz wyjść na ulicę, udać się do szkoły lub pracy, z całym systemem zachowań, biorąc pod uwagę, że jesteś tam z innymi, którymi nie rządysz, ani oni nie rządzą tobą. I to jest właściwa polityka, lecz nie w rozumieniu polityki partyjnej.

Polityka jako życie z innymi?

Szkola jest fundamentalnym składnikiem sfery publicznej, bo ćwiczy życie z innymi. Na dodatek odbywa się to poprzez wiedzę, czyli w najlepszy możliwy sposób. A pandemia nam to odebrała – pozbawiła nas sfery publicznej. Początkowo wydawało się, że jest świetnie, można pobyć w domu, z rodziną, robić, co chcemy. Tylko że jednocześnie opuściliśmy to, co jest domostwem człowieka jako istoty społecznej: przestrzenie, w których byliśmy razem. Na dłuższą metę doprowadzi to do katastrofy, gdyż żyjąc w domach, ogrodach, na działkach, „między swymi” – wróciłibyśmy do stanu przedpolitycznego, w którym interesuje nas tylko to, co prywatne. A w sferze publicznej jest inaczej: ja mam do ciebie dostęp i ty masz do mnie dostęp, to jest ryzyko bliskości, ale i zranienia, więzi, które są oparte nie na krwi, ale na rozmowie.

Można organizować akcje na Facebooku, ale i tak trzeba wyjść na ulicę, jeśli chce się zademonstrować naprawdę

wpływowe poparcie dla jakiejś sprawy. Zmiany w przestrzeni publicznej dokonują się, gdy ludzie są razem w bliskim fizycznym kontakcie. Szkoła jest może ostatnim miejscem, gdzie społeczeństwo jest rzeczywiście razem – bo tu, powtarzam to raz jeszcze, ćwiczymy najważniejszą formę bycia razem poprzez spór, dyskusję, debatę.

Jak na seminariach u profesora Szymutki?

Tak. Jako człowiek uniwersytetu pokazywał, czym powinno być bycie ze sobą w sytuacji nieustannego sporu problemowego – jak to jest ożywcze, stymulujące, wymagające. I nie da się tego osiągnąć w żaden inny sposób, niż spędzając ze sobą wiele godzin w relacji bliskości fizycznej, podkreślanej, stymulowanej problemem, który nas wszystkich zajmuje.

Uniwersytet nabiera dziś ogromnej rangi jako społeczne dobro. Jest ostatnią niezależną instytucją publiczną, jaka nam została. Autonomia jednostki, swobody obywatelskie i polityczne, które tu panują, są nieporównywalne z żadną inną instytucją. Tu każdą kwestię można podać w wątpliwość, sprawdzić, zrelatywizować. To laboratorium, w którym twierdzenia, przekonania i opinie poddaje się ekstremalnym przeciążeniom, badając ich siłę.

A co Panu przychodzi do głowy, gdy Pan myśli o uniwersytecie za rok?

W trakcie epidemii śledziłem, jakie decyzje podejmują różne uczelnie

w świecie, m.in. Oksford, gdzie trwają najbardziej zaawansowane badania nad szczepionką. Władze Oksfordu jeszcze w czerwcu ogłosiły, że całe nauczanie w przyszłym semestrze będzie zdalne. Pomyślałem, że to jest dla mnie punkt odniesienia. Skoro oni podjęli taką decyzję jeszcze latem, mając przeciw sobie daleko posunięty sceptycyzm wielu Brytyjczyków, to znaczy, że trzeba ich brać za wzór. Do wiosny więc na Uniwersytecie Śląskim większa część nauczania będzie się odbywać zdalnie. Wierzę, że gdy wrócimy w kolejnym semestrze do normalnego trybu nauczania, szczepionka będzie już dostępna. I wrócimy ze strasznym głodem rzeczywistego uczenia, odkrywając na sobie, że nauka i edukacja to przede wszystkim fakty społeczne.

A jak będą ogłaszane kolejne pandemie i ziści się wizja, że uniwersytet będzie w smartfonie?

Wiem na pewno, że stan dystansu społecznego i wzajemnej izolacji będzie w końcu nie do zniesienia. Nie mówię o sprawie oczywistej, że zrujnuje to gospodarkę i zawiesi działanie wielu instytucji, które stanowią o istocie organizmów państwowych czy wręcz o cywilizacji. Ale zwyczajnie ludzie tego nie zniosą. To bycie wyłącznie w przestrzeni prywatnej prowadziło do masowej choroby naszych umysłów. Zaczęlibyśmy się zmieniać jako gatunek – w jakieś inne istoty.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiś,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Dorota Mastowska,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Baranek ofiarny*



„A GDY ABRAHAM PODNIÓSŁ OCZY, UJRZAŁ za sobą barana, który rogami uwikłał się w krzakach. Podszedł tedy Abraham, a wzięwszy barana złożył go na całopalenie zamiast syna swego” (Rdz 22, 13). Tyle mówi Tora. Gdyby nie baranek, Izaak nie

miałby potomków i nie zostałaby wypełniona obietnica przymierza. Gdyby Izaak nie został odkupiony, nie byłby odkupiony cały Izrael. W tym dziele zbawienia cudowny baranek okazał się nieodzowny. Autorzy midraszy przekonują nas, że baranek został stworzony o zmierzchu szóstego dnia Stworzenia i Bóg pozwolił mu zginąć, ale potem przywrócił go do życia. Opowieść o baranku jest fascynująca i zaskakująca. Jeden z rabinów z kręgu Tannaitów (komentatorzy Tory pierwszych dwóch wieków wspólnej ery), reb Hannina ben Dosa, twierdził: „Nawet najmniejsza częśćka baranka nie została zmarnowana; z jego ścięgien powstało dziesięć strun harfy Dawida, skóra posłużyła jako okrycie Eliasza, a na prawym rogu, większym niż lewy, grano larum na górze Synaj. Znów [go] usłyszymy, gdy wszystkie dusze Izraela zgromadzą się u kresu czasu w dolinie Jozefata”. Tak samo sądził wielki Raszi: róg baranka ofiarowanego w zastępstwie Izaaka wydał głośny dźwięk na górze Synaj.

Jakże się stało, że baranek ofiarny, z którego pozostał tylko popiół, dał nam szofar – róg? Że ścięga posłużyły królowi Dawidowi? Nie dlatego, że ciało baranka zostało przed całopaleniem podzielone. Ono zostało cudownie przywrócone do życia, by trwać w dziejach Izraela.

Co roku w Rosz Haszana dmie się w szofar zrobiony z baraniego rogu i w ten sposób przypominamy sobie o ofierze Izaaka. Jest w tym oczywiście coś więcej. Z dawnych wieków dotrwało błogosławieństwo: „Niech stanie przed twoimi oczami *akeda* (związanie), któremu ojciec Abraham poddał syna Izaaka na ołtarzu, tłumiąc w sobie odruch litości, aby nakazy Twoje spełnić z czystym sercem. Niech teraz Twoja litość stłumi Twój gniew i odsunie go od nas”. A jak powiadają Żydzi sefardyjscy: niech współczucie przeważa nad innymi Twoimi atrybutami. Możemy dodać jeszcze: niech ponad gniew Twój silniejsza będzie gotowość wybaczenia i wspomżenia nas, grzeszników. Mędrcy czasów dawnych uczą nas, że przy dźwięku szofaru Bóg (Elohim) zasiada na tronie sprawiedliwości, ale gdy lud Izraela zaczyna grać na szofarze, Święty Jedyny wstaje z tronu sprawiedliwości i zasiada na Tronie łaskawości. Wypełnia Go współczucie i litość, atrybut sprawiedliwości ustępuje atrybutowi łaski. A kiedy tak się dzieje? W siódmym miesiącu roku, w Tiszri. Bóg z oskarżyciela i sędziego zamienia się w twojego obrońcę. Tak więc pamięć o *akeda* powraca co roku, w Rosz Haszana i Jom Kipur, dzień pojednania. Tak wierzą Żydzi i takiego Boga chcemy czcić. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Urobek*



KARA, JAKA SPOTKAŁA NIESTOSOWNIE UBRA- nego gościa weselnego z ewangelicznej przypowieści, wydaje się być nieproporcjonalna do winy. Więzić kogoś za taki nie- takt to gruba przesada. Ale nie o to chodzi. Tę przypowieść trafnie odczytali faryze- usze. Dlatego zwołują naradę i zastanawiają się nad sposobem skompromitowania Jezusa. Byli przecież przekonani, że Jezus jest samozwańczym prorokiem, któremu trzeba jak najszybciej zamknąć usta.

Zwykle, słuchając o konflikcie Jezusa z faryzeuszami, saduceuszami, nauczycielami Pisma, utożsamiamy się z Jezusem czy innymi krzywdzonymi przez tych ostatnich. Dobrze by nam jednak zrobiło postawienie siebie w miejsce wrogów Jezusa. Wtedy łatwiej by nam przyszło zrozumieć, że rzeczywiście drogi, po których chodzi nasze serce i rozum w poszukiwaniu Boga, niekoniecznie zawsze pokrywają się z drogami, po których chodzi Bóg. Stąd, mówiąc za prof. Leszkiem Kołakowskim, ośmieszamy Boga, przedstawiamy Jego karykaturę nie tylko na katechezie i ambonie czy na wydziałach teologicznych, ale w codziennych, przypadkowych rozmowach.

Żeby nie być gołosłownym. Niedziela. Msza i na dzień dobry słyszymy: „Przepróśmy Boga za nasze grzechy”, tak jakby to Bóg na nas się zagniewał, a nie my na Niego. Następnie, zresztą zgodnie z przepisami, prezbiter nachyla się nad chlebem i kielichem, i do nich wypowiada słowa konsekracji. A przecież są to słowa zaproszenia, wprost zachęty, a więc powinny być skierowane do zgromadzonych w świątyni – do „wszystkich”. Na dodatek, kiedy przewodniczący liturgii pokazuje chleb i wino, wielu pochyla głowy i zamyka oczy. A przecież, skoro coś jest pokazywane, to po to, żeby na to patrzeć. A że chleb i wino nie jest tylko do oglądania, kontemplacji i adoracji, ich widok powinien z konieczności nasuwać myśl o posiłku, o jedzeniu, spożywaniu.

Kiedy Jezus mówi o spożywaniu Jego Ciała i Krwi, mówi też o tym, że to On, zmartwychwstały, jest „chlebem, który zstąpił z nieba”. Komunia nie dzieje się na płaszczyźnie gastronomicznej, nie jesteśmy też kanibalami, chodzi o więź psychiczną, duchową z Jezusem. Bez tej więzi, choćbyśmy wyjedli całe tabernakulum, klęcząc przy tym na obydwu kolanach, w niczym nam to nie pomoże. Mszalny chleb i wino nie działają jak tabletki przeciwbólowa.

Wreszcie szata godowa – za jej brak weselnik został sro- dze ukarany. Tym odświętnym ubraniem, które nakładamy przed wyjściem do kościoła, są wszystkie dobre myśli, słowa i czyny z całego tygodnia. To one, jako „owoc pracy rąk ludz- kich i Bożego błogosławieństwa”, sprawiają, że przedstawiamy być intruzami w Kościele, a stajemy się tymi, którzy przyno- szą Gospodarzowi domu całotygodniowy urobek. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ukryta pycha

*Lęk jest jak gęsta mgła
– i nikt nie może widzieć,
i umacnia się błąd.*

EWANGELIA PRAWDY



*Mądrość powstaje
w łonie ciszy.
Nasieniem jest
prawda i dobro.*

CORPUS HERMETICUM



LITURGIA UCZYNIŁA nas niedawno świadkami drugiej Jezusowej zapowiedzi męki. W chwili powszechnego „podziwu” dla wszystkich Jego czynów, Pan – wyraźnie zdystansowany do ogólnej euforii – mówi do swoich apostołów: „Weźcie wy sobie dobrze do serca te właśnie słowa: Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi” – tyle zapisał Łukasz (9, 43-44); Marek i Mateusz nie pozostawiają wątpliwości co do charakteru owego „wydania” i dodają objaśnienie: „ci Go zabiją” (Mk 9, 31; Mt 17, 23).

Wszyscy synoptycy poświadczają zgodnie dramatycznie niefortunną reakcję Dwunastu na tę zapowiedź. Najłagodniej opisuje ją Mateusz: „W tym czasie uczniowie przystąpili do Jezusa zapytaniem: Kto właściwie jest największy w królestwie niebieskim?” (Mt 10, 1). On mówi o swym poniżeniu i śmierci; oni dopytują o drogę do wywyższenia i życiowej kariery.

U Marka apostołowie nie pytają Jezusa, lecz idąc za Jezusem do Kafarnaum... spierają się „między sobą o to, kto z nich jest największy” (Mk 9, 34). Skłóconych, obrażonych i milczących Jezus pyta, o czym tak „rozprawiali w drodze”.

U Łukasza – a w tej właśnie wersji czytaliśmy ową Ewangelię – uczniowie

się nie kłócą: „Przyszła im też myśl, kto z nich jest największy. Lecz Jezus, znając myśli ich serca, wziął dziecko, postawił je przy sobie i rzekł do nich: Kto przyjmie to dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje” (Łk 9, 46-47). Nie ma żadnej kłótni; Jezus nie reaguje na głośny i otwarty spór – Pan reaguje na „myśli ich serca”.

Trudno nie zauważyć, że to właśnie dopiero Łukasz doprowadza całą historię do sedna – problemem są „myśli serca”. Nie chodzi o to, co mówimy – czasami wchodząc w spór, czasami go unikając czy przykrywając „teoretycznymi” debatami. Prawdziwym dramatem jest to, co myślimy o sobie nawzajem.

Prawdziwym problemem jest „pycha serca”. Ostatecznie to ona właśnie sprawia, że apostołowie nie rozumieją Jezusowego słowa o krzyżu: „było ono zakryte przed nimi tak, że go nie pojęli” (Łk 9, 45). By go pojąć, musieliby je przyjąć sercem – „weźcie wy sobie dobrze do s e r c a te właśnie słowa...”. Wtedy też mogłoby ono przynieść w ich życiu owoc – to Jezus mówi w Łukaszowej Ewangelii rozdział wcześniej: „ziarno w żyznej ziemi oznacza tych, którzy wysłuchawszy słowa, zatrzymują je w sercu szlachetnym i dobrym, i wydają owoc przez swą wytrwałość” (Łk 8, 15).

Co jednak, jeśli serce jest zajęte? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (11 – 18 X)

28. niedziela zwykła: Iz 25, 6-10a; Ps 23;

Flp 4, 12-14. 19-20; Mt 22, 1-14;

Poniedziałek: Ga 4, 22-24. 26-27. 31 – 5, 1;

Ps 113; Łk 11, 29-32;

Wtorek: Ga 5, 1-6; Ps 119; Łk 11, 37-41;

Środa: Ga 5, 18-25; Ps 1; Łk 11, 42-46;

Czwartek: Ef 1, 1-10; Ps 98;

Łk 11, 47-54;

Piątek: Ef 1, 11-14; Ps 33; Łk 12, 1-7;

Sobota: Ef 1, 15-23; Ps 8; Łk 12, 8-12;

29. niedziela zwykła: Iz 45, 1. 4-6; Ps 96;

1 Tes 1, 1-5b; Mt 22, 15-21.

Wybrał PIOTR SIKORA



CIERPLIWOŚĆ BRACI MNIEJSZYCH

„Piątka dla zwierząt” ma szansę być największym przełomem polskiej polityki przyrodniczej od ponad 20 lat.
I to nie jest wcale powód do dumy.

KRZYSZTOF STORY

NIC W TEJ USTAWIE NIE JEST NOWE. Żaden z proponowanych zapisów nie jest przełomowy. Ani zakaz uboju rytualnego na eksport, ani częściowa (z wyłączeniem królików) delegalizacja hodowli futerkowych, ani tym bardziej zakaz wykorzystania zwierząt w cyrkach. O każdy od dekad bezskutecznie walczą organizacje prozwierzęce. Zakaz hodowli zwierząt na futra już trzy lata temu chciał wprowadzić PiS. Jarosław Kaczyński mówił wtedy o „sprawie serca”, o „kwestii litości dla zwierząt”. Badania pokazywały, że zakaz popiera 59 proc. Polaków (dziś to ponad 70 proc.). Mimo to prezes ze sprawy serca musiał się szybko wycofać.

Ten scenariusz powtarza się od lat. Wszystkie badania pokazują, że Polacy nie popierają łowiectwa. Że chcą tworzenia nowych parków narodowych i ochrony praw zwierząt. Są organizacje i politycy, którzy o to walczą. Mimo to udane zmiany w prawie da się policzyć na palcach jednej dłoni. Tych, których nie narzuciła nam Unia Europejska (choćby zasady hodowli kur niosek), jest jeszcze mniej. W sytuacji polskich psów, jeleni i krów przez ostatnie 20 lat nie zmieniło się prawie nic.

Historia krowy

Historia polskiej krowy to przede wszystkim opowieść o uboju rytualnym. Obecna nowela PiS-u jest szóstą zmianą w tej kwestii od 21 sierpnia 1997 r. Wtedy uchwalono ustawę o ochronie zwierząt – podstawę naszych prawnych relacji z innymi zwierzętami. Od początku ustawa mówiła jasno: zwierzę przed ubojem musi zostać pozbawione świadomości.

Przepisy kilka razy zmieniano, ostatnio w 2014 r. – Trybunał Konstytucyjny orzekł, że zakaz uboju rytualnego narusza art. 53 konstytucji mówiący o wolności sumienia i wyznania. Dzisiaj ubój rytualny na eksport stanowi dużą część (w przypadku wołowiny nawet połowę) produkcji mięsa. Zwierzę podczas takiego uboju musi być w pełni przytomne. Zazwyczaj używa się klatki obrotowej – urządzenia, które unieruchamia zwierzę, a potem obraca je do góry nogami. Dzięki temu łatwiej poderżnąć mu gardło, a to jeden z wymogów rytuału.

Zmiany przegłosowane przez Sejm są pierwszą od dawna szansą, by ograniczyć ubój rytualny w Polsce. Będzie można go wykonać tylko na potrzeby lokalnych

społeczności religijnych, nie na eksport. Nie można też będzie korzystać z klatek obrotowych.

Historia norki

Karolina Kuszlewicz, adwokatka, specjalistka w zakresie praw zwierząt: – Można mieć wrażenie, że jesteśmy w podwójnej rzeczywistości. Bo przecież jeszcze niedawno ministrem rolnictwa był Jan Krzysztof Ardanowski, który przedstawiał ogon bobra jako afrodyzjak, wspierał przemysł futrzarski i ubój rytualny. Który nadzorował masowy odstrzał dzików w ramach walki z ASF. A jednak to właśnie za tej władzy pojawia się ustawa przełomowa. Ustawa, która z istniejących od lat postulatów tworzy wreszcie prawo. Nie idealne, ale najlepsze, jakie mieliśmy. Po raz pierwszy w historii Sejm zakazuje hodowli zwierząt na futra.

Nie jest to pierwsza próba. O tym, z jakim cierpieniem wiąże się hodowla na futra, wiemy od lat. Tak jak o problemach ludzi mieszkających w pobliżu ferm futrzarskich. O tym wszystkim mówił już w 2017 r. Jarosław Kaczyński w słynnej wypowiedzi dla fundacji Viva!. Grupa posłów PiS złożyła wtedy projekt bliźniaczo podobny do zapisów „piątki dla zwierząt”.

Branża futrzarska broniła się skutecznie. Szczepan Wójcik, hodowca norek i lobbysta, na kilka miesięcy został stałym elementem studia TV Trwam. Tadeusz Rydzyk w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl mówił: „Gdy słyszę o pomysle zakazu hodowli zwierząt futerkowych, pytam: gdzie ja jestem? Może niedługo zakazą hodowli kurczaków?”. Opór tak wtedy, jak i dzisiaj był ogromny. Wtedy Kaczyński się ugiął, a projekt trafił do szuflady. Jak będzie tym razem, jeszcze nie wiemy. Weto „Piątki dla zwierząt” rozważył Andrzej Duda, który 30 sierpnia spotkał się z delegacją rolników, m.in. Szczepanem Wójcikiem.

Historia karpia

Ustawa o ochronie zwierząt, art. 1: „Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę”.

Karolina Kuszlewicz: – Cały czas mamy konflikt wartości. Z jednej strony życie i zdrowie zwierzęcia. Jego prawo do istnienia. A z drugiej – XX i XXI wiek, które przyniosły politykę ekspansywno-

-wydobywczą na niespotykaną wcześniej skalę. Także w stosunku do zwierząt i przyrody. I prawo ten konflikt odzwierciedla. Niby deklaruje ochronę zwierząt, ale jednocześnie podtrzymuje interesy i praktyki z nią sprzeczne. Tyle że w przypadku żywych, czujących istot nie da się trochę stać po ich stronie, a trochę nie. Mam nadzieję, że wreszcie zaczynamy to rozumieć.

Kuszlewicz od lat występuje w obronie zwierząt. Sześć lat poświęciła na walkę o prawa karpia. Batalia skończyła się 13 grudnia 2016 r. przed Sądem Najwyższym. Po wielu procesach i wyczerpaniu prawie całej ścieżki prawnej SN stwierdza, że naturalnym środowiskiem ryb jest woda. Orzeczenie zakazuje transportu i trzymania ryb w środowisku bez wody. Wcześniej często były sprzedawane w zwykłych foliowych torbach.

Kuszlewicz: – To było możliwe m.in. dzięki przepisom z 2009 i 2011 r. Wtedy po raz pierwszy wreszcie jasno określono, że ustawa o ochronie zwierząt dotyczy wszystkich kregowców, także ryb. Ta subtelna korekta to jedna z nielicznych, ale istotnych zmian w ustawie o ochronie zwierząt. Prawo uchwalają politycy, którzy przez ostatnie kadencje niespecjalnie przejmowali się losem zwierząt. Za czasów rządów PO wprowadzono np. gminne programy opieki nad zwierzętami bezdomnymi, ale poza tym zrobiono niewiele.

– Sześć lat walki o to, że karp powinien być w wodzie. Ponad dwie dekady – o zakaz wykorzystywania zwierząt w cyrkach. Nie przeraża pani tempo tych zmian?

– Kiedy mamy do czynienia z cierpieniem zwierząt, z dewastowaną przyrodą, to jest straszne. Chciałoby się szybciej, bo stawką nie są słupki zysków spółek handlowych, tylko życie. Prawo, jeśli ma być solidne, zapewniające jakąś trwałość, musi iść w parze ze zmianami społecznymi. A one nie dzieją się natychmiast. Oczywiście w pewnym stopniu prawo może być także motorem zmian, zwłaszcza tam, gdzie dzieje się krzywda. Powinniśmy się wstydzić wobec zwierząt za jakość prawa, jakie przez lata utrzymujemy. Gdy czytamy rozporządzenie o sposobach uśmiercania zwierząt albo warunkach ich utrzymywania w klatkach, mam wrażenie, jakbym miała przed sobą listę tortur, a nie przepisy obowiązujące w XXI wieku.

Historia dzika i jelenia

→ Ustawa o ochronie zwierząt, art. 6: „Zabrania się zabijania zwierząt”. Wyjątków od artykułu szóstego jest dziesięć. Pierwszym jest pozyskiwanie mięsa i skór. Siódmym – polowanie, odstrzały i ograniczanie populacji zwierząt łownych.

Zenon Kruczyński kiedyś był myśliwym. Dziś to centralna postać ruchu antyłowieckiego w Polsce: – Ustawa, która czyni zgodnym z prawem system hobbystycznego zabijania zwierząt, we współczesnych czasach w ogóle nie powinna istnieć. Nie jesteśmy głodni, nie potrzebujemy tego. Spożycie dziczyzny w Polsce to 70 gramów na osobę rocznie. Straty rolnicze, przed którymi podobno ratują nas myśliwi, to 1,60 zł na obywatela w skali roku. Rekreacyjne myślistwo jest zjawiskiem, z którym jako ludzkość musimy się rozstać – nie ma dla niego żadnego uzasadnienia, oprócz wielce specyficznej rozrywki.

Stosunek Polek i Polaków do łowiectwa i praw zwierząt zmienił się diametralnie w ostatnich latach. W badaniach zamówionych w 2016 r. przez sam Polski Związek Łowiecki tylko 10 proc. jasno popierało myślistwo.

– Mimo to prawo łowieckie z 1995 r. przez ponad 20 lat, aż do 2018 r., nie miało nowelizacji. To jest ta sama, ukryta i skostniała struktura, która trzyma się całkiem nieźle – tłumaczy Kruczyński.

W 2018 r. przyjęto zmiany, o które aktywiści walczyli przez dwie kadencje Sejmu. To m.in.: zakaz szkolenia psów myśliwskich na żywych zwierzętach, okresowe badania lekarskie dla myśliwych, zakaz udziału dzieci w polowaniach i możliwość wyłączenia prywatnych gruntów z obwodów łowieckich.

Dalszy ciąg tej historii pokazuje losy polskiej polityki przyrodniczej: „jeden krok naprzód, dwa kroki w tył”. 29 stycznia 2020 r., nieco ponad rok po tamtej noweli, Andrzej Duda podpisał ustawę znaną jako „lex Ardanowski”. Prawo, teoretycznie wymierzone w walkę z ASF, w praktyce uniemożliwia jakikolwiek obywatelski monitoring polowań. Za utrudnianie polowania grozi do roku więzienia, za utrudnianie odstrzału sanitarnego – nawet do trzech lat. Myśliwi zgodnie z nowym prawem mogą używać tłumików, strzelać do ciężarnych loch, a w polowaniach pomagają im służby mundurowe.

– Tymczasem zmieniono rozporządzenie, które określa warunki wykonywania polowania – dodaje Kruczyński. – Przerwy, pokot oraz odprawa przed nie są już jego częścią. I tutaj po raz kolejny pojawia się furtka do uczestnictwa dzieci w tych praktykach. No i okazja do legalnego wypicia czegoś konkretnego.

Większość społeczeństwa nie popiera łowiectwa. Dlaczego prawo nie idzie za tym głosem?

– W Polsce jest 128 tysięcy myśliwych. To znaczy, że co 300 przypadkowa osoba poluje. Tymczasem mieliśmy kadencje Sejmu, gdzie myśliwym był co szósty parlamentarzysta. Bywam w Sejmie, uczestniczę w posiedzeniach komisji. Z przykrością odnoszę wrażenie, że liczy się głównie interes partyjny. A może nawet wyłącznie on.

Historia wilka

Jeszcze 30 lat temu wilk w Polsce był na skraju wyginięcia. Był traktowany jako szkodnik i oficjalnie tępiony. Dziś mamy jedną z największych w Europie populacji tego drapieżnika, około 2500 osobników. Od 1998 r. wilki są objęte ścisłą ochroną. To jeden z największych sukcesów polskiej polityki przyrodniczej.

– Ochrona gatunków o dużych wymaganiach przestrzennych, których nie zamkniemy nawet na terenie Puszczy Białowieskiej, nam się udała – ocenia Radosław Ślusarczyk, prezes Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, jednej z najstarszych organizacji ekologicznych w kraju. – Mamy moratorium na odstrzał łosi, mamy ochronę wilka, a po wydarzeniach w dolinie Rospudy Maciej Nowicki, ówczesny minister środowiska, zaprojektował bardzo dobry system oceny wpływu inwestycji na środowisko.

System jest napisany według zaleceń UE. Wtedy powołano Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska. Powstają poradniki, modelowe projekty przejść dla zwierząt nad drogami, przejścia stają się niezbędnym elementem dróg, pozwalają zachować korytarze ekologiczne. Krok naprzód.

I dwa kroki w tył. Radosław Ślusarczyk: – Z tego bardzo dobrego systemu w kilka lat wyjęliśmy wszystkie bezpieczniki. Najpierw specustawa drogowa, uchwalona tylko na Euro 2012, obowiązuje do dzisiaj. Potem tzw. rygory natychmiastowej wykonalności, „lex inwestor”, specustawa uchwalona przy przekopie Mierzei

Wiślanej. Dzisiaj można zaczynać inwestycje praktycznie bezkarnie. Zanim zapadną jakiekolwiek decyzje w sądach, prace będą już dawno wykonane w terenie. Zgłaszają się do mnie ludzie, którzy chcieliby zaprotestować przeciwko budowie drogi przez Biebrzański Park Narodowy czy Mazury. A ja wiem, że system jest tak zrobiony, że nie da się z nim wygrać.

Zarzuty obciążają wszystkie frakcje polityczne. Każda zawiodła ekologów i przyrodę. Na kilka dobrych decyzji przypadało kilkanaście gorszych albo niedokończonych projektów. PO, która niedawno w kampanii podkreślała postulaty ekologiczne, jest jednoznacznie krytykowana za bezczynność przez osiem lat swoich rządów. Niektóre historie pokazują, że przyroda bywa jedynie mało znaczącym elementem politycznej gry. Ot, np. fakt, że ustawę o całkowitej ochronie wilka podpisał w 1998 r. prof. Jan Szyszko. Ten sam Jan Szyszko, krytykowany potem w 2017 r. za ustawę znacznie ułatwiającą wycinkę drzew.

Historia starego dębu

Poza ustawą o ochronie zwierząt kluczowa jest ustawa o ochronie przyrody. To ona od 2001 r. reguluje działanie parków narodowych, rezerwatów i obszarów Natura 2000 (te obszary to jedna z najbardziej pozytywnych zmian ostatnich lat, tyle że wymusiła ją Unia). I zawiera jedno katastroficzne dla przyrody zdanie: „określenie i zmiana granic parku narodowego może nastąpić po uzgodnieniu z właściwymi miejscowo organami uchwałodawczymi jednostek samorządu terytorialnego”.

Oznacza to, że bez zgody gminy nie może powstać żaden park narodowy. I od dawna nie powstał, bo gminom nie opłaca się oddawać lasu pod ochronę ze względu na wpływy z podatku leśnego. Nie powstały planowane parki: Mazurski, Jurajski i Turnicki, Dolnej Odry.

Szeroka koalicja ekologów zebrała ponad 200 tys. podpisów pod inicjatywą ustawodawczą zmieniającą to feralne zdanie. Latem 2010 r. przekazali podpisy do Sejmu. Na zdjęciach delegację przyjmuje marszałek Sejmu Grzegorz Schetyna.

Jeden z najważniejszych obywatelskich projektów, zmieniający zaledwie jeden artykuł jednej ustawy, przez pięć lat nie doczekał się głosowania.

– To był nasz największy wysiłek, może nawet większy od Puszczy Białowieskiej. Szansa na odczarowanie parków narodowych – wspomina Katarzyna Jagiełło, aktywistka kiedyś związana z Greenpeace. – A Stanisław Gawłowski, wiceminister środowiska, wziął te 200 tysięcy podpisów i wsadził do zamrażarki

Większością lasów (i jedną czwartą powierzchni całego kraju) zarządzają Lasy Państwowe. Zarobki w LP są wielokrotnie wyższe niż w parkach narodowych. Na terenach, gdzie miały powstać nowe parki, prowadzi się normalną gospodarkę leśną. Od początku 2017 r. LP są ustawowo zwolnione z ochrony gatunkowej przy jej prowadzeniu. Ostatnie 80 km² parku narodowego zyskaliśmy 19 lat temu, kiedy utworzono Park Narodowy Ujście Warty. Powstał tylko dlatego, że leży na bagnach, a nie terenach leśnych.

Historia owczarka

Opowieść o psach to powolne wydłużanie łańcucha. Najpierw minimum trzy metry, potem pięć. Teraz, według nowego projektu PiS – sześć metrów uwięzi i co najmniej 20 m² wybiegu. Nie można używać metalowego łańcucha ani kolczatki, a pies na uwięzi ma spędzić nie więcej niż 12 godzin z rzędu.

– Obawiam się, że to będzie kolejny martwy przepis, nie do skontrolowania – komentuje Karolina Kuszlewicz. – To przełomowa ustawa, ale ma mankamenty. Ten projekt został uchwalony na jednym posiedzeniu Sejmu, po prostu za szybko. Mówimy o przepisach, które mają być napisane w sposób niepodważalny.

Największym błędem nowej ustawy są przepisy dotyczące kompetencji organizacji społecznych. Dotychczas ich przedstawiciele mieli prawo odebrać maltretowane zwierzę właścicielowi podczas interwencji.

– Interwencje to zawsze trudne sytuacje – mówi Kuszlewicz. – Organizacje chciały mieć możliwość skorzystania z asysty policji. Tymczasem uchwalony przepis mówi, że asysta owszem, jest, ale jednocześnie policjant, strażnik lub lekarz weterynarii może stwierdzić, że nie ma podstaw do odebrania zwierzęcia.

Problem w tym, że policja nie ma żadnych kompetencji do oceny stanu zdrowia zwierzęcia.

– Na poziomie karnym ochrona zwierząt jest bardzo słaba – przyznaje Kuszle-

Wszystkie frakcje polityczne zawiodły ekologów i przyrodę.

Na kilka dobrych decyzji przypadało kilkanaście gorszych albo niedokończonych projektów.

wicz. – Około 70 proc. spraw o znęcanie się kończy się umorzeniem albo następuje wobec nich odmowa wszczęcia postępowania. Widziałam umarzone przez policję sprawy, w których właścicielom odbierano konające psy. I teraz ta sama policja ma decydować o tym, czy organizacji wolno zwierzę ratować?

Historia tygrysa

Światowa Deklaracja Praw Zwierząt: „Żadne zwierzę nie może być traktowane jako zabawka dla człowieka. Wystawianie zwierząt na pokaz oraz widowiska z udziałem zwierząt narażają na szwank godność zwierzęcia”.

Nowy projekt ustawy zakazuje wykorzystywania zwierząt w cyrkach i innych pokazach rozrywkowych. Wcześniej podobne uchwały przyjęło kilka większych miast.

– Sprawa cyrków to jest chyba nasz najstarszy postulat – mówi Katarzyna Jagiełło. – Kiedy siadamy przy ognisku i snujemy kombatanckie opowieści, często dotyczą one cyrków. Wiele ruchów prozwierzęcych wyrosło właśnie na tych protestach, na tej sprawie. Nie wiem, czy się cieszyć, że może wreszcie się uda, czy smuć, że zajęło to 25 lat.

Historia przedmiotów

Losy „Piątki dla zwierząt” wcale nie są przesądzone. Ustawą zajmie się Senat, prezydent poważnie rozważa weto. Jeśli się uda, będziemy mieli przełom. Jeśli nie – powrót do starego. „Krok naprzód, dwa kroki w tył”.

Wszystkim bohaterom tego tekstu dałem to samo pytanie: dlaczego to tyle trwa? Przecież decyzje w sprawach zwierząt naprawdę powinny być „kwestią serca”. Brak cyrków czy psów na łańcu-

chach nie zrujnuje nam gospodarki. Powiększanie parków narodowych i utrzymywanie korytarzy ekologicznych jest w interesie nas wszystkich. Ferm futrzarskich nie chce w kraju ponad 70 proc. Polaków. Dlaczego więc tak długo?

Radosław Ślusarczyk: – Mamy kult przecinania wstęgi. Rządzący od wójta po premiera celebrytują otwarcia. Ścieżki, chodniki, autostrady, nieważne. Park narodowy wciąż w Polsce nie jest miarą sukcesu. Rozwój nadal mierzymy w tonach betonu.

Zenon Kruczyński: – Nasz obecny stosunek do przyrody jest utrwalonym, nawykowym błędem. Dlatego te zmiany wchodzą do mainstreamu tak powoli. Ale one są. 10 lat temu niektóre rzeczy były nie do pomyślenia. Dzisiaj nawet partie polityczne zaczynają zauważać, że nie da się żyć przeciwko przyrodzie.

Karolina Kuszlewicz: – Politycy często wychodzą naprzeciw oczekiwaniom, a potem temat się rozmywa. Brakuje im odwagi, żeby zrobić coś na przekór kilku małym, ale silnym grupom interesów. Żeby przerwać wygodne *status quo*.

Katarzyna Jagiełło: – Na którymś z protestów w Puszczy stanęłam na pniu po świerku. Patrzyłam w oczy politykom i mówiłam, że tym tematem porządnie nie zajął się nikt. Nikt z nich. I oni to wiedzą.

Karolina Kuszlewicz: – Oczywiście przyroda jest często wykorzystywana do celów populistycznych. Ale ze swojej perspektywy widzę jeszcze jeden problem. Prawo nie radzi sobie z kwestiami, które wymagają wrażliwości. Boimy się. Tak jakby użycie wrażliwości miało odebrać nam profesjonalizm. Widać to nawet w języku. Dostałam kiedyś decyzję administracyjną i czytam: „przedmiotowe cztery psy...”. Jak my mówimy? Przedmiotowe to może być postępowanie, a nie życie.

© KRZYSZTOF STORY



KATARZYNA DZIADOWICZ, autorka tekstu z działu Nauka (s. 60), będzie gościem

Grzegorza Chłasty w środę 7 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

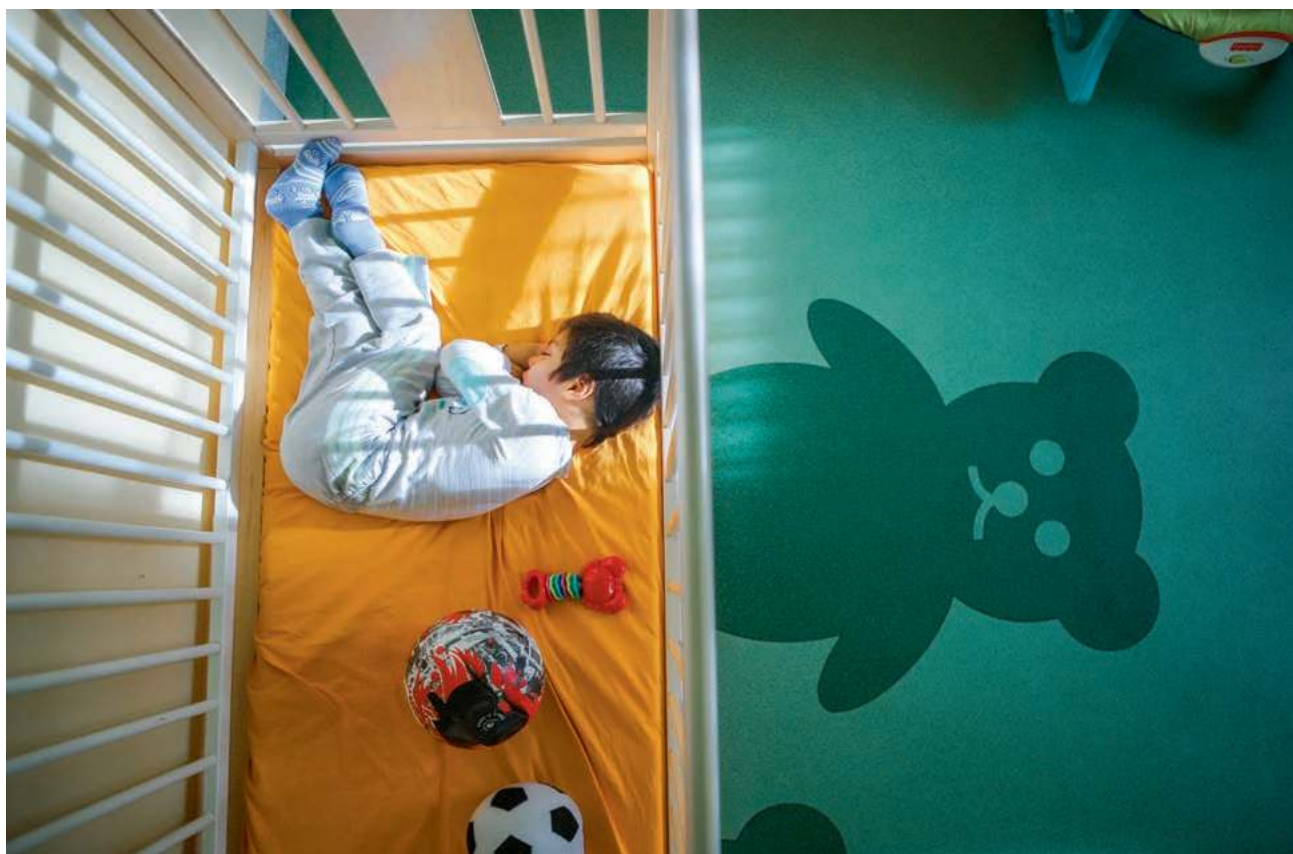
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA

Wszyscy mówią: nie wiem

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polski system interwencyjnego wspierania dzieci krzywdzonych w rodzinach ma im do zaproponowania głównie jedno – kolejną porcję krzywdy.

ZWYKLE ZACZYNA SIĘ OD TELEFONU. Policję albo pomoc społeczną zawiadamia sąsiad, ktoś z bliskich, czasem szkoła, ewentualnie samo dziecko. Domowa przemoc nie ma niestety godzin urzędowania: tata mógł pobić mamę wieczorem; matka wpadła w szał po narkotykach o trzeciej w nocy. Sąsiad dopiero nad ranem może natknąć się na dzieci siedzące na schodach.

Później decyzja – dziecko musi opuścić dom. Pracownik socjalny może ją podjąć bez udziału sądu, jeśli zagrożone jest zdrowie lub życie dziecka. W 2018 r. takich sytuacji było 1375. Statystycznie niemal cztery razy dziennie polskie państwo musi chronić jakieś dziecko przed jego własnymi rodzicami.

Etap kolejny: nowy tymczasowy dom. Jeśli nie jest to mieszkanie dalszych krewnych, dziecko ląduje w systemie zawodowej pieczy zastępczej, czyli w tzw. domu dziecka bądź rodzinie zastępczej. Do interwencyjnych umieszczeń służą specjalne komórki tego systemu – pogotowia opiekuńcze i rodzinne. Mają dać dzieciom namiastkę rodziny i stabilności. W teorii.

W praktyce polski system – jak ustaliła niedawno Najwyższa Izba Kontroli – nie daje nawet tych namiastek.

Rodzina nie chce fikcji

– Pamiętam je wszystkie, opowiem o jednym: ośmiomiesięcznym chłopcu, który trafił do nas kilka lat temu – mówi M.,

dziś tworząca zwykłą rodzinę zastępczą na Pomorzu, wówczas pełniącą rolę pogotowia rodzinnego (dla ochrony dóbr dziecka nie chce podawać danych). – Piotruś, tak go nazwijmy, był ofiarą przemocy, choć szczegółów jego historii nie poznaliśmy. Gdy na niego z początku patrzyliśmy, odnosiliśmy wrażenie, że nas nie słyszy. Po prostu był zamknięty w swoim świecie. Jak się okazało, ze strachu. Bał się wszystkiego: kąpania, szczoteczki, kołderki. Takie dzieci nie wierzą w dorosłych. Dorosły to ktoś, kto krzywdzi.

Chłopiec spędzi w domu M. ponad trzy lata. Zgodnie z polską patologiczną normą, którą opisał niedawno NIK. „W większości powiatów i miast na prawach powiatu (...) dzieci przebywały w pogotowiu opiekuńczych i rodzinnych po kilkanaście miesięcy, a nawet kilka lat, zamiast, jak przewidują przepisy, nie dłużej niż trzy miesiące w placówce i cztery w pogotowiu rodzinnym” – raportują urzędnicy Izby.

– Piotruś był u nas aż do wieku przedszkolnego – kontynuuje M. – Długo nic nie mówił, a później były niesamowite skoki rozwojowe, dzięki którym doszedł do poziomu rówieśników.

– To może dobrze, że był w jednym miejscu kilka lat, a nie ustawowe cztery miesiące? – pytam M.

– Według logiki mniejszego zła: tak – odpowiada kobieta. – Ale pogotowie czemu innemu służy. Ma zażegnać największy kryzys, a później sytuacja dziecka powinna się wyjaśnić, czyli powinno ono trafić do adopcji, a jeśli to nie możliwe, przynajmniej do zwykłej rodziny zastępczej, w której mogłoby przebywać nawet do 18. roku życia. Tymczasem w naszym pogotowiu dzieci spędzały średnio dwa lata. I nigdy nie byłam w stanie odpowiedzieć im na pytanie, co się z nimi stanie. Niech pan sobie wyobrazi, że przez dwa lata nie wie, gdzie będzie jutro mieszkał, czy będzie miał pracę itd. A wszyscy na każde pytanie odpowiadają: nie wiem. Tak żyją te dzieci.

– Dlaczego?

– Nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego asystent rodziny nie wnosi do sądu o pozbawienie rodziców praw, mimo że sytuacja do tego dojrzała, albo z jakiego powodu sędzia przez dwa lata nie potrafi podjąć trudnej decyzji, by dziecko mogło być np. adoptowane. System kręci się wokół dorosłego, w tym przypadku biologicznego rodzica. I nie jest to wyłącznie cechą tego systemu pod obecnymi rządami, które akcentują „trwałość” rodziny. Tak było zawsze.

M. z mężem przestali być pogotowiem rodzinnym trzy lata temu. Nie chcieli utrzymywać fikcji. Teraz, jako zwykła rodzina zastępcza (a nie ta interwencyjna), mogą dać podopiecznym jako taką stabilność. Dzieci, które są pod ich opieką, nie mają szans na adopcję, nie wrócą też do biologicznych opiekunów – zostaną tu więc tak długo, jak zechcą.

Powiat czyni starania

NIK opisał też drugą patologię, z którą polski system nie może sobie poradzić od lat. Co z tego, że prawo zabrania umieszczania dzieci do 10. roku życia w tzw. domach dziecka, nakazując wysyłanie ich do rodzin zastępczych, skoro proceder trwa w Polsce w najlepsze od lat. Po wód? W latach 2014–18 „nastąpił spadek liczby rodzin zastępczych pełniących funkcję pogotowia rodzinnego o ponad 15 proc., przy jednoczesnym wzroście o ponad 23 proc. liczby placówek”. A wszystko to w dobie odmiennianej przez wszystkie przypadki „deinstytucjonalizacji”.

Braki dotkliwie widać choćby w Bydgoszczy, Wrocławiu, Lublinie czy Łodzi. I rekordowym pod tym względem Grudziądzu, gdzie wszystkie dzieci interwencyjnie odbierane z rodzin trafiają do placówek. Na czele z niemal setką (w okresie kontroli NIK, a więc między 2017 a połową 2019 r.) tych do 10. roku życia. Co zmieniło się tu ponad rok od zakończenia audytu Izby? Nic: w całym mieście jest jedna zawodowa rodzina zastępcza i ani jednej z uprawnieniami pogotowia. A urzędnicy rozkładają ręce.

– Zdaję sobie sprawę, że te dzieci nie powinny w ogóle do nas trafiać – przyznaje Ewa Ludwicka, zastępczyni dyrektora Centrum Pomocy Dziecku i Poradnictwa Rodzinnego. – Ale naszym zadaniem jest otoczenie ich troską. Musimy im stworzyć najlepsze możliwe warunki.

Te „najlepsze warunki” to jedna opiekunka na 14 dzieci: czy to półroczne, czy pięcioletnie – najczęściej przerażone, obciążone świeżą traumą.

– Od dwóch lat mamy coraz więcej małych dzieci – przyznaje Ludwicka. – Stanowią one większość naszych podopiecznych. Za każdym razem zgłaszamy ten fakt do odpowiednich instytucji, czyli sądu i Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, zwracając uwagę, że dzieci powinny być w pieczy rodzinnej. Tyle że zawodowej pieczy rodzinnej u nas prawie nie ma.

– Jak to możliwe w niemal stutysięcznym mieście? – pytam Katarzynę Kminińską z MOPR.

– Trzeba zapytać mieszkańców Grudziądza, dlaczego nie chcą zostać rodzinami zastępczymi – odpowiada. – To w zasadzie pytanie do każdego z nas.

– Ale pozyskiwanie kandydatów to ważne zadanie.

– I staramy się je wykonywać najlepiej. Robimy kampanie społeczne. Docieramy z przekazem o pieczy do szkół. Jeszcze w tym roku podpiszemy umowę z pierwszym pogotowiem rodzinnym.

– NIK podaje, że płacie rodzinom najmniej ze wszystkich kontrolowanych miejsc.

– Podnieśliśmy w tym roku pensję z dwóch tysięcy brutto do 2650. To nadal mało, ale proszę mi wierzyć: problemy z niedoborami rodzin są w całej Polsce.

To przesada: sporo zależy od lokalnych władz. Niektórym udało się zepchnąć placówki na systemowy margines. A są i takie, gdzie domy dziecka wyrugowano

– jak w powiecie konińskim, staszowskim, suskim czy leskim.

Dom dziecka zbiera na olej

Co z tymi, które znajdują się na drugim biegunie? Niektórzy eksperci mówią wprost: bywa, że brak rodzinnej pieczy to rezultat urzędniczej nieudolności. Albo przeciwnie: niektórym wygodnie jest konserwować stary porządek – placówki to więcej etatów i łatwiejsza kontrola. „W 2019 roku powstało 19 nowych domów dziecka. Nie powinien powstać żaden. Ostatnio wyśmiano mnie (i nie tylko mnie) na słowa, że do 2040 roku Polska powinna przejść w całości na pieczę rodzinną i zlikwidować ostatnią placówkę. Usłyszeliśmy, że to nierealne. Choć istnieje gotowa strategia, która czyni to całkowicie możliwym. Polskie samorządy wciąż mają za mało pieniędzy. A Drużynowa zbiera na olej do smażenia frytek” – pisała ostatnio na Facebooku Anna Krawczak, ekspertka od adopcji i pieczy zastępczej, nawiązując do zbiorów publicznych organizowanych przez duży łódzki dom dziecka przy ul. Drużynowej (o tym, że umieszczane są w nim wbrew ustawie małe dzieci, pisaliśmy w „Tygodniku” już cztery lata temu). Krawczak wykazała na podstawie konkretnych liczb sumujących wydatki łódzkiego domu dziecka (pensje, ubezpieczenia, rachunki itd.) bezsens istnienia placówek: nie tylko ten najbardziej oczywisty, czyli ludzki, ale też ekonomiczny. Rodziny zastępcze są nie tylko lepsze dla dzieci, ale też znacznie tańsze. Tyle że niektóre samorządy nie potrafią (nie chcą?) znaleźć kandydatów do pełnienia tej roli.

Diagnoza M. z Pomorza nie pozostawia złudzeń: – Nasz powiat pozbył się dwóch doświadczonych rodzin zastępczych o charakterze pogotowia rodzinnego, bo twierdził, że nie są potrzebne. A gdy zaczęto odbierać interwencyjnie więcej dzieci, urzędnicy nie mieli ich gdzie umieszczać. W wielu miejscach pozyskiwanie rodzin to fikcja. Urzędnicy liczą, że kandydaci będą się zgłaszać sami. Albo dają ogłoszenia, z których nic nie wynika. Tymczasem wzmacnianie systemu powinno polegać na dawaniu ludziom poczucia, że ta praca ma sens. Teraz w wielu miejscach tego poczucia nie ma. I nie będzie, dopóki system będzie się kręcił wokół interesu dorosłych, a nie dziecka. ©P

Obywatelskie espresso

PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

Mieszkający w Polsce Białorusini do niedawna nawet nie utrzymywali między sobą kontaktów. Na fali protestów w ojczyźnie budzą się i oni.

YAHOR KANDRATSIUK PRODUKUJE CZARNE, milicyjne pałki. To rekwizyty na performans. A Sasza Reznikow szykuje się do występu. Zaśpiewa białorską baladę ludową, która stała się pieśnią opozycji. – Nasz performans to wizualizacja przemocy i gwałtu na narodzie. Ale kreatywność już została uwolniona, a wraz z nią setki tysięcy ludzi zdolnych do tworzenia nowej rzeczywistości – mówi Viktor Hardzei, jedna z organizatorek akcji.

Imigranci się liczą

Yahor mieszka w Polsce nieco ponad rok, w Gdyni ledwie od paru tygodni. Sasza jest 14 lat w Polsce, z czego 10 w Gdyni. Obu zaskoczyły masowe protesty w ojczyźnie i brutalność, z jaką odpowiedziała władza. – Przez te wszystkie lata nie miałem kontaktu z Białorusinami. Zajmowałem się głównie sztuką, a do polityki praktycznie się nie odnosiłem – mówi Sa-

sza Reznikow, który w 2010 r. debiutował na deskach Teatru Muzycznego w Gdyni w sztuce „Lalka”.

Historia Yahora jest analogiczna, choć krótsza. Jako informatyk dostał pracę w firmie w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym. – W Polsce mieszkam od początku lata 2019 roku. Choć na Białorusi brałem udział w protestach, to przez pierwszy rok tutaj nie miałem żadnych znajomości z Białorusinami. W Trójmieście nie znałem nikogo z Białorusi jeszcze do początku tego lipca, a okazało się, że sporo nas tu mieszka – uśmiecha się Yahor ubrany w koszulę z białoruskim haftem ludowym, którą kupił w kraju podczas ostatniej wizyty w rodzinnym Brześciu. – Jak zacząłem poznać ostatnio innych Białorusinów, mówili to samo. Że mieszkali tu przez długi czas bez żadnego kontaktu z rodakami, a potem to wszystko wybuchło.

Białorusini, którzy osiedlają się w Polsce, szybko wsiąkają w polskie społeczeństwo, uczą języka, zarabiają pieniądze, wychowują dzieci. – Łatwo się asymilują albo udają Rosjan. Jakiś czas temu poszłam do wegańskiej knajpki, gdzie baristą jest Białorusin. Zagadałam więc po naszymu, a ten mnie pyta, czemu mówię do niego po białorusku? – opowiada Nadzieja Dąbrowska Viarbouskaya, która organizowała w Trójmieście różne akcje solidarności z białoruskim narodem.

W Warszawie byli zawsze aktywni, jednoczyli się i organizowali koncerty „Solidarni z Białorusią”. Demonstracje, pikniki w Noc Kupały. W innych miastach było z tym gorzej. Motorami trójmiejskiej integracji są od lat kobiety. Jak Lenka Janukowicz z Gdańska i Viktoria Hardzei z Sopotu. Obie przyjechały tu 10 lat temu dzięki Programowi Stypendialnemu im. Konstantego Kalinowskiego dla Białorusinów niemogących ze względów politycznych studiować w kraju. Lenka za udział w protestach po wyborach prezydenckich w 2010 r. została wyrzucona z uczelni. Viktorię do Polski wysłał ojciec. – Na Białorusi nikt, kto ma odmienne zdanie, nie może czuć się bezpiecznie. Ojciec do tej pory cieszy się, że nie jestem tam, bo znając mój charakter, to już bym była nieżywa albo le-dwo żywa – mówi Viktoria.

Jak hitlerowcy

– Nasza noblistka Swiatłana Aleksijewicz na początku myślała, że Białorusini to jest taki nie-naród, który mówi półjęzykiem. A teraz widzi, że to jest naród, który zadziwił cały świat. Jestem tego samego zdania: o Białorusi, która zawsze była taka cicha, skromna, zachowawcza, teraz zrobiło się głośno – opowiada w teatralnym korytarzu 34-letni Sasza Reznikow.

Przed wyjazdem z kraju w 2006 r. też uczestniczył w powyborczych manifestacjach. Protestowali na głównym placu Mińska przez cztery dni i noc, aż zgarnęła ich milicja. Trafił na 10 dni do aresztu. – Owszem, traktowali niegrzecznie, pałowali. Ale nie w takiej skali: teraz ci, którzy zatrzymują, przypominają hitlerowców, którzy wchodzili do białoruskich wsi i wszystko palili.

Po zwolnieniu Sasza został wyrzucony z Akademii Sztuk, gdzie studiował na wy-



BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA

Sasza Reznikow podczas happeningu „Stop przemocy na Białorusi”, Gdynia, 13 września 2020 r.

dziale teatralnym, i z Teatru Białoruskiej Dramaturgii, gdzie pracował. Plany na wymarzony zawód w ojczyźnie wzięły w łeb. Dzięki stypendium Kalinowskiego przyjechał na studia do Krakowa, gdzie skończył Akademię Sztuk Teatralnych. – Szybko się tu odnalazłem. Po niecałym roku już miałem polską dziewczynę. Jesteśmy mentalnie bardzo podobni. Polacy trochę więcej narzekają. A Białorusini, przynajmniej do tej pory, zdawali się myśleć: „Jak źle, to trudno, przeżyjemy jakoś”.

O rok młodszy od Saszy Yahor nie musiał za wymarzoną pracę emigrować. Jako informatykowi nie żyło mu się źle. – Ale bardzo mi się nie podobało to, co się działo na Białorusi, i że ludzie swoim milczeniem to akceptują. Oraz że nieeliczni chcą coś razem robić, a nie tylko w kuchni pogadać o tym, jak jest źle.

Przez ostatnie dwa lata przed emigracją uczestniczył w protestach w Brześciu przeciw truciowi środowiska przez fabrykę akumulatorów. – Tyle że uczestniczyło w nich niewielu. Z miasta, które ma populację 360 tysięcy, średnio dwieście osób. Wyjeżdżając z Białorusi myślałem, że na to, co się dzieje teraz, będzie trzeba czekać jeszcze pięć, dziesięć lat.

Blogger prawdę ci powie

Dlaczego w końcu przelała się czara goryczy? Reznikow i Kandratsiuk są zgodni: dużą rolę odegrała pandemia. – Łukaszenka obrał dosyć dziwny sposób walki z nią. Powiedział, że tego wirusa nie ma – mówi Sasza.

Yahor: – Zamiast kwarantanny dyktator zwoływał parady i czyny społeczne. Władza nie zakupiła niczego dla ochrony lekarzy i zwykłych ludzi, więc oni sami zaczęli się organizować. Myślę, że to było pierwszym czynnikiem budującym społeczeństwo obywatelskie.

Drugim był wzrost świadomości. Pojawili się blogerzy. Najpierw Niechta, czyli 22-letni Sciapan Puciła mieszkający w Polsce. Później Siarhiej Cichanouski, który postanowił kandydować w wyborach prezydenckich, ale nie został do nich dopuszczony, a wreszcie go aresztowano (to wtedy w wyborach wystartowała jego żona Swiatłana i, jak wierzą Białorusini, faktycznie je wygrała).

– Dzięki blogerom ludzie zaczęli więcej rozumieć. Bo w małych miasteczkach wiedzą, że u nich jest źle, ale przez propagandę w telewizji myślą, że tylko u nich. A blogerzy pokazywali, że problemy są

wszędzie i że musimy coś z tym robić – mówi Yahor.

– Według moich obserwacji bardzo dużo ludzi zmieniło opcję w sam dzień wyborów – dodaje Sasza. – Mogli nawet zagłosować na Łukaszenkę, ale kilka godzin później zobaczyli, jak władza brutalnie aresztuje, rzuca granaty, strzela z gumowych kul. Z każdym dniem manifestantów było coraz więcej.

Marsz solidarności

Dziś wszyscy wiemy, co dzieje się za naszą wschodnią granicą. Ale jeszcze trzy lata temu wielkie coroczne wydarzenie – plenerowy koncert „Solidarni z Białorusią” organizowany w Warszawie od 2006 r. – został zdegradowany do kame-

ralnych spotkań muzycznych w klubach. Powodów było kilka: spadek zainteresowania sprawami białoruskimi wśród Polaków, wśród polskich mediów, brak nadziei na zmiany polityczne na Białorusi.

Sasza Reznikow pod koniec sierpnia podczas koncertu Teatru Muzycznego w Muszli w Gdyni opowiadał publiczności o sytuacji Narodowego Teatru Akademickiego im. Janki Kupały w Mińsku, którego dyrektor Paweł Łatuszka stracił pracę za poparcie antyrządowych protestów. W ramach solidarności wymówienie złożyła większość zespołu. W czasie koncertu w Muszli na budynku teatru wyświetlano biało-czerwono-białą, zakazaną przez reżim, historyczną flagę Białorusi.

BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA



Protest „Stop przemocy na Białorusi”, Gdynia, 13 września 2020 r.



KAROL STANCIK

Yahor Kandratsiuk, wrzesień 2020 r.

→ Wcześniej Reznikow wpadł na pomysł, by polskie teatry, m.in. Teatr Narodowy, Capitol we Wrocławiu, Teatr Muzyczny w Poznaniu, Teatr Muzyczny Roma, nagrały pozdrowienia i słowa wsparcia dla zespołu z Mińska. Nagranie udostępniła telewizja Biełsat.

Kolejny plan Saszy to organizacja dla pozbawionych pracy aktorów Teatru Janki Kupały *tournee* po polskich scenach. – Właśnie prowadzimy rozmowy z Ministerstwem Kultury i prezesem

ZASP-u. Dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni Igor Michalski wstępnie już wyraził zgodę, żeby ich tu przyjąć. Mam nadzieję, że uda mi się zorganizować kolegom z Białorusi piękne występy.

Yahorowi Kandratsiukowi udało się zorganizować pod koniec sierpnia marsz solidarności w Gdańsku, który przeszedł od Złotej Bramy do placu Solidarności. Na potrzeby marszu wyłożył 450 zł na flagi. Zlecił ich uszycie, zamówił bambusowe kiję i megafon. Już po akcji ogłosił w internecie zrzutkę na zwrot kosztów.

Takie akcje są ważne, uważa Yahor, ale trzeba też pomagać konkretnym ludziom. Choć wierzy w sukces białoruskiej rewolucji, spodziewa się też znacznie większej liczby imigrantów z Białorusi, bo dyktatura może upadać powoli. Nowo przybyłym trzeba będzie pomóc: zapewnić informację, bezpłatne lekcje polskiego, pomoc psychologiczną i wsparcie w poszukiwaniu pracy. – Dla mnie jako informatyka przeniesienie się samemu do Polski nie było trudne. Ale niełatwo się przeprowadzić, nie znając języka i nie mając uniwersalnego zawodu – mówi.

Yahor przygotował milicyjne pałki na performans, a Sasza występ wokalny. A właściwie dwa – pieśń ludową na performans i białoruską wersję „Murów” Jacka Kaczmarskiego do wideoklipu. Wcześniej „Mury” zaśpiewał już z Teatrem Capitol z Wrocławia. Klip kręcono m.in. w pobliżu gdyńskiej stoczni, gdzie w 1970 r. doszło do masakry robotników.

Z inicjatywą nagrania wyszła wiceprezydent Gdyni Katarzyna Gruszecka-Spychała. – Pamięć Grudnia jest w Gdyni wciąż żywa, choć w tym roku od masakry robotników minie 50 lat. Grudzień uświetlił drogę Sierpniowi. Czuję wielką potrzebę okazania solidarności Białorusinom, którzy o swoją wolność podjęli tak piękną, pełną determinacji, bohaterską i pokojową walkę – mówi wiceprezydent, która też wsparła performans organizowany po raz pierwszy w jej mieście.

Bo białoruski zryw jest jak podwójne espresso o przedłużonym działaniu: obudził z zimowego snu nie tylko Saszę, Yahora i innych białoruskich imigrantów nad Wisłą, ale też wielu Polaków.

© PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

Filharmonia Narodowa

dwójka POLSKIE RADIO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

instytut muzyki i tańca

Dofinansowane ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Aktywny realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

PARTNER GŁÓWNY

LOTTO

MECENAS

ORLEN

INSTITUT ADAMA MICKIEWICZA

LOTTO

ABU DHABI FESTIVAL

UTAL LICENSE PLATE SOLUTIONS

HEXELINE

STRÖER

TVP KULTURA

RZECZPOSPOLITA

pap

VOGUE

BEETHOVEN MAGAZINE

LOTNISKO CHOPINA WARSZAWA

JCDecaux

www.beethoven.org.pl

24. wielkanocny festiwal

ludwiga van beethovena

10–22 października 2020
warszawa

ANNA

Dziewit-Meller: *Petrificus totalus*



W POLSCE OSTATNICH TYGODNI NAPRAWDĘ strach położyć się spać. Bo potem wstaje się rano nieświadomym niczego, czasem nawet w dobrym nastroju, pełnym jakiejś głupiej wiary w coś miłego, co może przynieść nowy dzień, i nagle bum! – złudzenia opadają, gdy Polska wita zaspanych mocnym kopem w tyłek.

Tak jak 30 września, o poranku, który w lidze strasznych polskich poranków wysuwa się na czoło. Był to poranek, podczas którego pogłoski o posadzeniu Przemysław Czarnka na stanowisku ministra odpowiedzialnego za edukację i naukę okazały się niestety nieprzesadzone.

Powiedzieć, że oniemiałam, to nic nie rzec. Jakąż wszechmocną siłę posiada ów wątpliwy profesor *in spe*, że potrafi zaklinać ludzi w kamień na odległość, samą informacją o swej nominacji! *Petrificus totalus* – powiadają moje dzieci, machając plastikowymi różdżkami z uniwersum Harry'ego Pottera, i zamieniając się w zabawie w słupy soli. Czym zaś macha Czarenek? Boję się nawet myśleć.

Gdybym miała Wam opisać, jak czuję się pisząc te słowa, 24 godziny po ogłoszeniu jego nominacji, rzekłabym, że mieszą się we mnie dwie podstawowe emocje, którym początkowo oszalałymi zdumieniem stopniowo ustąpiło miejsca. Pierwsza to uczucie, które musi towarzyszyć każdemu, kto właśnie z zaskoczenia dostał w pysk z liścia. Jest fizyczny ból rozlewający się wokół czerwonego placka na gębie, owszem, ale jest też poczucie głębokiej krzywdy i poniżenia. Uderzyć kogoś w twarz – to przecież esencja pogardy.

Z krzywdy, której doznałam dowiadując się, że ten homofob, ksenofob, mizogin i głosiciel szkodliwych bzdur zostaje ministrem odpowiedzialnym za edukację również moich dzieci, zaczyna mi wyrastać nowe uczucie, pnące się wzdłuż kręgosłupa niczym jaszczurka, a może raczej jak żmija. To gniew, tak wielki, że aż mi się przestaje mieścić w wątlm ciele. Jak mi dziś bardzo szkoda, że na tych kulturalnych łamach nie mogę w pełni wyrazić za pomocą najbardziej nieprzyzwoitych słów tego, co obecnie myślę o nowym rządzie Polski. Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić Państwa, byście sobie w moim imieniu sami, jeśli macie w zwyczaju przekląć w godzinie rozpacz, owych najgorszych słów użyli. Należy się nam.

Kim będziemy jako społeczeństwo za parę lat, jeśli taki człowiek staje na czele resortów kluczowych dla naszej przyszłości? Czy myślicie o tym równie obsesyjnie jak ja? Jakiego pokolenia nam się chce wychować, wsadzając na ten urząd

gościa, który nie uznaje praw człowieka, wskazuje śmiało grupy podludzi, kobietom każe zająć się rodzeniem dzieci, a w sprawie dzieci powiada uczenie, że *qui bene amat, bene castigat* (kto kocha naprawdę, ten karci surowo)? Czy wasze dzieci, zwłaszcza te nastoletnie, wiedzą, kim jest pan, który będzie nadawał ton edukacji w ich szkołach?

„Nie ma wątpliwości, że cała ta ideologia LGBT wyrastająca z neomarksizmu pochodzi z tego samego korzenia, co niemiecki narodowy socjalizm hitlerowski, który jest odpowiedzialny za wszelkie zło II wojny światowej, zniszczenie Warszawy i zamordowanie powstańców. Korzeń jest ten sam” – rzekł pan minister mianowany w dniu, w którym media obiegała informacja o kolejnym dziecku: tym razem 12-letniej dziewczynce z Kozienic, która odebrała sobie życie, ponieważ – czego nie chce przyznać szkoła, ale co mówią same dzieci – została zaszczuta przez rówieśników z powodu swojej orientacji seksualnej. Pan Czarenek od dawna kreśli obraz swojego największego wroga. Widzicie go równie wyraźnie jak ja?

Nikt nie może już mieć wątpliwości, jak polska szkoła, będąca w koszmarnym kryzysie po „deformie Zalewskiej” i po doświadczeniu zdalnego chaosu wiosną, będzie wyglądać za chwilę. Szczercze mówiąc nie zdziwi mnie już chyba nawet powrót „kozy” i bicia bachorów linijką po łapach. W końcu, jak to były wojewoda Czarenek pisał w artykule z 2018 r.: „W życiu bywa tak, że słowne upomnienia i rozmowy nie wystarczają do wyeliminowania negatywnych przyzwyczajeń i zachowań. W niektórych życiowych sytuacjach zastosowanie kary fizycznej, kary cielesnej, bywa nieodzowne. I choć (...) wielu pedagogów i psychologów optuje za tzw. karą naturalną (...), to przecież jest absolutnie jasne, że nie zawsze bierne oczekiwanie na taką karę będzie uzasadnione. Niekiedy istnieje konieczność zastosowania przymusu fizycznego, w tym kary cielesnej”.

Wiem, że jesteśmy już wszyscy zmęczeni, wiem, że brak nam często sił na protesty, ale tym razem – po prostu błagam Państwa – wyrażmy swój najgorętszy sprzeciw wobec tej koszarnej decyzji kadrowej. Jesteśmy to winni naszym dzieciom.

©

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 253/19 postępowanie z wniosku Aleksandra Zajączkowskiego o stwierdzenie nabycia przez niego udziału w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości, położonej w Jarocinie, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1433, o powierzchni 0,0187 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00034192/6.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

SKĄD SIĘ BIORĄ KSIĘŻA

Kandydaci do seminariów są dziećmi świata, który odchodzi w przeszłość.
Czy już jako duchowni uniosą reformę Kościoła?

MACIEJ MÜLLER

W WRZEŚNIU 2019 R. REKTORZY polskich seminariów duchownych wracali ze zjazdu w Rzeszowie ze szczególnym dokumentem. Była to rozbudowana, licząca 91 pytań ankieta ks. prof. Krzysztofa Pawliny, specjalisty w zakresie formacji seminaryjnej, autora wielu opracowań na temat młodzieży. Adresatami byli nowo przyjęci klerycy.

– W watykańskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa czeka na akceptację nowe polskie „Ratio fundamentalis”, dokument o szczegółach formacji kapłańskiej – mówi ks. Pawlina. – Pomyślałem, że skoro odpowiedzieliśmy na pytanie: jak formować, musimy wiedzieć też, kogo formujemy. Taki był punkt wyjścia moich badań. Dopiero zestawienie ich wyników z „Ratio” pozwoli zaproponować formację odpowiednią dla Kościoła w Polsce.

Ankiety wypełniali kandydaci przyjęci do seminarium, ale przed rozpoczęciem zajęć. Jak podkreśla ks. Pawlina, chodziło o to, by nie zostali jeszcze poddani procesom formacyjnym, a ich odpowiedzi były autentyczne. Wyniki badacz otrzymał z 38 seminariów, nie odpowiedziały tylko przemyskie, olsztyńskie, zielonogórskie i zamojsko-lubaczowskie. Ankiety było w sumie 289.

Kleryk w procentach

20 lat temu ks. Pawlina przeprowadził badania za pomocą podobnego formularza. Pierwsze, co się rzuciło w oczy po zestawieniu wyników ankiet z 2000 i 2020 r.,

to liczba respondentów, pokazująca wymiar spadku powołań: dwie dekady temu w badaniu wzięło udział 925 kandydatów. I wtedy (49), i dziś (24) w statystykach góruje diecezja tarnowska i szerzej: archidiecezja krakowska, z której pochodzi 19 proc. (20 lat temu: 13 proc.) wszystkich kandydatów. Badania potwierdziły intuicję tłumacząc ten wysoki wynik: chodzi o silnie rozbudowaną, tradycyjną religijność regionu. Przez 20 lat nie nastąpiły zmiany w pochodzeniu społecznym kleryków: 60 proc. z miast, 40 proc. ze wsi, co oddaje strukturę ludności kraju.

Przeważająca większość kandydatów to maturzyści, trzydziestkę przekroczyło 4,5 proc. (20 lat temu było ich tylko 0,9 proc.). Dyplom studiów magisterskich ma 7 proc. badanych. Ponad połowa deklaruje, że pracowała zawodowo.

Z pełnych rodzin wywodzi się 84 proc. kandydatów, z dotkniętych rozwodem lub separacją – niecałe 7 proc. Ks. Pawlina, wskazując na znaczny wzrost liczby rozwodów w ostatnich 20 latach, podkreśla, że „głównym źródłem powołania są trwałe rodziny chrześcijańskie”. I to takie przynajmniej z dwójką dzieci: 92 proc. badanych ma rodzeństwo.

Tylko 3,5 proc. badanych oceniło sytuację materialną swojej rodziny jako złą. Ponieważ znacząco wzrosły wskaźniki wykształcenia rodziców nowych kleryków (33 proc. matek i 21 proc. ojców skończyło studia), ks. Pawlina uważa, że skończył się czas, kiedy „pójście na księ-

dza” oznaczało awans społeczny. Mówi o wyborze „dobrowolnym i refleksyjnym”.

Ministranci, oazowicze

Pytani o źródła wiary, klerycy wskazują na tradycję i wychowanie w rodzinie (29 proc.), uczęszczanie do kościoła, wpływ kazań i kapłanów (25 proc.), przeżycia i doświadczenia życiowe (18 proc.) oraz osobiste przemyślenia i przekonania (18 proc.). Aż 85 proc. było ministrantami. 68 proc. należało do rozmaitych wspólnot, z wyraźną przewagą Ruchu Światło-Życie (33 proc.) i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży (12 proc.).

Podjęmac decyzję o wstąpieniu do seminarium, kandydaci znaleźli wsparcie znajomych księży lub swojego proboszcza (81 proc.), matki (75 proc.), kolegi (73 proc.), rzadziej ojca (62 proc.). Kto się sprzeciwiał? Najczęściej koledzy (35 proc.), rzadziej rodzeństwo, rodzice i nauczyciele. Dla 55 proc. opinia otoczenia nie była znacząca. 20 lat temu wskaźnik ten sięgał jednak 64 proc., co oznacza – uważa ks. Pawlina – że dziś kandydaci bardziej potrzebują afirmacji swojego stanowienia.

Nieco wyższy niż w 2000 r. stopień dezaprobaty rodziny wobec planów dziecka, by zostać duchownym, autor badań tłumaczy procesem sekularyzacji, spadkiem prestiżu społecznego księdza i malejącą dietnością, z czym łączy się niechęć do „utruty” jednego z dzieci.



GRZYNA MAKARA

Stolica Kanady?

By zbadać poziom wiedzy kleryków, ks. Pawlina pytał ich o stolice kilku krajów, nazwiska najważniejszych urzędników państwowych, sięgnął też do katechizmu. Większość wyłożyła się na pytaniu o stolice Australii i Kanady. Marszałków Sejmu i Senatu potrafiło wskazać tylko 23 i 27 proc., podczas gdy 20 lat temu te dwa ostatnie wskaźniki przekraczały 60 proc.

Imiona dwóch poprzedników Jana Pawła II w Stolicy Apostolskiej prawidłowo podało 46 proc. badanych. 54 proc. nie potrafiło wymienić żadnej encykliki polskiego papieża. „Oznacza to spadek znajomości nauczania papieskiego wśród młodzieży” – konkluduje ks. Pawlina. 82 proc. wskazało przykazanie miłości jako najważniejsze przykazanie chrześcijańskie. 85 proc. zna liczbę warunków spowiedzi, 93 proc. poprawnie wymieniło imiona ewangelistów. Względem badań sprzed 20 lat wiele wskaźników opadło od kilku do kilkunastu punktów procentowych. „Najprostszym wytłumaczeniem tego faktu wydaje się słabość szkolnej katechezy” – podsumowuje ks. Pawlina.

Wyborcy Konfederacji

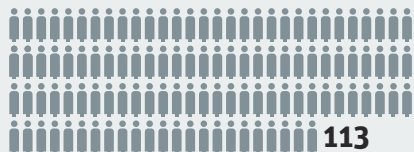
Spytani, co jest ważne dla polskiego narodu, kandydaci do kapłaństwa wskazali na pierwszym miejscu religię (82 proc.), patriotyzm (59 proc.) i godność osoby ludzkiej (42 proc.). Nisko na liście znalazły się sprawiedliwość społeczna (12 proc.), prawa człowieka (8 proc.), równość społeczna (7 proc.) i demokracja (5 proc.). Ks. Pawlina widzi tu efekt zwątpienia w kierunek przemian ustrojowych.

W wyborach do europarlamentu w maju 2019 r. 62 proc. głosowało na PiS, 24 proc. na Konfederację, 7 proc. na Kolicję Europejską. Dwie trzecie pozytywnie ocenia rządy Zjednoczonej Prawicy, 76 proc. wyraża dezaprobatę wobec opozycji. Mimo to tylko 21 proc. negatywnie ocenia wstąpienie Polski do UE. 23 proc. badanych widzi zagrożenia dla Polski w napływie imigrantów, ale 10 proc. – we wzroście nastrojów nacjonalistycznych.

A jak nowi klerycy patrzą na problem kryzysu Kościoła wywołanego skandalami seksualnymi? Prawie 90 proc. twierdzi, że chociaż sytuacje nadużyć występowały, to wyolbrzymia się ich skalę, a odosobnione przypadki próbuje uogólnić. 66 proc. uważa, że w obliczu kryzysu duchowieństwo i wierni staną na wysokości →

STĄD POCHODZĄ PRZYJĘCI DO SEMINARIÓW

wieś



113

miasto do 10 tys.



35

miasto 10-20 tys.



28

miasto 20-50 tys.



26

miasto 50-100 tys.



34

miasto powyżej 100 tys.



52

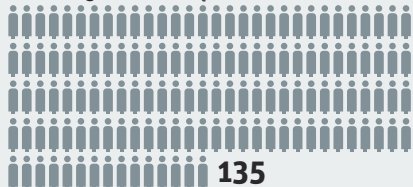
brak odpowiedzi



1

TAK SĄ WYKSZTAŁCENI

liceum ogólnokształcące



135

technikum



53

nieukończone studia licencjackie



46

ukończone studia licencjackie



20

ukończone studia magisterskie



20

nieukończone studia magisterskie



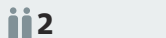
9

szkoła pomaturalna



3

liceum zawodowe



2

brak odpowiedzi



1

TAKIE ZAGROŻENIA DOSTRZĘGAJĄ DLA POLSKI I POLAKÓW (W PROC.)

Oslabienie religijności

74,4

Upadek obyczajowości i moralności

56,4

Materializm i konsumpcjonizm społeczeństwa

50,9

Utrata tożsamości kultury

43,3

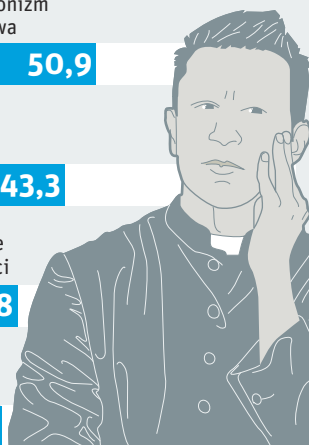
Ograniczenie suwerenności

31,8

Dominacja gospodarcza obcych

28,0

ŹRÓDŁO: KS. KRZYSZTOF PAWLINA „POWOŁANIA KAPŁAŃSKIE AD 2020”
Badanie ankietowe przeprowadzone na 289 kandydatach przyjętych do seminariów.



LECH MAZURCZYK

→ zadania, a polski Kościół wyjdzie z niego obronną ręką. 42 proc. zgadza się z tezą, że Kościół w naszym kraju wymaga oczyszczenia i gruntownej naprawy. Znaczący jest odsetek tych, dla których „wszystkie doniesienia na temat nadużyć seksualnych księży i wywołany wokół nich szum medialny były tylko propagandowym atakiem na Kościół”: uważa tak 40 proc. badanych.

Z ludu wzięci

– Co mnie zdziwiło, kiedy patrzyłem na te wyniki? Chyba najbardziej to, że nie czytają ksiązek – mówi Tomasz Terlikowski, publicysta. 9 proc. kandydatów nie przeczytało w ciągu roku żadnej książki, prawie 60 proc. najwyżej pięć. – Ktoś, kto nie czyta, nie rozwija się ani intelektualnie, ani duchowo. A chrześcijaństwo jest przecież religią Słowa.

Zbigniew Nosowski zastrzega, że wyniki badań ks. Pawliny zna jedynie z opracowania Katolickiej Agencji Informacyjnej. – Obraz, który tu widzimy, to nie produkt seminarium, bo badania dotyczą ludzi rozpoczynających formację, tylko produkt polskiego katolicyzmu – wskazuje. – Oni są „z ludu wzięci”. Z pewnymi odchyleniami, bo przecież katolicy nie głoszą w 80 proc. na prawicę.

Czy księża, którzy za sześć lat wyjdą z seminariów, będą w stanie budować Kościół według recepty papieża Franciszka? – W takim pytaniu kryje się oczekiwanie na kandydata, który powinien zawczasu posiadać założone cechy – uważa ks. Pawlina. – Tymczasem tu chodzi o Kościół, który trzeba wymodlić, a kto dzisiaj modli się za seminarzystów, za ich wychowawców? Kościół jest taki, jacy jesteśmy my, wierzący. Nie siemy go w sobie. Taki będziemy mieć Kościół, jak wychowamy w rodzinach swoje dzieci i jak poprowadzimy w seminarium tych, którzy pójdą za głosem powołania.

– Kandydaci nie są inni od rówieśników – zauważa ks. Pawlina. – Wyróżnia ich właśnie to, że odpowiedzieli na powołanie Boże, więc muszą w sobie mieć głębszą wrażliwość. 40 proc. powiedziało, że nikt na nich nie wpływał w kwestii wstępowania do seminarium. To była ich decyzja. Tak więc to ludzie, którzy wiedzą, co robią i czego chcą. Dziś księża nie cieszą się specjalnym szacunkiem w społeczeństwie, więc chylę czoło przed młodymi, którzy mimo to idą za wewnętrznym głosem powołania.

Według Tomasza Terlikowskiego badania pokazują przede wszystkim stan

polskiego katolicyzmu: – Żyjemy w sytuacji gwałtownych zmian w strukturach społecznych: seminaria pustoszeją, podobnie jak nowicjaty zgromadzeń żeńskich, młodzież odwraca się od Kościoła i wiary. W dłuższej perspektywie Kościół się zmieni, ale nie dokona tego nowe pokolenie księży. Znaleźli w sobie odwagę, i chwała im za to, żeby pójść do seminarium, często wbrew opinii rówieśników. Ale oni są jeszcze późnymi dziećmi struktur, które właśnie odchodzą w przeszłość.

– Nie dziwi mnie ich podejście do kwestii skandali seksualnych w Kościele – kontynuuje Terlikowski. – Mocno mi to uświadomiło, że w najbliższych 10-15 latach nie będzie zmiany pokoleniowej. Klerycy mają mniej więcej takie poglądy jak księża, również ci pracujący w seminariach. Ks. dr Piotr Górski, były rektor seminarium w Kaliszu, który walczył o właściwe reagowanie władz kościelnych na przypadki molestowania nieletnich, jest raczej wyjątkiem. Wychowawcy, którzy tylko powtarzają opinie innych, nie przygotowują nikogo do samodzielnego myślenia i samodzielnej duchowości. Nie widzę powodów, żeby seminaria miały głęboko przemienić tych młodych ludzi.

Osamotnienie

Zdaniem Zbigniewa Nosowskiego nie wszystkie elementy analizy pozwalają na wyprowadzanie daleko idących wniosków. Przykładem jest powtarzana w mediach teza, że tylko znikomy odsetek kleryków chciałby w przyszłości prowadzić katechezę. Ankietowe pytanie brzmiało: „Czemu – w przyszłości – jako kapłan chciałby się Pan najbardziej poświęcić”. Pracę w parafii wskazało 45 proc., duszpasterstwo specjalistyczne 11 proc., a katechezę 2,4 proc.

Nosowski zwraca uwagę na błąd metodologiczny. – Wskazać można było tylko jedną odpowiedź. Tymczasem praca w parafii zakłada przecież prowadzenie katechezy. Nie istnieje w Polsce odrębny rodzaj posługi kapłańskiej polegający wyłącznie na uczeniu w szkole. Ci, którzy wskazali na pracę parafialną jako najistotniejszą sferę, której chcieliby się poświęcić, mogli mieć na myśli również nauczanie religii. Nie można więc formułować wniosków o niechętnym podejściu kleryków do nauczania i w ogóle do przepowiadania. Podobnie niedopracowane socjologicznie jest pytanie o najważniejszy obowiązek katolika. Nie można było wybrać jednocześnie umiłowania Boga i umiłowania bliźnich. A przecież przykazanie miłości jest jedno i obejmuje obie te sfery. Nie snułbym więc refleksji na temat malejącej gotowości do służby innym.

Problem, jakkolwiek badania ks. Pawliny nie pozwalają go zdiagnozować, jest jednak realny. Tomasz Terlikowski: – Kiedy rozmawiam z przełożonymi zakonnymi czy z proboszczami, opowiadają, że młodzi księża niechętnie podchodzą do zaangażowań, które wymagają ofiary, służby, a katecheza niewątpliwie czymś takim jest. Są nastawieni na samo-realizację, która w ich przypadku przybiera nazwę pogłębiania relacji z Panem Bogiem. Tylko że jeśli ktoś wyznacza sobie taki życiowy cel, to jego drogą jest powołanie mnicha.

Zastanawiając się nad faktem, że klerycy nisko cenią takie wartości, jak solidarność, tolerancja i demokracja, Terlikowski wskazuje na kontekst społeczny. – Żyjemy w rzeczywistości baniek medialnych i plemion politycznych. Poszczególne plemiona w Polsce przypisały sobie pewne wartości, ale często nie mają one funkcji autonomicznej, tylko opozycyjną wobec wartości drugiej

strony. Strona umownie zwana liberalną odrzuca takie wartości jak tożsamość narodowa, a konserwatywna – demokrację, prawa człowieka czy solidarność.

Jak to zjawisko wpływa na grupę kandydatów do kapłaństwa? – Większość wywodzi się z plemienia konserwatywnego i jest nośnikiem jego poglądów – mówi Terlikowski. – To zjawisko dla Kościoła niebezpieczne, bo ogranicza jego pole przekazu do strony konserwatywnej. Będzie brakowało duchownych, którzy potrafiliby trafić do strony liberalnej. Dziś znacząca część katolicyzmu światowego, w tym papież Franciszek, mocno akcentuje elementy społecznej wrażliwości Kościoła. Procesy, które obserwujemy w Polsce, oznaczają więc pewne osamotnienie intelektualne.

Wyparcie

Badania ks. Pawliny ujawniły jeszcze jeden problem: 39 proc. kandydatów do kapłaństwa przyznało się do częstego i regularnego sięgania po pornografię. Czy to dużo? – To wskaźnik reprezentatywny dla populacji młodych ludzi ok. 20. roku życia – mówi prof. Maria Beisert, psycholożka i seksuolożka, kierująca Zakładem Seksuologii Społecznej i Klinicznej w Instytucie Psychologii UAM w Poznaniu. – Niestety pytanie ankietowe nie wyjaśniało, czym jest pornografia. Tymczasem co innego mógł mieć na myśli jego autor, a co innego odpowiadający.

Czy w przypadku tych kleryków można mówić o uzależnieniu? Prof. Beisert: – Nie. Informacja o częstości sięgania po pornografię to za mało, nie znamy przecież motywacji, dla jakiej człowiek to robi. Musielibyśmy wiedzieć, czy działa tu jakiś mechanizm, który się wymknął spod kontroli. Do diagnozy potrzebne są metody kliniczne, nie ankiet.

Problem sięgania po pornografię wiąże się z szerszym – i kluczowym dla dzisiejszego Kościoła – zagadnieniem dojrzałości psychoseksualnej przyszłych duchownych. – Nie mam wglądu w formację seminaryjną, ale prowadzę osoby, które poszukują pomocy specjalistycznej, ponieważ w zamkniętym systemie kościelnym boją się zgłosić problemy ze sferą seksualną – mówi prof. Beisert. – Nie mają pewności, czy im to nie zaszkodzi, czy nie dojdzie do władz. Wnioskuje z tego, że podczas formacji raczej dąży się do tego, żeby klerycy zaprzeczali swojej seksualności, zamiast ją poznawać, odkryć jej mechani-

zmy. Człowiek, który ma wgląd w siebie, człowiek samowiedny, żyje szerzej i głębiej, nie szkodzi ani sobie, ani innym. A to powinna być cecha podstawowa księdza.

– Klerycy to w większości młodzi mężczyźni po maturze. To okres, kiedy napięcia seksualne u mężczyzn są najwyższe – tłumaczy seksuolożka. – Wybór abstynencji seksualnej na całe życie powinien być podjęty w oparciu o wiedzę na temat seksualności i jej przemian. Dlatego klerycy powinni mieć dostęp do wiedzy naukowej wolnej od ideologii. Edukację powinny prowadzić osoby z zewnątrz, niezależne od władz kościelnych, posiadające wiedzę potwierdzoną przez odpowiednie tytuły i certyfikaty. Kleryków należałoby zachęcić, by eksplorowali swoją seksualność, zastanawiali się nad nią. Tym bardziej że jako celibatariuszy czekają ich poważne wyzwania w tej sferze.

Łaska

Tomasz Terlikowski po analizie badań nad nowymi klerykami wskazuje na kilka elementów niezbędnych w procesie kształcenia. – Potrzebna jest gruntowna i wymagająca formacja intelektualna. Po drugie: mocna formacja życiowa, psychologiczna. Osoby niedojrzałe nie powinny być święcone. Po trzecie: powinno się formację wydłużyć, uzupełniając o przynajmniej roczną pracę duszpasterską w parafiach i o praktyki zdobywane poza granicami Polski, żeby mogli poznać inne modele katolicyzmu. Klerycy powinni też podróżować między diecezjami: szlakiem kulturowym będzie już przejazd z diecezji tarnowskiej do archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej.

– Przez 6 lat kleryk pracuje nad sobą, działa w nim łaska Boża. Nie wróżmy z fusów: Kościół będzie taki, jaki Pan Bóg powołał na ten czas. Moje badania są przede wszystkim informacją dla wychowawców o tym, kogo przyjęliśmy do seminarium. Wprawdzie rektorzy dobrze znają kandydatów, bo z każdym rozmawiają indywidualnie, ale brakowało dotychczas całościowego obrazu – ocenia ks. Pawlina.

I zauważa: – Trudno opisać ideał kleryka. Nikt nie spisuje cech, którymi musi się charakteryzować kandydat do kapłaństwa. Na furcie seminaryjnej spotykam się z młodymi ludźmi, którzy mówią po prostu: czuję, że Bóg mnie powołuje. Przyjmujemy ich takich, jakich Pan ze chciał wezwać. ©P MACIEJ MÜLLER

Podróż Madonny

MAGDALENA ŁANUSZKA

„Madonna pod jodłami”, dzieło jednego z mistrzów północnego renesansu, zachwyca nie tylko klasą artystyczną, ale także złożoną symboliką teologiczną, ukrytą w starannie malowanych detalach.

NA CZAS REMONTU WROCŁAWSKIEGO Muzeum Archidiecezjalnego „Madonna pod jodłami” Lucasa Cranacha starszego została wypożyczona Muzeum Narodowemu we Wrocławiu i podziwiać ją można na czasowej wystawie (do 31 marca 2021). Dzieło to wciąż kryje w sobie wiele niewiadomych. Jak i kiedy dokładnie trafiło do Wrocławia? Jakie symboliczne treści ujęte są w jego kompozycji? I czy rzeczywiście przedstawia Madonnę „pod jodłami”?

Człowiek sukcesu

Lucas Cranach starszy (ok. 1472–1553) to jeden z najważniejszych artystów północnego renesansu. Odnosił wielki sukces – niewiele jednak wiemy o początkach jego kariery. Pierwsze kroki jako artysta stawiał pod okiem ojca, którym był niejaki Hans Maler, czyli Jan Malarz. Lucas był jednym z czwórki jego dzieci. Od miejsca urodzenia – miejscowości Kronach w północnej Frankonii – Lucas przybrał nazwisko Cranach. Kluczowe lata edukacji i pierwszych podróży artysty pozostają owiane tajemnicą. Wiemy jedynie, że w roku 1502 znalazł się w Wiedniu – lecz był już wtedy człowiekiem trzydziestoletnim, a zatem artystą ukształtowanym i zapewne z niemałym dorobkiem. Krótki pobyt w Wiedniu pozwolił Cranachowi na wejście w środowisko tamtejszych humanistów.

W 1505 r. w Wittenberdze Lucas Cranach przyjął posadę nadwornego artysty Fryderyka III Mądrego, elektora saskiego, i pracę tę zachował do końca życia. Two-

rzył obrazy i grafiki, ale także odpowiadał za całość rozmaitych dworskich dekoracji: wystrój komnat, projekty gobelinów i szat, oprawę artystyczną uroczystości, a nawet dekoracje rękopisów. Wykonywał dzieła sakralne na zlecenia władców i arystokratów, cieszył się wzięciem jako portrecista.

Zamówień miał tyle, że musiał zorganizować prężnie działający warsztat zatrudniający wielu współpracowników. Warsztat ten kontynuował pracę wiele lat po śmierci mistrza, przejęty przez jego syna, Lucasa Cranacha młodszego (1515–86). Dzisiaj historycy sztuki często mają problem z określeniem, które z wielu dzieł z warsztatu Cranachów można określić jako autorską pracę ojca lub syna, a które powstały przy większym udziale ich uczniów.

Lucas Cranach był artystą spełnionym: miał nie tylko talent, ale także smykałkę do interesów. W Wittenberdze zainwestował w handel winem, drukarnię oraz aptekę. Jako człowiek bogaty miał liczne nieruchomości, a poza tym nie stronił od polityki – wielokrotnie sprawował funkcję radnego; kilkakrotnie także był burmistrzem miasta.

Przedsiębiorczość Cranacha znalazła odzwierciedlenie w jego twórczości: tworzył dzieła niezależne od osobistych poglądów. Lucas Cranach starszy był zwolennikiem reformacji: przyjaźnił się z Marcinem Lutrem, był świadkiem na jego ślubie z Kathariną von Bora, a potem ojcem chrzestnym ich syna. Drukował teksty protestanckie, nawet przekład

Nowego Testamentu autorstwa Lutra, ale nie przeszkadzało mu to w realizowaniu katolickich zamówień. Ani w malowaniu licznych mitologicznych aktów, choć erotyka była obiektem krytyki pobożnych protestantów. Jeśli zaś chodzi o obrazy religijne, z warsztatu Cranacha wyszło wiele Madonn z Dzieciątkiem.

Zaginiona Madonna z Głogowa

Dwa Cranachowskie obrazy przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem od ponad czterech stuleci należą do kościołów dolnośląskich: katedry we Wrocławiu i kolegiaty w Głogowie. W kilku publikacjach oba te dzieła wiązane są z osobą Joachima von Liedlau, dziekana wrocławskiej katedry i proboszcza kolegiaty głogowskiej, który zmarł w 1565 r. we Wrocławiu, a pochowany został w kaplicy św. Marii Magdaleny w głogowskiej świątyni.

Najczęściej jest on określany jako „fundator” tych obrazów, ale to błąd – nie powstały one bowiem na jego zlecenie. Był nabywcą, i to tylko jednego z nich: Madonny, którą podarował kolegiacie w Głogowie. Obraz ten zawiera daty: 1518 (to czas powstania dzieła) oraz 1555 (wówczas Madonna znalazła się w posiadaniu rodziny von Liedlau – było to już dwa lata po śmierci Lucasa Cranacha starszego).

Tak zwana Madonna Głogowska jest dziś oficjalnie stratą wojenną: w 1944 r. ewakuowano ją z Głogowa do Henrykowa, a następnie, w 1945 r., do Łądku Zdroju. Tamtejszy proboszcz zmuszony był 4 czerwca wydać obraz niejakiemu Mosewowi, majorowi Armii Czerwonej, na mocy upoważnienia wydanego przez komendanturę radziecką w Łądku. Mosew zostawił nawet pokwitowanie – ale słuch o obrazie zaginął. Do czasu.

W początku bieżącego stulecia, na mocy decyzji Sądu Konstytucyjnego Federacji Rosyjskiej z 1999 r., tamtejsze Ministerstwo Kultury uruchomiło stronę internetową lostart.ru, na której obok rosyjskich strat wojennych opublikowano również obiekty, które zostały „przemieszczone” na teren byłego Związku Radzieckiego. I w ten sposób cały świat się dowiedział, że Madonna Głogowska jest w magazynie moskiewskiego Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina. Dziś już nie zobaczymy jej reprodukcji we wspomnianym serwisie – obiekty „przemieszczone”

Lucas Cranach starszy
„Madonna z Dzieciątkiem
zw. Głogowską”, 1518 r.



WYDZIAŁ RESTYTUCJI DOBR KULTURY / KATALOG STRAT WOJENNYCH



ZE ZBIORÓW MUZEUM ARCHIDIECEZJALNEGO WE WROCŁAWIU

Lucas Cranach starszy „Madonna pod jodłami”, ok. 1510 r.

z niego zniknęły. Polska od 2004 r. skutecznie stara się o odzyskanie dzieła.

Historia wrocławskiej Madonny była równie burzliwa, lecz przynajmniej doczekała się happy endu.

Burzliwe dzieje Madonny

W 1508 r. elektor saski nadał Lucasowi Cranachowi herb w postaci skrzydlatego węża w koronie, trzymającego w pysku pierścienia z rubinem; jego znaczenie pozostaje dla nas niejasne. Skrzydlaty wąż stał się jednak znakiem firmowym warsztatu Cranacha, używali go także jego synowie. Oba obrazy podarowane śląskim kościołom są nim sygnowane.

W przypadku Madonny Głogowskiej znak jest umieszczony w lewym dolnym rogu (na tle roślinności) i opatrzony datą 1518. Wrocławska „Madonna pod jodłami” natomiast jest sygnowana na

pierścieniu, również znajdującym się w lewym dolnym rogu obrazu: widnieje na nim nie tylko wąż, ale także inicjały artysty, ukazane w lustrzanym odbiciu. Cranach po prostu namalował tutaj swój herbowy sygnet – niewykluczone zatem, że dzieło powstało wkrótce po nadaniu artyście prawa do pieczętowania się własnym znakiem.

Trudno powiedzieć, dlaczego wiele publikacji powtarza błędną informację, jakoby fundatorem Madonny z katedry wrocławskiej również był Joachim von Liedlau. Obraz datowany jest na ok. 1510 r., natomiast Joachim von Liedlau studiował w latach 30. XVI wieku, a kanonikiem wrocławskiej katedry został dopiero w roku 1551. W katedrze wrocławskiej obraz Cranacha znalazł się wcześniej, za czasów biskupa Jana Thurzona (zm. 1520), najprawdopodobniej przywieziony z Wittenbergi przez póź-

niejszego reformatora Jana Hessa, który od 1513 r. był notariuszem w kancelarii wrocławskiego biskupa.

Nie wiem też, dlaczego często się mówi, że „Madonna pod jodłami” była dziełem zamówionym specjalnie do wrocławskiej katedry. Hess przyjechał do Wrocławia kilka lat po prawdopodobnej dacie powstania obrazu, a potem już jako pracownik biskupiej kancelarii był krótko w Wittenberdze w 1517 r. – więc chyba raczej przywiózł Thurzonowi dzieła (bo oprócz Madonny było jeszcze „Biczowanie Chrystusa”, również pędzla Cranacha) powstałe wcześniej, być może bez specjalnego zamówienia lub na zlecenie kogoś innego.

Tak czy inaczej, dzieło znalazło się we Wrocławiu już w pierwszym dwudziestolecu XVI wieku i do dziś należy do tamtejszej archidiecezji – a jednak nie znajdowało się na swoim miejscu nieprzerwanie. Właśnie owa sygnatura Cranacha na pierścieniu stała się – między innymi – dowodem na to, że po II wojnie światowej we Wrocławiu przez 65 lat wisiał nie oryginał, lecz marnej jakości kopia.

Odkrycia dokonała w latach 60. zeszłego wieku konserwator Daniela Stankiewicz: jej uwagę w czasie renowacji przykuła nie tylko za słaba jak na Cranacha jakość artystyczna obrazu (przechowywanego wówczas w pałacu arcybiskupim na Ostrowie Tumskim), ale również nieokreślony bohomoz na pierścieniu – w miejscu, gdzie powinna znajdować się sygnatura mistrza. Dziś już wiemy, że od 1947 r. we Wrocławiu znajdowała się rzeczywiście kopia „Madonny pod jodłami”, wykonana przez Georga Kupke na zlecenie ks. Siegfrieda Zimmera, przedwojennego pracownika wrocławskiego Muzeum Archidiecezjalnego.

Jak tłumaczył w 1985 r. (sześć lat po śmierci Zimmera) Kupke, ksiądz przekonał go, że skopiowanie Madonny ma na celu uchronienie jej przed przejęciem przez komunistyczne władze i że chce przekazać arcydzieło Cranacha Kościołowi w Europie Zachodniej. Tak się nie stało: w 1947 r., gdy został zmuszony do opuszczenia radzieckiej strefy okupacyjnej, nielegalnie wywiózł obraz, lecz nikomu go nie przekazał, a w końcu sprzedał.

Nie do końca wiadomo, jakie dokładnie były losy Madonny w kolejnych dekadach – dzieło krążyło po różnych

→ prywatnych kolekcjach, choć od lat 60. wiadomo było, że to poszukiwana strata wojenna. Niespodziewanie szczęśliwy finał nastąpił w 2012 r.: obraz został zwrócony do Wrocławia przez diecezję w St. Gallen. Podobno anonimowy kolekcjoner zapisał dzieło szwajcarskiemu Kościołowi z prośbą o oddanie go prawowitym właścicielom.

Teologia ukryta w owocach

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że obrazy z Wrocławia i z Głogowa są pod względem treści takie same: przedstawiają Madonnę z Dzieciątkiem na tle pejzażu. Faktycznie, podobieństw jest wiele: przede wszystkim fakt, że w obu dziełach Maria trzyma nagiego Jezusa, co ma podtekst eucharystyczny. W ten sposób Matka Boska prezentuje nam Ciało Chrystusa, a zarazem podkreśla własną rolę w dziejach Zbawienia – dzięki niej mogło nastąpić Wcielenie Mesjasza.

Obraz z katedry we Wrocławiu zawiera jeszcze dodatkowy motyw: oto palce Matki miękko zatapiają się w Ciele Syna. To z kolei miało podkreślać ludzką naturę Chrystusa i jego prawdziwe człowieczeństwo. Takie przedstawienia, ukazujące Dzieciątko jako prawdziwie cielesne, ale zarazem uosabiające tajemnicę Eucharystii, osadzone są w nurcie zwanym gotykem pięknym, wywodzącym się ze sztuki czeskiej 2. połowy XIV wieku.

Lucas Cranach w obu omawianych tu obrazach umieścił jeszcze jeden detal: Dzieciątko w ramionach Marii leży na kawałku delikatnej, niemal przezroczystej tkaniny. To z kolei element podkreślający bóstwo Chrystusa: *sacrum* bowiem nie powinno być trzymane gołymi rękami. Tak jak kapłan trzyma przez welon monstrancję w trakcie udzielania błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, tak Matka Boska z szacunkiem kładzie swój welon pod Ciałem Mesjasza.

Z drugiej jednak strony w każdym z tych obrazów Dzieciątko trzyma inny owoc – a żaden atrybut w tego typu przedstawieniach nie był przypadkowy. W Madonnie Głogowskiej Dzieciątko wyciąga ku Matce jabłko – to nawiązanie do grzechu pierwszych rodziców. Co prawda Księga Rodzaju nie podaje, jakoby drzewo wiadomości dobrego i złego było jabłonią, ale że po łacinie *malum* oznacza zarówno

Chrystus podający
jabłko Marii jest niejako
odwrotnością Ewy
podającej ten owoc Adamowi.

**Maria jest tu
nie tyle matką Jezusa,
ile jego mistyczną
oblubienicą.**

jabłko, jak i zło, to właśnie ten owoc powszechnie stał się symbolem grzechu pierworodnego.

Chrystus podający jabłko Marii jest niejako odwrotnością Ewy podającej ten owoc Adamowi: przez Adama i Ewę na ludzkość spada śmierć i potępienie, przez Marię i Jezusa zaś przychodzi obiecane Odkupienie. Matka Boska i Chrystus bywali interpretowani jako Nowa Ewa i Nowy Adam. W tej roli Maria jest nie tyle matką Jezusa, ile jego mistyczną oblubienicą, w odniesieniu do Oblubieńców ze starotestamentowej Pieśni nad Pieśniami – a miłość owych Oblubieńców interpretowano jako obraz relacji Chrystusa i Kościoła.

Warto wspomnieć, że w Pieśni nad Pieśniami pojawia się porównanie Oblubieńca do jabłoni („Jako jabłoń między drzewem leśnym, tak miły mój między synami. Pod cieniem jego, któremu pragnęła, siedziałam, a owoc jego słodki gardłu memu”; Pnp 2, 3 w przekładzie Jakuba Wujka – wg łacińskiej Wulgaty). Zresztą konotacje miłosne jabłoni osadzone są w tradycjach starożytnych: w mitologii greckiej jabłoni rodząca złote jabłka była prezentem ślubnym dla Hery od Matki Ziemi.

Tymczasem wrocławska „Madonna pod jodłami” pokazuje Dzieciątko ściskające kiść winogron. To przede wszystkim symbol eucharystyczny: odwołanie do wina, czyli Krwi Chrystusa. Jednocześnie winogrona odnieść można do nauczania Jezusa – w przypowieściach wielokrotnie opowiadał on o winnicy, co było zrozumiałe dla starożytnych odbiorców z regionów śródziemnomorskich, gdzie winiarstwo stanowiło jedną z najważniejszych gałęzi rolnictwa i miejsce zatrud-

nienia pracowników sezonowych. Przypowieść o właścicielu winnicy, który zapłacił po równo wszystkim robotnikom, mówi o Bożym miłosierdziu i nagrodzie w Niebie (Mt 20, 1-16), a opowieść o zamordowaniu syna właściciela winnicy jest zapowiedzią przyszłej męki Mesjasza (Łk 20, 9-19; Mt 21, 33-46; Mk 12, 1-12).

Dla przedstawienia Chrystusa z kiścią winogron kluczowy może być jednak cytat z Ewangelii wg św. Jana: „Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity” (J 15, 5). W sztuce chrześcijańskiej owocująca winna latorośl symbolizuje po prostu wspólnotę Kościoła, dlatego winogrona wielokrotnie pojawiały się w pismach teologów na przestrzeni stuleci.

Znajomy pejzaż

W tle Madonn Cranacha rozciąga się zachwycający pejzaż z intrygującymi detalami. Górzysty krajobraz dekorują malarzsko ujęte drzewa oraz architektura w formach charakterystycznych dla budownictwa północnoeuropejskiego początków XVI wieku. Choć osadzanie przedstawień religijnych na tle iluzjonistycznie malowanych pejzaży zwykle się kojarzy z renesansem, Cranach i jego pokolenie nie byli w tej kwestii innowatorami – takie przedstawienia miały już niemal stuletnią tradycję.

Tak zwana perspektywa powietrzna, powszechna w malarstwie XVI wieku, stosowana była już przez najsłynniejszych mistrzów niderlandzkich pierwszej połowy XV wieku, przede wszystkim Jana van Eycka. Iluzja głębi budowana jest w ten sposób, że oddalające się plany malowane są barwami coraz bardziej zbliżonymi do koloru nieba, a detale na horyzoncie stają się zamglone. Podobnie ma się sprawa z architekturą w tle: w XV-wiecznej sztuce niderlandzkiej często jest ona odbiciem realiów, na Niebiańską Jeruzalem w Ołtarzu Gandawskim Jana van Eycka (1432) składają się konkretne budowle z Gandawy i Utrechtu.

Osadzanie scen sakralnych w realiach współczesnych odbiorcy było w XV wieku bardzo popularne – prawdopodobnie wiąże się to z rozwojem tak zwanej „nowej pobożności” (*devotio moderna*), kładącej nacisk na mistycznie przeżywaną, emocjonalną duchowość.

Zwłaszcza dzieła niewielkich rozmiarów, przeznaczone do prywatnej pobożności, miały unaoczniać religijną wizję: w ten sposób tłumaczy się wpisywanie scen biblijnych w realistycznie oddane przestrzenie miast czy wnętrz kamienic. Takie podejście niwelowało rozdźwięk między *sacrum* a *profanum*. Cranachowskie Madonny z Dzieciątkiem na tle środkowoeuropejskiego krajobrazu wpisują się w ten właśnie nurt. Kres takim kompozycjom położyły decyzje Soboru Trydenckiego (1545-63), zakazujące umieszczania scen biblijnych na wspólnym tle.

Podobnie jak w przypadku owoców w dłoniach Dzieciątka, tak i rośliny w tle dzieła mogą mieć znaczenie symboliczne. Sam tytuł obrazu każe nam skupić się na jodle, którą jako drzewo smukłe, sięgające nieba, teologowie porównywali do ludzi kontemplujących rzeczy niebiańskie i odrzucających ziemskie pragnienia – przede wszystkim dotyczy to Matki Boskiej. Starotestamentowa świątynia Salomona miała mieć ściany

obite deskami jodłowymi oraz drzwi z drewna jodłowego.

Choć można mieć wrażenie, że za Cranachową Madonną po prawej stronie widoczne są dwa różne drzewa (to drugie liściaste), badacze konsekwentnie określają je jako parę jodeł. Jeśli tak jest, to owa druga jodła jest pozbawiona igieł (na pierwszej zaś widoczna jest huba – żadne z tych drzew zatem nie jest całkiem zdrowe). Kępy jasnozielonych liści mogą być w takim przypadku jemiołą – ta zaś, choć jest półpasożytem, niosła raczej pozytywną symbolikę. Ceniono jej medyczne właściwości, przypisywano jej nawet cechy magiczne (odstraszanie złych mocy oraz wspomaganie płodności), a jej wieczna zieloność symbolizowała nieśmiertelność.

Być może zatem chore jodły w obrazie Cranacha nie są jednak związane z symboliką maryjną. Piotr Damiani przeciwstawił wysokiej, lecz nieplodnej jodli niską, ale owocującą winną latorośl – a przecież w naszym obrazie Dzieciątko trzyma właśnie winogrona.

Po lewej stronie natomiast widoczna jest smukła brzoza. Łacińska nazwa tego drzewa – *betula* – w języku hebrajskim oznacza dziewicę i wielokrotnie pojawia się w Starym Testamencie. Niewykluczone jednak, że brzoza stanowi tu zapowiedź przyszłej pasji Zbawiciela: z brzozowych gałązek plecione były różgi, będące jednym z narzędzi męki Chrystusa. Nie zapominajmy także, że wedle źródeł „Madonna pod jodłami” w kolekcji biskupa Thurzona zestawiona była właśnie z przedstawieniem Biczowania Jezusa.

Okazuje się zatem, że w tle „Madonny pod jodłami” znajdują się – wbrew nazwie – nie tylko jodły. Obraz ten dziś może nas zachwycić nie tylko klasą artystyczną, ale także złożoną symboliką teologiczną, ukrytą w starannie malowanych detalach. Dzieło to jest jednym z najpiękniejszych dzieł pędzla Lucasa Cranacha starszego i wyjątkowym obiektem w polskich zbiorach – również ze względu na swą historię. Oby Madonna Głogowska także w końcu powróciła na swoje miejsce. © MAGDALENA ŁANUSZKA

REKLAMA



Zakład
Narodowy
im. Ossolińskich

Zakład Narodowy im. Ossolińskich
zaprasza na wystawę wirtualną

ZŁOTA EPOKA JAGIELLONÓW



www.zlotaepoka.ossolineum.pl

Ekspozycja online prezentująca unikatowe obiekty z czasów,
gdy Rzeczpospolita stała u szczytu rozwoju kulturalnego,
politycznego i gospodarczego.

Wystawa dostępna w sieci od września 2020 do września 2022

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura w sieci”

SPOTKANIA
Z ZABYTKAMI

SBP

Centrum
Europejskiej
Kultury
Literackiej

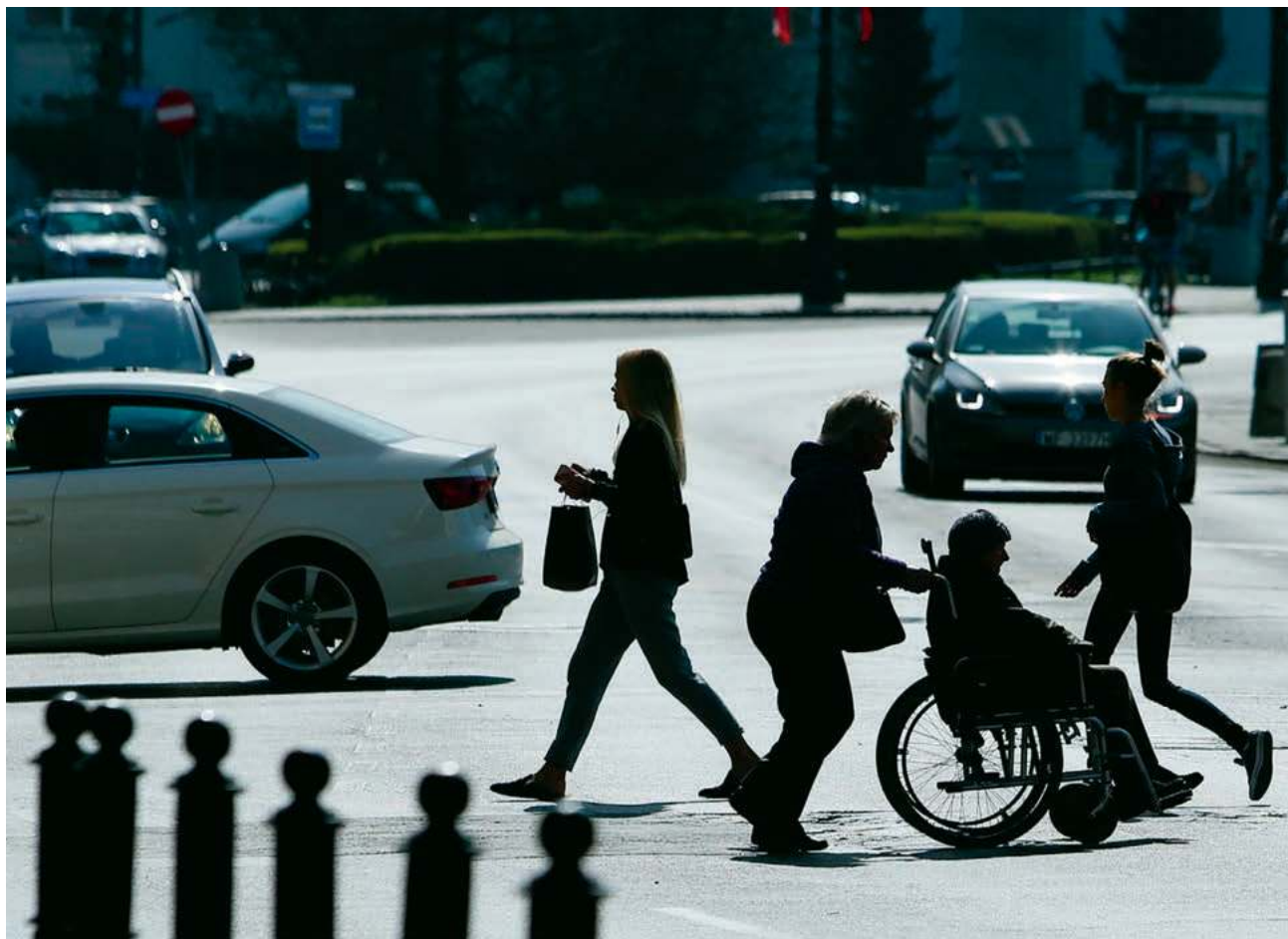
EBiB

TVP3
WROCLAW

RADIO
WROCLAW

RADIO
WROCLAW
KULTURA

ram



MICHAŁ DZIUK / FORUM

Czyste światło

PIOTR SIKORA

**Modlitwa nie musi wyrażać się w świadomej myśli – „Boże”.
Jest pełnią życia, a nie jakimś odrębnym działaniem.**

CZEŚĆ! – ZAMACHAŁA MI ONA RĘKĄ przed oczami. – Znajomych nie poznaje się na ulicy, co? – uśmiech na jej twarzy wskazywał, że nie ma pretensji.

– Nasz filozof buja w świecie idei – powiedział (do niej?) nieco ironicznie on, obejmując ją ramieniem i wchodząc pomiędzy nas – jego ruch wyraźnie mówił: „Nie spoufalajcie się za bardzo, ona jest moja”.

Wyrwany

Jej „cześć” wyrwało mnie z zamyślenia. Nie za bardzo można je było nazwać przebywaniem w świecie idei – to był raczej rój niezbyt kształtnych myśli, chaotycz-

nych wspomnień i ledwo zarysowujących się planów, z jednym, najbardziej wyraźnym – co sobie zrobię na obiad, gdy wrócę niedługo do domu. Lekko skłębiona mentalna mgiełka przysłoniła mi miejsce, przez które szedłem, i ludzi, których mijalem. Dobrze, że chodnik był równy.

Wyrwany z tego stanu, zawstydziłem się – jestem przecież człowiekiem praktykującym *mindfulness* – momentalnie skupiłem się na nich. Bardzo chciałem zatrzeć w nich poprzednie wrażenie, odzyskać przewagę. Świat wokół odpłynął, byli tylko oni – ze swoimi gestami, słowami – skoncentrowany na nich mo-

głem dostrzec nawet to, czego nie chcieli pokazać. Ten związek nie funkcjonuje dobrze – pomyślałem, odzyskując pewność siebie. On jest chorobliwie zazdrosny, ona się za to dusi. A tak w ogóle, to była moja chwilowa słabość – oceniłem. Potrafię szybko skupić uwagę.

Domieszki

„Uwaga absolutnie bez domieszki – jest modlitwą” – to krótkie zdanie XX-wiecznej filozofki i mistyczki, Simone Weil, uratowało kiedyś moją wiarę. Wiara bez modlitwy martwa jest bowiem, a ja nie mogłem już dłużej kierować specjalnych słów do „Boga”, ani nasłuchiwać odpowiedzi z „Jego” strony. Mój wewnętrzny sceptyk szeptał, że ich „adresata” i potencjalnego „nadawcę” komunikatu zwrotnego sam tworzyłem z gliny biblijnych opowieści i piasku katechizmowych formuł. To głupie – stwierdziłem – modlić się do „kogoś” takiego.

Jeśli Weil miała rację, nie modliłem się jednak również ani idąc ulicą, zanim spotkałem tych dwoje, ani wówczas, gdy stojąc przed nimi uważnie oceniałem jakość łączącej ich relacji.

Najpierw do mojej uwagi – jeśli w ogóle dałoby się ją we mnie odnaleźć – domieszał się gesty umysłowy smog. Mnóstwo tego, czego nie ma, przesłoniło to, co jest. Szedłem niby świadomy – wysiadłem na właściwym przystanku, trafiłbym prosto do domu. A jednak – jak intensywna może być jawność jawy! Ile kolorów, zapachów i znaczeń, mijanych w tym właśnie momencie, nie docierało do mnie, grzęznąć w cieniach dawno minionych zdarzeń lub w zarysach tego, co dopiero może się stać, choć – w większości – nigdy się nie stanie. Trudno nawet powiedzieć, bym z uwagą myślał o czymś konkretnym. Coś tam we mnie myślało się samo.

Gdy przytomność przywróciło mi dźwięczne „cześć”, do obudzonej nagle uwagi domieszało się coś innego, może nawet bardziej niebezpiecznego: zraniona miłość własna, naruszony autoportret mnie doskonałego. Wraz z nimi przyplątał się proces osądzania. Najpierw, nie do końca świadomie, oceniłem siebie. Uwagę skupiłem na różnicy pomiędzy wyobrażonym samoideałem: tym, kim chciałbym być i jak prezentować się światu, a mną idącym półświadomie po ulicy.

I lawina ruszyła. Jedna ocena przyciągnęła następne. Ocenilem ich spojrzenia: „mylicie się, zwykle nie jestem tak rozproszony”. Skoro zaś oni znaleźli moją słabość, swoją odzyskaną uwagą zaczęli poszukiwać ich słabości. Do każdego „to jest takie” doczepiło się: „...a powinno być inne”.

Nie o to chodziło Simone.

Wszędzie i nigdzie

Weil świadomie sytuowała się na pograniczu chrześcijańskiej tradycji, zarówno na poziomie myślenia, jak i egzystencjalnego zaangażowania. Przyzwyczajonym do najbardziej rozpowszechnionego obrazu chrześcijaństwa jej utożsamienie uwagi bez domieszki z modlitwą może wydawać się zaskakujące. Perspektywa współczesnej francuskiej Żydówki bliska była jednak starożytnej tradycji ojców pustyni, którzy bardzo ściśle wiązali modlitwę (gr. *proseuche*) i uwagę (gr. *prosoche*).

Czy jednak, można spytać, modlitwa – w tradycji chrześcijańskiej – nie wymaga wyrażenia świadomości bycia w relacji z Bogiem? Ojcowie pustyni nauczali nie tylko o uwadze, lecz także o wzywa-

niu – nieustannie, w rytm oddechu – Bożego Imienia.

Być może. Bóg jednak, jak pisał autor Listu do Efezjan, „napenia całkowicie wszystko”. Nie jest, jak mawiał Mistrz Eckhart, „tym lub tamtym” – jednym z bytów, który można wyróżnić z szerszego tła, ani – tym bardziej – tą wyobrażoną postacią, która majaczy nam w głowie, gdy używamy pobożnych pojęć. Jest, poucza Apokalipsa, Alfą i Omegą – pełnią istnienia wszystkiego, co jest.

Relacja do Boga nie jest więc jedną z relacji, jakie człowiek nawiązuje w swoim życiu. W poetycki sposób opisuje to apokryficzna Ewangelia Tomasza: „Mówi Jezus: »Ja jestem światłem, które jest ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Wszystko wyszło ze mnie i wszystko do mnie wróciło. Rozłupcie drzewo – ja tam jestem. Podnieście kamień – znajdziecie mnie tam«”. Nie ma działania, które nie byłoby odniesieniem się do Niego. Doświadczenie Boga ukryte jest w każdym doświadczeniu.

Jeśli tak, to nie potrzeba nic specjalnego ponad to, o czym mówi Jezus w innym fragmencie niedawno odkrytego starożytnego tekstu: „Rozpoznaj, co masz przed sobą, a to, co ukryte, objawi ci się. Gdyż nie ma nic ukrytego, co by się nie ujawniło”.

Niech będzie, co jest

Bez uwagi jednak nie ma rozpoznania – nawet tego, co pachnie przed nosem, ani tego, co trzymamy w dłoniach. Bez uwagi pozbawionej domieszki tego, co było, i tego, co będzie – ale już lub jeszcze nie jest. A więc: bez uwagi skupionej w teraźniejszość. Lecz – równie to ważne – bez uwagi pozbawionej domieszki oczekiwań, pragnień, niechęci: wszystkiego, co nie pozwala po prostu przyjąć tego, co istnieje, lecz co jakby zmusza nas do przykładania natychmiast każdego postrzeżenia do tworzonego przez nas samych wzorca. Potrzebna jest uwaga bez domieszki sądu.

Lecz przecież wszystkie te skłonności, które rodzą osąd, również są. Budda słusznie zatem mówił uczniom, że człowiek prawdziwie uważny „gdy umysł jest opanowany przez pragnienie – spostrzega, że umysł jest opanowany przez pragnienie; gdy umysł jest wolny od pragnień – spostrzega, że umysł jest wolny od pragnień; gdy umysł jest opanowany przez niechęć – spostrzega, że umysł jest opanowany przez niechęć; gdy umysł jest wolny od

niechęci – spostrzega, że umysł jest wolny od niechęci (...)” gdy umysł jest skoncentrowany – spostrzega, że umysł jest skoncentrowany; gdy umysł nie jest skoncentrowany – spostrzega, że umysł nie jest skoncentrowany”.

Nie chodzi tu jednak o jakieś rozdwojenie jaźni, nieustanne spiętrzenie – w nieskończoność – poziomów autorefleksji. Jak zauważył Eckhart, nie doświadczy Boga ten, „kogo poznanie i obraz poznańczy nie staje się jednym”. Uwaga absolutnie bez domieszki (która jest modlitwą) nie ma w sobie również nikogo ważnego. „Ja jestem, który jest, ty jesteś ta, której nie ma” – powiedział Chrystus św. Katarzynie ze Sieny. W modlitwie świadomość „ja” znika, zostaje czysta uwaga, przytomne doświadczenie tego, w czym-Kim „żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”.

Życie może być wegetacją. Może stać się coraz bardziej świadome. Uwaga-modlitwa przemienia je w takie, które całe jest światłem.

Co jest, jest

„Dobrze was było spotkać, do zobaczenia” – powiedziałem. Uśmiechnęli się i zostali z tyłu. Przez cienkie podeszwy tramppek chodnik odciskał się to na jednej, to na drugiej stopie. Ssanie w żołądka krzyczało: „jeść!, jeść!”, wiatr chłodził czoło rozgrzane popołudniowym słońcem. Między blokami co jakiś czas narastało dudnienie tramwaju i zniknęło w szumie ulicy, a wraz z nim rozpadały się resztki bojowych uczuć i myśli walczących o pozycję człowieka praktykującego *mindfulness*. Zarodki myśli nieprzygotowanych do jutrzejszego wykładu wydobyły z gardła niepokój – gaś! stopniowo w uwadze skierowanej na głód żołądka. Spomiędzy wież kościołów, widzianych przez chwilę między drzewami, płynęła, jak zwykle, pamięć życia przeżytego w tym mieście. Rozproszył ją zwycięski śmiech dziecka, które wbiegło w błotnistą kałużę na rozkopanej drodze, zagłuszony zaraz przez ryk silnika ciężarówki wyjeżdżającej z budowy. Wypluła kłęby czarnych, śmierdzących spalin dokładnie w momencie, gdy płuca wypuściły z siebie powietrze. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć długich kroków z nieruchomą przeponą i skurczonymi żebrami, aż tętno odezwało się w skroniach – i dzika ulga wdechu...

Cześć!

©P

DWIE TURCJE

Operetkowa autokracja z megaambicjami czy jednak rodzące się mocarstwo: jakie jest państwo Erdoğan?

KRZYSZTOF STRACHOTA

TEN KRAJ IRYTUJE, MĘCZY. W MEDIACH zachodnich, w wystąpieniach polityków od lat trudno znaleźć o Turcji dobre słowo – w przeciwieństwie do słów krytycznych. Paradoxem jest, że choć sporo państw radykalnie i otwarcie różni się od Zachodu (choćby Rosja czy Chiny), to w ich przypadku krytyka miesza się z nadziejami, a rywalizacja i presja idą w parze z intensywną i nagłaśnianą współpracą. Tymczasem Turcja – organiczna część Zachodu, mówi się: „druga armia NATO”, do tego kraj z otwartymi negocjacjami członkowskimi do Unii Europejskiej – mentalnie zdaje się być dalej niż Rosja i Chiny.

Powodów ku irytacji Turcja dostarcza moc – w dodatku z wysoką częstotliwością i regularnością oraz skalibrowanych do niemal każdego poziomu wrażliwości zachodniego odbiorcy. Najnowszy to wsparcie, którego tureckie władze udzielają Azerbejdżanowi w jego ofensywie przeciw Ormianom z Górskiego Karabachu.

Chory człowiek Europy

Mamy dziś dwie wizje Turcji: zachodnią i turecką.

W oczach Zachodu jawi się Turcja państwem o rosnących tendencjach autorytarnych: kolejne lata rządów Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP; przy

władzy jest od 2002 r.) to konsekwentna centralizacja władzy w rękach jednego człowieka – Recepty Tayyipa Erdoğan, dziś prezydenta, kiedyś premiera, niekwestionowanego lidera partii (i człowieka, który inspiruje satyryków europejskich). To także konsekwentna marginalizacja opozycji, przy użyciu dominacji w mediach, przy wykorzystaniu zastrzeżonego prawodawstwa (np. w więzieniu o zastrzeżonym reżimie, pod zarzutami wspierania terroryzmu, przebywa jeden z liderów opozycji: Kurd Selahattin Demirtaş) i przy podejrzeniach o fałszerstwa wyborcze.

To także mocne na Zachodzie sugestie o sprokurowanie puczu w 2016 r., czego efektem były niewyobrażalne czystki w armii i administracji – zatrzymania, areszty, zwolnienia z pracy miały dotknąć 160 tys. oficerów, urzędników, sędziów, nauczycieli. To też brutalna pacyfikacja rebelii, wywołanej w 2015 r. przez kurdyjską Partię Pracujących Kurdystanu (PKK),

w czasie której niszczone całe dzielnice i miasta południowo-wschodniej Turcji.

Oburza turecka polityka zagraniczna. Zarzuca się jej konszachty z Państwem Islamskim (Izrael dorzuca Hamas) i niszczenie sił kurdyjskich w Syrii – jedynego lokalnego sojusznika Zachodu w walce z dżihadystami. Dochodzą do tego trzy niesankcjonowane interwencje w Syrii (efekt to zajęcie skrawków terenu) i dalsze relacje z tamtejszymi radykałami. W ostatnich miesiącach doszła otwarta interwencja w wojnę domową w Libii, gdzie dzięki wsparciu Turcji zatrzymane zostały siły wspierane przez Rosję i Francję.

Oburzenie i lekceważenie

Te i inne awantury regionalne i tak pozostają w cieniu otwartych napięć w relacjach sojuszniczych. Mimo presji, Turcja kupiła rosyjskie systemy obrony przeciwlotniczej S-400, podpadając pod sankcje USA (m.in. została wykluczona z programu budowy wielozadaniowego





Międzynarodowe ćwiczenia EFEZ-2016. Na pierwszym planie z prawej prezydent Erdoğan, z lewej ówczesny szef Sztabu Generalnego, a dziś minister obrony Hulusi Akar. Izmir, maj 2016 r.

KAYHAN OZER / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

samolotu F-35). Regularnie wywołuje incydenty z Grecją na Morzu Egejskim, a także z Francją na Morzu Śródziemnym (francuska próba wyegzekwowania embarga na dostawy broni do Libii). Przy użyciu marynarki wojennej wkracza na wody terytorialne Cypru i utrudnia prace nad tamtejszymi złożami gazowymi (zaangażowane w te projekty są m.in. Izrael i Egipt oraz firmy francuskie, włoskie i amerykańskie).

W ostatnich dniach huczało o rzekomych przerzutach przez Turcję radykałów syryjskich na front w Górskim Karabachu. Do tego można byłoby dodać rozgrywanie w przeszłości mniejszości tureckiej w Niemczech, Holandii i Austrii. A także groźby odblokowania szlaków migracyjnych do Unii czy wyrzucenia baz amerykańskich z Turcji (przejęcia ich arsenałów nuklearnych). I wiele, wiele innych.

Do oburzenia na Zachodzie dochodzi lekceważenie. Nad wizją takiej nowej agresywnej Turcji, nieomal „kalifatu”,

przeważa poczucie operetkowości tego wszystkiego. Ot, autokrata, prowadzący awanturniczą politykę, która nie przynosi efektów i służy wyłącznie umacnianiu nacjonalistycznego mandatu władzy. Ot, Erdoğan-sułtan, którego jedyną bronią jest drażnienie świata groźbami i przemianowaniem Hagii Sophii na meczet.

W tej perspektywie Turcja jest bankrutem, którego długi zagraniczne wynoszą 460 mld dolarów (w tym długi krótkoterminowe 123 mld), przy słabnącej walucie, ucieczce inwestorów i groźbie kolejnych sankcji. Ta Turcja – jak się powszechnie uważa na Zachodzie – wyczerpała się, a erozja poparcia społecznego jest tak wielka, że w 2019 r. mimo mactwa AKP przegrała wybory lokalne w największych miastach.

Paradoks trzmiela

Ta sama opowieść brzmi zupełnie inaczej w Ankarze i wielu miejscach, do których nie docierają zachodnie media.

Jest to historia wielkiego sukcesu polityki prowadzonej od 2002 r. przez AKP. To historia bezprecedensowego skoku modernizacyjnego całego społeczeństwa i odblokowania dróg awansu społecznego oraz ekonomicznego. To historia niebywałej demokratyzacji i pluralizmu politycznego, których filarem była likwidacja nadrzędnej roli armii, tego „państwa w państwie”, a jednym z przejawów – proces pokojowy z Kurdami i autonomia kulturowa dla Kurdów, kontrowersyjne dla większości społeczeństwa i całej elity, a storpedowane przez PKK. Później zaś – przyjęcie 3,5 mln Syryjczyków z otwartością (władz) na ich naturalizację.

To także utrzymywanie kosztownego kursu demokratycznego wraz z gotowością oddania władzy (na razie w największych miastach po wyborach z 2019 r.), ale też jej obrony przed działaniami pozaprawnymi (pucz z 2016 r. i różne formy „głębokiego państwa”, za którego ekspozyturę uchodzi Ruch Gülena, są wyrazem realnych tradycji politycznych kraju). Co do gospodarki zaś – dziwnym trafem jej upadek (a w konsekwencji upadek rządu), wieszczony od wielu lat, nie następuje. Przywołuje to anegdotyczny „paradoks trzmiela”, który zgodnie z badaniami na temat nośności jego skrzydeł nie powinien latać, a lata...

Dziś nawet tego typu narracja odchodzi w przeszłość – jest zbyt defensywna, zbyt mocno osadzona w zachodniej perspektywie. Problem z Turcją polega na tym, że wypracowała sobie alternatywny wobec zachodniego paradygmatu myślenia i działania, sama dla siebie stając się wiążącym punktem odniesienia.

Szansa i przeznaczenie

W tureckim myśleniu o sobie i świecie fundamentalne znaczenie ma przekonanie o wyjątkowym potencjale państwa, jego zdolności do twórczej syntezy różnych tradycji i do generowania rozwiązań bez mała uniwersalnych. I tak, AKP odwołuje się nie tylko do tradycji Imperium Osmańskiego oraz islamu (odrzucając ich niezdolność do modernizacji), jak również do nacjonalizmu Republiki Tureckiej Atatürka (odrzucając jej bierność na arenie światowej), ale też do zakorzenienia w rozwiązaniach zachodnich (uwalniając się od podrzędnej pozycji – patrz rola wiecznego petenta przed drzwiami Unii – i uciekając od skutków kryzysu, który trawi Unię, NATO, Zachód). ➔

⇒ Rozglądając się po swoim sąsiedztwie, Turcja widzi erozję porządku, który Europa po sobie tu zostawiła, a które to sąsiedztwo USA dziś opuszczają. Patrzy – i widzi dla siebie szansę oraz przeznaczenie. Samospełnienie tej wizji władze znajdują w oczach obywateli, którzy masowo się z tą wizją utożsamiają (to spektakularny sukces tzw. polityki tożsamościowej). Widzą je też w oczach opozycji (poza kurdyjską partią HDP), która co najwyżej przestawiłaby akcenty i rozsiadła w fotelach władzy zamiast AKP.

Gdy rozejrzeć się więc po sąsiadach – od Unii, przez Rosję i Iran, po Bliski Wschód – turecka droga jawi się jedyną możliwą i zasadną. Co istotne: jest to droga, która skazuje Turcję na konfrontację z Zachodem, bo uderza w to, co ona traktuje jako anachroniczny już system podporządkowania i kontroli z jego strony.

Szczególnej mocy nabierają tu działania Zachodu, które w Turcji są interpretowane jako lekceważące, antytureckie bądź islamofobiczne – jak akcentowanie islamu jako bariery dla członkostwa Turcji w Unii, lekceważenie jej roli w zahamowaniu kryzysu migracyjnego w 2015 r. czy brak dostępu do najnowszych systemów obrony powietrznej.

Gorzej jeszcze, jeśli pewne działania – jak nieudany pucz w 2016 r. – miałyby być, z perspektywy tureckiej, wspierane bądź inspirowane na Zachodzie (domniemany reżyser puczu Fethullah Gülen cieszy się ochroną USA). Gorzej, jeśli organizacja uznana za terrorystyczną i godząca w integralność terytorialną Turcji – kurdyjska PKK – działa niemal jawnie w Europie, a Amerykanie wspierali jej parapaństwo na syryjskim pograniczu Turcji.

Gdzieś za tym idzie poszukiwanie alternatywy i przeciwwagi dla Zachodu.

Odrodzenie imperium

O ile resentmentami i samozachwytyami Turcji można by się nie przejmować, o tyle uczciwie należałoby spojrzeć na to, co państwo to – przy wszystkich swych porażkach i krytyce – faktycznie osiągnęło.

Oto Turcja, która jeszcze w 2002 r. była zamknięta w sobie (poza epizodem z zajęciem północnego Cypru w 1974 r.), prowadzi dziś operacje militarne w Iraku (przeciw PKK), Syrii i Libii (gdzie turecka ingerencja odwróciła losy wojny domowej) oraz jest obecna wojskowo (w różnej skali, np. przez regularne bazy) także w Kata-

W relacjach z Turcją Zachód dochodzi do ściany: **kontynuacja tego, co jest, staje się nieznosna.**

rze, Somalii, Sudanie, Azerbejdżanie, Albanii i na Cyprze, nie licząc udziału w misjach NATO (Afganistan, Irak, Kosowo). To państwo, które w ostatnich dekadach konfrontowało się (z użyciem lub manifestacją siły) z Syrią, Irakiem, Iranem, Arabią Saudyjską (udaremniony przewrót w Katarze), Egiptem, Grecją, Izraelem, a także z Rosją (m.in. zestrzelony samolot, regularne wzajemne ostrzały sił w Syrii i Libii) i USA (operacje w Syrii na obszarach kontrolowanych wspólnie przez tamtejszych Kurdów i Amerykanów).

To także państwo, któremu jeszcze u progu Arabskiej Wiosny w 2011 r. brakowało tłumaczy z arabskiego (był to efekt dekad odwracania się plecami do Bliskiego Wschodu), a które potem było w stanie wypracować efektywne kanały komunikacji i współdziałania z mocarstwami (USA, Rosja), trudnymi rywalami regionalnymi (Iran, Arabia Saudyjska), państwami upadłymi (Somalia, Irak, Syria), parapaństwami (Kurdystan iracki), wreszcie z ponadnarodowymi organizacjami powiązanymi z Braćmi Muzułmańskimi (Afryka Północna), organizacjami terrorystycznymi (od PKK, z którą prowadziła dialog, przez Państwo Islamskie, Hamas i dziesiątki organizacji syryjskich).

Turcja to dziś państwo, które zarówno jest zdolne prowadzić efektywny dialog z kanclerz Merkel, jak też bezpośrednio rozmawiać z niemiecką opinią publiczną pochodzenia tureckiego. A przy tym czarować pół świata renowacją i promocjąabytków osmańskich i serialami telewizyjnymi [patrz kolejny tekst w dziale Świat – red.]. Zarzutu o awanturnictwo to oczywiście nie likwiduje, ale cień respektu przed zdolnością Ankary do wygenerowania i realizacji pewnej wizji (w oparciu o niebogie przecież zasoby), cień respektu dla instrumentów i mechanizmów politycznych, które wypracowała, cień respektu przed zdolnością do absorpcji strat, odporność na presję zewnętrzną – powinien również poważnie wszechobecne lekceważenie.

Tymczasem Turcy śnią o odrodzeniu imperium.

W salonie luster

Czy te dwie wizje Turcji zarysowane powyżej – zachodnia i turecka – muszą się wykluczać? Niekoniecznie. Problemem jest to, że Turcja funkcjonuje dziś w zupełnie innym paradygmacie niż Zachód. Być może (oby) jest on mylny. Ale działania tureckie są realne i w najgorszym razie mają siłę samospełniającej się przepowiedni – erozja świata zachodniego postępuje, porządek eroduje, rodzą się alternatywne „bieguny” choćby dlatego, że Ankara prowadzi taką politykę, jaką prowadzi.

Niestety może też mylić się Zachód, który nie dostrzega, jak bardzo świat się zmienia, jak bardzo taka nowa Turcja musi szukać nowych dróg. I jak błędne jest trwanie w przekonaniu, że świat, jaki znamy i lubimy, jest jedynym możliwym. Jak bolesne przy tym i kosztowne może okazać się lekceważenie energii kumulującej się w takiej Turcji.

Problem z Turcją ma, trzeba powiedzieć, charakter obiektywny. Ogromna dynamika i hiperaktywność Ankary oraz jej silnie spersonalizowana polityka grożą nadsterownością całego systemu i wypadnięciem z drogi, którą kraj podąża. Dziś Turcja rywalizuje z Zachodem, ale jest raczej alterzachodnia niż antyzachodnia – nie ma strategicznej alternatywy dla relacji z Zachodem i wie o tym. Tego kursu może jednak nie utrzymać, a zaważyć może przypadek. Tak było w roku 1914, gdy – mimo silnych związków politycznych i gospodarczych z Wielką Brytanią i Francją – w ciągu kilku miesięcy znalazła się w obozie państw centralnych (pomógł sprytny gest kajzera, który formalnie przekazał Turcji „zabłąkane” w Stambule niemieckie krążowniki).

Tymczasem Europa (i szerzej: Zachód) dochodzi w relacjach z Turcją do ściany. Kontynuacja tego, co jest, staje się nieznosna. Polityka pouczenia, presji (także militarnej, czego próbuje Francja) i sankcji wobec Turcji jest nieefektywna. Nadzieja, że zmieni się tam władza (na bardziej prozachodnią), nie ma silnych podstaw. Opozycja jest słaba, a perswazje władz sugestywne; wątpliwe też, aby odbyło się to bezboleśnie.

Wątpliwe jest zresztą przede wszystkim, by jakakolwiek nowa władza w Ankarze mogła prowadzić zasadniczo inną politykę. © KRZYSZTOF STRACHOTA



Engin Altan Düzgün, odtwórca głównej roli w serialu „Odrodzenie: Ertuğrul”.

popijają raki, typową dla Turcji wódkę anyzową, inni herbatę. Wszyscy wpadają się w ekrany.

W oczach odbija im się błysk osmańskich mieczy, a serca rosną przepelnione dumą z dokonań Ertuğrula. Ten legendarny XIII-wieczny wojownik z plemienia Kayi, mającego swoją niewielką siedzibę rodową w Azji Mniejszej (na południowy wschód od Morza Marmara), zjednoczył plemiona tureckie, skutecznie walczył z Mongołami, a przede wszystkim spłodził w 1258 r. syna Osmana.

Gdy ten objął schedę po ojcu, około roku 1299, stał się twórcą tureckiego państwa. Znacząco powiększył jego obszar – poprzez zwycięskie wojny z muzułmańskimi Seldżukami i chrześcijańskim cesarstwem bizantyjskim – i dał początek dynastii Osmanów. Półtora wieku po objęciu rządów przez Osmana I jeden z jego następców – sułtan Mehmed II – podbił chrześcijański Konstantynopol (dziś Stambuł). Dynastia osmańska miała rządzić imperium, które w apogeum swej potęgi rozciągało się od Bagdadu prawie po Wiedeń, aż do roku 1922, kiedy to Turcja stała się świecką republiką.

Jak film wykreował bohatera

„Odrodzenie: Ertuğrul” – tak brzmi tytuł serialu, który w ostatnich latach podbił serca Turków (i wielu innych widzów na świecie) – to dzieło Mehmeta Bozdağa. Scenarzysta i producent tchnął życie w postać, o której wiadomo było bardzo mało. Pisemnych wzmianek na jego temat brak aż do wieku XIV, najstarsza osmańska kronika wspomina o nim skąpo. Kolejna, z 1475 r., podaje inne dane na temat pochodzenia bohatera.

Pewne jest, że istniał, zachowały się bowiem monety bite przez jego syna, podpisane „Osman, syn Ertuğrula”. W Söğüt – mieście, które Ertuğrul miał zdobyć dla swojego plemienia – znajduje się jego domniemany sarkofag. W jasnym budynku z inskrypcjami, przy trumnie przykrytej tradycyjnie zielonym suknem, stoją skrzyżowane flagi: turecka i plemienia Kayi. Turyści fotografują, pielgrzymi się modlą, ekipy telewizyjne z Kazachstanu, Uzbekistanu i innych bratnich krajów nieustannie kręcą programy i filmy dokumentalne dla swoich widzów, ➔

Fikcja wagi państwowej

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Proces za obrazę postaci z serialu? W Turcji to możliwe. Historyczne seriale to miłość Turków, a prezydent Erdoğan umiejętnie zarządza tęsknotą za wielkością Imperium Osmańskiego.

BULWAR FEVZIEGO PASZY W IZMIRZE – ponad czteromilionowej portowej metropolii nad Morzem Egejskim – to szeroka arteria, która biegnie od Parku Kultury (tu odbywały się słynne targi izmirskie) aż do moła w dzielnicy Konak. Na bulwarze i w jego okolicy zwykle panuje ogromny tłok. Wprost na chodniku rozkładają się handlarze,

sprzedający używaną odzież, telefony i rozmaite rupiecie.

Jednak gdy zbliża się wieczór, bulwar pustoszeje. Po dwudziestej w telewizji zaczyna się pasmo seriali. Wówczas w licznych knajpkach, ze stołami na wolnym powietrzu oraz z telewizorem na ścianie, zasiadają mężczyźni, młodzi, starzy i w średnim wieku. Jedni

→którzy za sprawą serialu pokochali Ertuğrula tak samo jak Turcy.

Mauzoleum legendarnego wojownika stoi tu od zawsze, tłumy to coś nowego. Dopiero po premierze serialu Bozdağa, sześć lat temu, w mieście zaroilo się od przyjezdnych, pragnących chodźć śladami swojego bohatera – i naturalnie jego serialowej ukochanej.

To wtedy w mieście wyrosły sklepy z pamiątkami, umieszczone w namiotach stylizowanych na te serialowe i wypełnione strojami wzorowanymi na kostiumach noszonych przez filmowych bohaterów. Jeśli ktoś nie jest amatorem baranich czap, może nabyć też zwykły kaszket z wyszytym znakiem plemienia Kayi.

Pobożni muzułmanie i przebiegli chrześcijanie

Sztuka zaszczepiania Ertuğrula w tureckich sercach i umysłach powiodła się Bozdağowi bezbłędnie. W internecie można obejrzeć filmiki pokazujące tureckich widzów oglądających serial w strojach wojowników z epoki, z toporem przerzuconym przez ramię. Quasi-plemienne namioty stanęły w wielu tureckich miastach, a mieściny czy wioski, wspomniane tylko w scenariuszu, próbują zaistnieć na serialowej fali.

Grający główną rolę aktor Engin Altan Düşyatan stał się tak rozpoznawalny, że dochodzi do kuriozalnych sytuacji, gdy to jego podobizna staje na ulicach miast albo w muzeach jako pomnik Ertuğrula. Stało się tak w czerwcu tego roku w mieście Ordu (popiersie na jednym z głównych placów); wcześniej identyczna historia zdarzyła się w Bilecik.

Prezydent Recep Tayyip Erdoğan chętnie wizytuje plan zdjęciowy, a na otwarciach odrestaurowanych zabytków – nawet jeśli luźno związanych z praojcem Osmanów – zawsze pojawiają się prominentni politycy partii rządzącej, a często też serialowi aktorzy. Na baczność stoją przed nimi „wojownicy” w stosownych kostiumach.

Mehmet Bozdağ i jego ekipa nie popełnili błędu, który przydarzył się ekipie serialu „Wspaniałe stulecie” (jego bohaterem jest XVI-wieczny sułtan Sulejman, zwany Wspaniałym). W 2012 r. wzburzony Erdoğan zarzucił jego twórcom, że kręcą serial erotyczny, a nie historyczny. „Nasz dzielny sułtan spędził 30 lat na koniu, w walce, a nie w sypialni” – grzmiał podczas otwarcia lotniska w prowincji

Kütahya, wywołując tym różne ciągi dalsze. I tak, serial na celownik wzięła turecka Rada Radiofonii i Telewizji (zarzuty: skąpo odziane nałożnice, alkohol), do stacji wpłynęło 70 tys. listów protestacyjnych. W kilku miastach odbyły się manifestacje przeciw kontynuacji serialu, aktorzy zaś zaczęli otrzymywać pogróżki.

Bozdağ wiedział już, co w serialu powinno się znaleźć, a co niekoniecznie. Są tu więc damsko-męskie romantyczne rozmowy, ale wątki miłosne wieńczą jedynie delikatne pocałunki, po których w obozie plemienia Kayi pojawiają się kolejne dzieci. Serialowi wojownicy Ertuğrula to ludzie pobożni i sprawiedliwi, rozwiązani swoich problemów szukający zawsze u Allaha i w jego imię walczący z przebiegłymi wrogami, np. chrześcijanami.

Serial przepełniony jest treściami religijnymi, podanymi w nienachalny i przystępny sposób. Tureckie media donosiły niedawno o pewnej meksykańskiej parze, która pod wpływem serialu miała przyjąć islam; podobno nie jest to odosobniony przypadek. Śledząc fora fanów serialu (także polskie) widać, jak wielu uwiodła filmowa wersja islamu.

Nie obrażaj sułtana

Jednak nie wszyscy zachwycają się dziełem Bozdağa. Niedawno do aresztu trafił dziennikarz Oktay Candemir – za obrazę osoby zmarłej kilkaset lat temu. Przyczyną zatrzymania Candemira stał się jego satyryczny tweet, opublikowany 3 września. Publicysta zażartował z obu produkcji Bozdağa – bo po pierwszym serialu pojawiła się kontynuacja, poświęcona synowi Ertuğrula, pod tytułem „Ustanowienie: Osman”. Dziennikarz ironizował, że bohaterowie następnych seriali – kolejni sułtani – powinni mdleć, trzeźwieć i jęczeć.

Candemira wkrótce zwolniono, ale pozostaje pod kuratelą sądową, a po przeszkaniu jego domu skonfiskowano mu archiwum i komputer. Czeką go proces – grożą mu dwa lata za kratami. Dziennikarz oświadczył, że nie zamierzał nikogo obrażać, i że kpił nie z Ertuğrula czy z poszczególnych sułtanów, lecz z koncepcji megaprodukcji kręconych przez państwową stację TRT. Jego zdaniem aresztowanie to próba „zakneblowania” go i wywarcia na niego presji. Prawdopodobnie wie, co mówi: jest Kurdem i pisze do mediów prokurdyjskich.

To najnowszy, ale nie jedyny przykład ukazujący, jak serialowa fikcja wykorzystywana jest do kreowania rzeczywistości. Dwa lata temu skandal wybuchł po tym, jak wykładowca akademicki, geolog Celal Şengör, nazwał Sulejmana Wspaniałego „idiotą”. Upiekło mu się może dlatego, że w tej samej rozmowie oznajmił, że od demokracji wolałby monarchię.

Tymczasem telewizja TRT idzie za ciosem: w poniedziałek 28 września premierę miał kolejny serial, pt. „Przebudzenie: Wielki Seldżuk”. Dynastia Seldżuków, rządząca różnymi krajami regionu, przedstawiana jest w nim jako wielcy poprzednicy Ertuğrula.

Śladami Osmanów

Kilka dni po tym, jak w mieście Van aresztowano Candemira, a w Izmirze obchodzono rocznicę wyzwolenia miasta w 1922 r. z rąk Greków przez Atatürka (założyciela świeckiej republiki, powstałej na gruzach osmańskiego imperium po I wojnie światowej), w niewielkim Söğüt ruszył festiwal upamiętniający 739. rocznicę śmierci Ertuğrula.

„To dla nas powód do dumy, że mamy cywilizację, której fundamenty zostały położone w Söğüt. Cywilizację, która przez wieki rządziła sprawiedliwie trzema kontynentami i siedmioma klimatami” – mówił przy tej okazji prezydent Erdoğan. I dalej: „Odwaga, mądrość i dalekowzroczność Ertuğrula odegrały wielką rolę w powstaniu naszej cywilizacji. Idąc za radą Ertuğrula, jego syn Osman i kolejni władcy państwa osmańskiego, którzy poszli w ich ślady, czynili sprawiedliwość i krzewili tolerancję, gdziekolwiek dotarli”. W przemówieniu prezydenta nie zabrakło też figury retorycznej, że Ertuğrul to pomost „między przeszłością a teraźniejszością i przyszłością”.

Adwokat Oktaya Candemira twierdzi, że zgodnie z tureckim prawem tylko najbliżsi osoby zmarłej mogą wnieść oskarżenie o jej znieważenie. Producenci serialu i kibicujący im politycy zrobili już chyba wszystko, aby spora grupa widzów uznała legendarnego wodza za swojego symbolicznego praojca.

To dla nich na sklepowych wieszakach w Söğüt powiewają koszulki z napisem „Jesteśmy synami Osmanów”. Powoli wypierają te z podobizną Atatürka.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ



MINDAUGAS KULBIS / AP / EAST NEWS

Z wiosenną falą pandemii Litwini poradzi sobie dobrze, dziś jest już gorzej. Na zdjęciu: ulice Wilna, maj 2020 r.

Litewski Trump kontra klan Landsbergisów

DOMINIK WILCZEWSKI Z WILNA

Epidemia nie oszczędza Litwy, wrzesień przyniósł rekordową liczbę zachorowań. Jednak nikt nie chce słyszeć o lockdownie. Czują to politycy, szykujący się do wyborów.

BYŁ PIĄTEK 11 WRZEŚNIA, GDY PĘKŁA „bałtycka bańka”. Tego dnia łotewski premier Krišjānis Kariņš ogłosił wprowadzenie restrykcji dla osób wjeżdżających na Łotwę z Estonii, do której wkrótce dołączyła Litwa. Wcześniej mieszkańcy tych trzech krajów mogli swobodnie poruszać się po ich obszarze. Bałtowie jako jedni z pierwszych w Europie zniesli ograniczenia dla podróżujących, wprowadzone w czasie wiosennej fali pandemii. „Bałtycka bańka”, jak nazwały ją europejskie media, otwarta została 15 maja.

Jej uruchomienie miało poprawić kondycję gospodarek krajów bałtyckich. Zdyscyplinowanie społeczeństw poddających się ograniczeniom i niska gęstość zaludnienia, sprzyjająca zachowaniu społecznego dystansu – to w dużej mierze zadecydowało, że na początku maja udało się tam spowolnić rozprzestrzenianie się wirusa.

– Litwa przetrwała pierwszą falę nie z powodu jakichś szczególnie udanych działań rządu, ale przede wszystkim z uwagi na swoje niewielkie rozmiary i położenie geograficzne. Leżymy na ubo-

czu, a nie skrzyżowaniu dróg, jak np. Polska – mówi mi Vytautas Bruveris, dziennikarz „Lietuvos rytas”.

Latem nastąpiło jednak rozprężenie. „Zaczęliśmy podróżować, gromadzić się, częściej wchodzić w interakcje. A ponieważ wirus nie został całkowicie zniszczony, zaczął się rozprzestrzeniać” – mówił na początku września litewski minister zdrowia Aurelijus Veryga. Efekt: o ile w czerwcu i lipcu na Litwie notowano codziennie zaledwie kilka-kilkanaście nowych przypadków, to w sierpniu i wrześniu epidemia zaczęła gwałtownie przyspieszać. 24 września zanotowano 138 nowych zachorowań, najwięcej od jej wybuchu.

Kilka dni po tym rekordzie Veryga przestrzegł rodaków, że szczyt drugiej fali może dopiero nadejść. Zaapelował o przestrzeganie zasad higieny, zasłanianie nosa i ust oraz zachowanie dystansu. Zapowiedział również możliwość wprowadzenia dodatkowych ograniczeń, zwłaszcza w lokalach gastronomicznych.

Wraz z rosnącą liczbą zakażeń wśród Litwinów zaczęła krążyć plotka, że rząd szykuje się do przywrócenia lockdownu, który obowiązywał w kraju wiosną. Oficjalnie nikt jednak dotąd nie potwierdził tej informacji. I raczej nie potwierdzi. Pówd jest oczywisty: wybory. ➔

Wszystko pod kontrolą

→ W niedzielę 11 października Litwini będą wybierać nowy Sejm. Spośród 141 posłów, 70 wybieranych jest z list partyjnych według ordynacji proporcjonalnej, a pozostali w 71 okręgach jednomandatu. Ponieważ do uzyskania mandatu potrzebna jest większość ponad połowy głosów, na 25 października zaplanowano ewentualną drugą turę.

– Co najmniej do dnia wyborów nie będzie lockdownu. Partie polityczne boją się niezadowolenia wyborców. Czują, że ludzie są wkurzeni i zmęczeni pandemią – uważa Vytautas Bruveris. Podobnego zdania jest Mariusz Antonowicz, politolog z Uniwersytetu Wileńskiego i członek Polskiego Klubu Dyskusyjnego w Wilnie: – Minister zdrowia próbuje dociągnąć najdłużej jak się da aż do wyborów, powtarzając, że wszystko jest pod kontrolą. A partie opozycyjne boją się podnosić ten temat i mówić, że rząd sobie nie radzi, bo czują, że ludzie są zmęczeni i nie chcą słyszeć o pandemii.

Większość litewskich komentatorów jest zgodna, że kampania jest niemrawa i niemal niewidoczna, telewizyjne debaty nudne i sztampowe, liderzy partyjni bezbarwni i pozbawieni charyzmy, a programy wyborcze – pełne ładnie brzmiących haseł i truizmów, pisane według jednej sztafki. „Gdyby dziś na Litwie wylądowali przybysze z innej planety, to nie zrozumieliby, do czego w ogóle potrzebne są nam te wybory. Partie niemal o nic się nie spierają” – komentuje na portalu Delfi.lt politolog Mažvydas Jastramskis.

Rzeczywiście, przeglądając programy trzech głównych partii – rządzącego Litewskiego Związku Zielonych i Rolników (LVŽS) oraz opozycyjnych Związku Ojczyzny-Litewskich Chrześcijańskich Demokratów (TS-LKD) i Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej (LSDP) – trudno znaleźć poważniejsze różnice. Najwięcej uwagi partie poświęcają polityce społecznej, niwelowaniu różnic, bardziej sprawiedliwej redystrybucji dochodów. Można odnieść wrażenie, że przynajmniej w kwestiach społeczno-ekonomicznych litewska scena polityczna przesuwana jest w lewo.

Koalicja centrolewicowa?

Sondaże wskazują, że walka o pierwsze miejsce rozegra się pomiędzy TS-LKD i LVŽS. Według badania „Spinter tyrimai” na zlecenie portalu Delfi.lt (16-26 września), na tych pierwszych gotowych jest

Brak politycznej stabilności i nowa, intensywniejsza fala epidemii – to dziś główne zagrożenia dla Litwy.

głosować 14,5 proc. ankietowanych, na drugich – 14,1 proc., na LSDP – 8,4 proc. Czwarte miejsce zajęła populistyczna Partia Pracy (7,2 proc.). O przekroczenie pięcioprocentowego progu powalczą: Ruch Liberalistów, zmontowana *ad hoc* populistyczna partia Wolność i Sprawiedliwość, liberalna Partia Wolności oraz Akcja Wyborcza Polaków na Litwie-Związek Chrześcijańskich Rodzin (AWPL).

Zagadką jest, jak zachowają się wyborcy, którzy określają się jako niezdecydowani. W sondażu „Balitjos tyrimai” jest ich aż 29 proc. To oznacza, że ostateczny wynik może daleko odbiegać od prognozowanego. Rezultaty wyborów na Litwie jest tym trudniej przewidywać, że o ostatecznym rozkładzie miejsc w Sejmie decydują okręgi jednomandatowe. „Co się w nich stanie – Bóg jeden wie” – mówił w czasie debaty eksperckiej portalu Delfi.lt publicysta Rimvydas Valatka, słusznie zwracając uwagę, że żaden sondaż nie pokazuje, kto może wygrać w Połdnie, Szkladach, rejonie wileńskim czy Kownie.

Zdaniem Vytautas Bruverisa trudno przewidzieć nie tylko, kto wygra, ale także kto stworzy koalicję. – Konserwatyści (TS-LKD) mogą nawet wygrać wybory, ale ich potencjał koalicyjny jest niewielki. Nadal bardziej prawdopodobna wydaje się koalicja centrolewicowa – uważa publicysta. W jej skład mogliby wejść „Chłopi” (jak na Litwie nazywa się LVŽS), socjaldemokraci i Partia Pracy oraz, co niemal pewne, AWPL. Do współpracy z TS-LKD skłaniają się jak na razie dwie partie liberalne, ale one nie mogą być pewne miejsca w Sejmie.

„Wielka koalicja” dwóch największych partii wydaje się niemożliwa. Jej największym przeciwnikiem jest lider „Chłopów” Ramūnas Karbauskis. Ten 50-letni biznesmen i właściciel ziemski, który wzbogacił się m.in. na handlu nawozami sztucznymi, nie zdecydował się w poprzedniej kadencji na objęcie funkcji premiera, wystawiając na to stanowisko byłego poli-

cjanta i ministra spraw wewnętrznych Sauliusa Skvernelisa. Karbauskis, Skvernelis i wspomniany już Aurelijus Veryga to trójka najważniejszych polityków obozu rządzącego – i to oni przewodzą liście wyborczej LVŽS.

Konserwatyści się zmieniają

Karbauskis próbuje sprowadzić kampanię do konfliktu z konserwatystami. Ponieważ, podobnie jak Donald Trump, nie ufa tradycyjnym mediom, z wyborcami komunikuje się bezpośrednio. Nie poprzez Twittera, ale wydając własnym sumptem gazetę „O Ziemie i Ludzi”. W połowie września Karbauskis wypuścił specjalne jej wydanie zatytułowane „Nietykalni” (w oszałamiającym – nie tylko jak na niespełna trzymilionowe litewskie społeczeństwo – nakładzie 400 tys. egzemplarzy). Atakuje w nim – podobnie jak amerykański prezydent – „ukryte państwo”, tylko w jego wersji litewskiej: była prezydent Dalię Grybauskaitė, która ma pociągać za wszystkie sznurki, i klan Landsbergisów, który ma kierować TS-LKD.

Liderowi LVŽS jest tym łatwiej napaść na konserwatystów, że na ich czele stoi 38-letni Gabrielius Landsbergis, wnuk pierwszego przywódcy niepodległej Litwy Vytautasa Landsbergisa. Przeciwnicy polityczni – głównie populiści, tacy jak Karbauskis, lider Partii Pracy Wiktor Uspaskich czy szef AWPL Waldemar Tomaszewski – właśnie konserwatystom i osobie Vytautasowi Landsbergisowi przypisują odpowiedzialność za wszelkie nieszczęścia Litwy: bolesną transformację gospodarczą w latach 90. XX w. czy zaciskanie pasa w czasie kryzysu ekonomicznego przed 10 laty.

Ale dziś także konserwatyści prezentują społecznie zorientowany program wyborczy. – Partie dostrzegają, że taki jest duch czasu, że przesadzono z mechanizmami wolnorynkowymi. Konserwatyści chcą teraz stać się czymś na kształt niemieckiej chadecji – wyjaśnia Mariusz Antonowicz. – Programowo konserwatyści nie różnią się już tak bardzo od socjaldemokratów, zwłaszcza jeśli chodzi o gospodarkę – dodaje.

Zmiana oblicza TS-LKD na bardziej socjalliberalne to w dużej mierze zasługa Gabrieliusa Landsbergisa, który próbuje przyciągnąć do swej partii młodszych wyborców. Świadomy własnych niedostatków, jako kandydatkę na premiera wystawił Ingridę Šimonytę – 45-letnią ekono-

mistkę, była minister finansów, bardziej kompetentną technokratką niż charyzmatyczną liderkę. Przed ponad rokiem z ramienia TS-LKD kandydowała ona w wyborach prezydenckich, przegrywając w drugiej turze w Gitanasem Nausėda.

Słabnący prezydent

„Prosimy o pomoc. Zaginął 55-letni mężczyzna. Ostatni raz widziany 11 marca na Prospekcie Giedymina. Wysoki, przystojny, żonaty” – głosił podpis pod zdjęciem prezydenta Nausėdy, zamieszczony pod koniec marca na jednym z litewskich profili satyrycznych na Facebooku. W pierwszych tygodniach pandemii wielu obserwatorów powtarzało, że „prezydent zniknął” – co oznaczało, że zabrakło jego przywództwa i zdecydowanych działań w obliczu zagrożenia.

Nawet jeśli te opinie były przesadzone – konstytucja nie daje prezydentowi zbyt dużego pola manewru w sprawach wewnętrznych – to ostatnie miesiące Nausėdzie trudno będzie zaliczyć do udanych. Nadal cieszy się sympatią społeczeństwa: według sondażu „Vilmorus” dla „Lietuvos rytas”, przeprowadzonego na początku września, pozytywnie ocenia go prawie 65 proc. ankietowanych. Jednak polityczna gwiazda wydaje się gasnąć. – Popęnił wiele błędów, okazywał słabość. Jego reputacja słabnie niemal z dnia na dzień. Nie jest traktowany poważnie – wylicza Vytautas Bruveris.

Prezydent nie potrafił wymóc na premierze dymisji ministra komunikacji z ramienia AWPL Jarosława Narkiewicza. Litewskie portale szczegółowo opisywały nieprawidłowości w jego resorcie, jak też z czasów, gdy Narkiewicz pracował w wileńskim samorządzie (m.in. ustawianie przetargów). Już w listopadzie zeszłego

roku Nausėda apelował o dymisję Narkiewicza, jednak bezskutecznie. Okazało się też, że prezydent źle znosi krytykę ze strony mediów. Dziennikarzom znanym z nieprzychylnych opinii na jego temat odmówiono roli moderatorów w jednej z debat organizowanych w pałacu prezydenckim.

W rozmowie z agencją informacyjną BNS Nausėda zadeklarował, że chce aktywnie uczestniczyć w powoływaniu nowego rządu. Chciałby też, aby kandydatury na ministrów gwarantowały realizację modelu „państwa dobrobytu”. O konieczności wprowadzenia w życie tej idei Nausėda mówił jeszcze przed objęciem urzędu. Jednak komentatorzy zarzucają, że w jego koncepcji brakuje konkretów. – Obawiam się, że w praktyce będzie się to sprowadzać do rozdawania pieniędzy na prawo i lewo – mówi mi Mariusz Antonowicz.

Zdaniem politologa, Nausėda może poprzeć koalicję centrolewicową z udziałem „Chłopów” i LSDP oraz będzie wykorzystywał swoje konstytucyjne uprawnienia, aby uwzględnione zostały jego preferencje względem kandydatów na ministrów. Konflikt wydaje się jednak nieunikniony.

– „Chłopi”, Partia Pracy i AWPL uważają, że prezydent jest słaby i że można mu pokazywać jego miejsce. Poza tym „Chłopi” twierdzą, że Nausėda zawdzięcza im wygraną, ponieważ w drugiej turze wyborów prezydenckich ich czarny PR został skierowany przeciw Šimonytė. Konflikt może wybuchnąć dosłownie o wszystko – twierdzi Antonowicz.

Groźba niestabilności

W dniu wizyty Mateusza Morawieckiego w Wilnie, 17 września, premier Saulius Skvernelis wyrozumiale wypowiadał się

na temat zmian w polskim sądownictwie. Dopuścił nawet możliwość podjęcia podobnych działań w sądownictwie litewskim, uzasadniając to koniecznością likwidacji „pozostałości reżimu sowieckiego”. Skvernelis został potem za to skrytykowany przez Litewską Radę Sądownictwa. „Odcinamy się od wszelkich stwierdzeń popierających tę reformę” – napisali sędziowie.

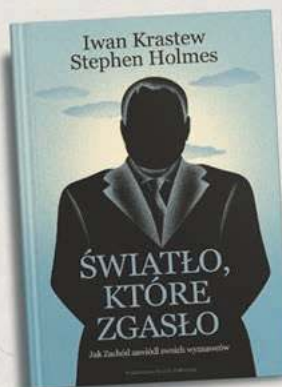
W mijającej kadencji nie brakowało obaw, zwłaszcza wśród przedstawicieli mediów, że zafascynowani rządami PiS-u litewscy „Chłopi” będą chcieli powtórzyć niektóre z posunięć partii Jarosława Kaczyńskiego, uderzyć w demokratyczne instytucje, przejąć kontrolę nad mediami publicznymi, przykręcić śrubę mediom prywatnym, podporządkować sobie Sąd Konstytucyjny i Sąd Najwyższy. Nawet jeśli rzeczywiście mieli takie zamiary, to zabrakło im konsolidacji i umiejętności. Ustawa o mediach publicznych przepadła, bo rządząca partia pogubiła się w sejmowych procedurach.

Jednak bardziej niż atak na demokratyczne instytucje, Litwie może grozić brak politycznej stabilności. Tego zdania jest Bruveris, który przypomina, że poza koronawirusem przed Litwą stoją wciąż inne wyzwania, jak agresywna polityka Rosji czy nieprzewidywalna sytuacja na sąsiedniej Białorusi.

– Czego boję się najbardziej, to tego, że koalicja, jakakolwiek by nie była, będzie słaba i krucha, pozbawiona woli politycznej i energii – uważa Bruveris. – Brakuje przywództwa prezydenta, a sytuacja wokół robi się coraz bardziej niestabilna i niebezpieczna. To wymaga liderowania ludzi mądrych i energicznych, z wizją. A takich ludzi może zabraknąć.

© DOMINIK WILCZEWSKI

REKLAMA



Nie poprosimy nawet o kroplę

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Długotrwały brak deszczu, a wcześniej beżśnieźna zima spowodowały na Krymie największą suszę od 150 lat.

RACJONOWANIE WODY WPROWADZONO już w 40 miejscowościach. Najgorsza sytuacja jest w okolicach Symferopola, na północy Półwyspu Krymskiego oraz w nadmorskich kurortach. Kończą się rezerwy. Większość zbiorników wody pitnej jest częściowo lub zupełnie opróżniona – jak właśnie zbiornik symferopolski, którego zasoby zmniejszyły się co najmniej pięciokrotnie. Miejskie władze rozpoczęły nawet przymusowy wykup studni od ludności cywilnej.

Wcześniej to Ukraina zaspokajała do 85 proc. zapotrzebowania półwyspu w słodką wodę, poprzez Kanał Północnokrymski, ale zamknęła go po rosyjskiej aneksji w 2014 r.

– Wszystkie działania okupacyjnej władzy są nieefektywne i fasadowe. Rosjanie cynicznie straszą opinię publiczną klęską żywiołową, a jednocześnie marnują wodę. Bo woda jest, ale tylko na potrzeby rosyjskiego wojska i propagandy – mówi w rozmowie telefonicznej Nariman Dżelal, przebywający w Symferopolu zastępca głowy Medżlisu (samorządu Tatarów Krymskich, zdelegalizowanego przez rosyjskie władze). – Rzekomo bardzo martwią się o sytuację ludności, ale sam widziałem, jak bezsensownie podlewają trawę rosnącą wzdłuż niedawno wybudowanej trasy, aby ładnie wyglądała. A w Symferopolu nadal działają fontanny – dodaje Dżelal.

Brunatna kranówka

Nawet prorosyjscy miejscowi eksperci zwracają uwagę, że władze powinny były zatroszczyć się zwłaszcza o wymianę rur, bo aż 60 proc. wody może być tracone z powodu przestarzałych wodociągów. Internet stale obiegają nagrania ciemnobrązowej wody leżącej z kranów.

– W wielu miejscach na Krymie kranówka zawsze była brudna i zasolona. Od

lat nawet do gotowania kupujemy tylko wodę artezyjską – opowiada 56-letnia Natalia, mieszkanka Krymu (prosząc o niepodawanie nazwiska). – Teraz problemem nie jest już czystość wody, lecz to, że jej nie ma. Włączają ją na niecałe trzy godziny rano i wieczorem. Wtedy wszyscy biegną się kąpać, prać i robić zapasy, a przez to zużywają jej więcej niż normalnie. Nie przypominam sobie aż takich kłopotów z wodą za mojego życia.

Córka Natalii wyjechała na teren Ukrainy kontynentalnej. Ona została ze względu na rodzinny biznes. – Dla mnie to proste: woda się kończy, bo przyjechało za dużo ludzi. Niedaleko ode mnie zbudowano nowe osiedle, w którym mieszkają sami wojskowi i ich rodziny – dodaje.

Z obliczeń tatarskiego samorządu wynika, że zaludnienie Symferopola zwiększyło się w ostatnich latach niemal dwukrotnie – za sprawą planowego napływu Rosjan, który ma na celu zmianę demogra-

ficznej struktury Krymu. Na półwyspie, przed rokiem 2014 zamieszkanym przez niespełna 2 miliony ludzi, miało zjawić się łącznie aż pół miliona rosyjskich osadników, z czego większość to wojskowi i pracownicy struktur okupacyjnych.

Natalia opowiada, że obok jej bloku postawiono zbiornik na 2 tys. litrów wody: – Od razu przyjechała ekipa telewizji. Chwalili, że ludziom rozdaje się wodę za darmo. Ale zapomnieli wspomnieć, że zbiornik nigdy nie został napełniony. Stoi pusty.

Na wielu frontach

Susza została też wykorzystana do walki informacyjnej. Olha Kowitidi, „senatorka” Krymu z ramienia władzy okupacyjnej, określiła odcięcie Krymczan od wody jako ludobójstwo. Rosyjska deputowana Natalia Pokłonska zwróciła się do Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka, skarżąc się na „bezprawne pozbawienie wody”. Jednak Krym jest pod okupacją, a według prawa międzynarodowego to państwo okupujące jest odpowiedzialne za warunki życia na zajętych terenach. Ukraina odpowiada jednoznacznie: wznowienie dostaw wody jest możliwe jedynie po zwróceniu półwyspu.

Wśród analityków pojawiają się głosy, że możemy mieć do czynienia z przygotowaniem propagandowym do przyszłej „wojny o wodę”: rosyjska agresja na ukraiński obwód chersoński, sąsiadujący z półwyspem, miałyby zagwarantować dostęp do rzeki Dniepr. Zagroże-

Dostawa wody w Symferopolu na okupowanym Krymie, wrzesień 2020 r.



KONSTANTIN MIHALCHEVSKIY / AFP / EAST NEWS

nie trudno bagatelizować, w końcu na Krymie stacjonuje kilkadziesiąt tysięcy rosyjskich żołnierzy. Na razie trudno określić prawdopodobieństwo takiego scenariusza.

Jednak zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Serhij Krywonos wyraził kilka dni temu opinię, że Rosja jedynie gra na emocjach. Podczas niedawnych ćwiczeń wojskowych Kaukaz-2020 żołnierze uczyli się „wyzwalać instalacje hydrauliczne”. Ale zdaniem Krywonosa, aby przeprowadzić inwazję na południe kraju, Rosja musiałaby najpierw zająć się stanem technicznym Kanału Północnokrymskiego. W tym momencie jest zaniedbany i zarośnięty. Krywonos uważa, że prawdziwym sygnałem alarmowym będzie rozpoczęcie prac remontowych w jego korycie.

– Władze Ukrainy nie mają prawa tak po prostu oddawać wody okupantom. Jednak Rosja działa bezwzględnie. Jeśli naciski się zwiększą, to moim zdaniem powinno się uwzględnić otwarcie tamy, ale tylko na mocy dokumentu, w którym będzie zaznaczone, że woda jest dostarczana na Krym, który jest terenem tymczasowo okupowanym przez Federację Rosyjską. Jeśli w ten sposób Rosja przyzna się do aneksji, będzie to nasz mały krok ku zwycięstwu – uważa Nariman Dżelal.

Kwestia przetrwania

Uprawiający rolę w stepowej części półwyspu Tatarzy Krymscy należą do najbardziej poszkodowanych suszą. Jednak wiceprzewodniczący Medżlisu zaznacza, że jego naród nie będzie prosić okupanta nawet o kroplę wody. Odkąd Rosja anektowała półwysep, Tatarzy są poddawani represjom. W rosyjskich więzieniach, na półwyspie oraz w Rosji, przebywa co najmniej 76 krymskotatarskich więźniów politycznych.

– Nasi ludzie są silni. Warunki na Krymie zawsze były trudne, ale przyzwyczailiśmy się do nich – mówi Dżelal. – Przetrwaliliśmy stalinowskie deportacje, aby po latach wrócić na swoją ziemię. Znosimy oskarżenia o terroryzm i praktyczne niszczenie naszego narodu ciągłymi aresztowaniami. Problemem mieszkalców półwyspu jest rosyjska aneksja, a nie brak wody. ©



KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

Ulice Pekinu tuż przed świętem narodowym; kobieta ubrana w tradycyjny strój hanfu.
29 września 2020 r.

Jedwabne szaty i chiński sen

MARIA WIŚNIEWSKA

Moda na tradycję staje się w Chinach coraz powszechniejsza, od kilku lat jest też promowana przez rząd. Do czego komunistom potrzebny jest Konfucjusz i pamięć o cywilizacji Państwa Środka?

WCZESNĄ JESIENIĄ TWARZ PEKINU SIĘ czerwieni. Kolorów miastu nadają dekoracje rozstawiane na ulicach z okazji święta narodowego przypadającego 1 października.

W domu państwa Xu, wśród harmideru sprzątanego, ryczy telewizor nastawiony na kanał Centralnej Telewizji Chińskiej. Z salonowego odbiornika rozbrzmiewają fanfary – to przygotowania do obchodów rocznicy przejęcia władzy w 1949 r. przez Partię Komunistyczną i powstania Chińskiej Republiki Ludowej.

Tymczasem w pokoju obok córka państwa Xu, 22-letnia Weiwei, wyciąga z szafy nowe hanfu: strój nawiązujący do czasów o wiele dawniejszych niż Chiny

Ludowe, ten młody przecież jeszcze twór. A w każdym razie młody, gdy spojrzysz się nań z perspektywy kilku tysięcy lat chińskiej państwowości.

Hanfu z Taobao

Weiwei to typowa przedstawicielka rekonstrukcyjnego ruchu Hanfu. Jego podstawową misją jest wskrzeszenie dawnych tradycji ubioru głównej grupy etnicznej Chin – narodowości Han.

Dziewczyna prowadzi wygodny miejski styl życia: od poniedziałku do piątku chodzi na zajęcia i uczy się w kampusowej bibliotece, a w weekendy wydaje sporo pieniędzy na zabawę i zakupy.

Swoje hanfu kupiła za 800 yuanów (równowartość ok. 450 złotych) na Taobao, ⇨

→ największej internetowej platformie handlowej w Chinach. Weiwei wahała się między luźniejszym wzorem z okresu dynastii Tang (rządziła Chinami od VII do X wieku) a delikatnie różową suknią nawiązującą do dynastii Ming (panującej od XIV do XVII wieku). Ostatecznie wybrała różową.

Stowarzyszenie popularyzacji hanfu, do którego należy Weiwei, spotyka się co tydzień. Członkowie we wspólnym gronie recytują poezję, poznają zasady starożytnej etykiety i uczą się gry na guzhengu, tradycyjnym chińskim instrumencie przypominającym cytrę.

Jej grupa składa się przede wszystkim z rówieśników Weiwei. Demografię ruchu Hanfu potwierdzają analizy konsumenckie. Szacunki Taobao wskazują, że 75 proc. zakupów tego stroju dokonywane jest przez osoby w grupie wiekowej 16-24 lata oraz w 90 proc. przez kobiety.

Wyrwać się z pogoni

Nic w tym dziwnego: to właśnie pokolenie urodzone w ostatnich dekadach XX stulecia oraz w pierwszej dekadzie wieku XXI jest w Chinach największą siłą na rynku rozrywki. Dla tych, którzy zostali wychowani w okresie gwałtownego wzrostu gospodarczego i polityki planowania urodzin (znanej szerzej jako „polityka jednego dziecka”), osobny budżet na rozrywkę jest na porządku dziennym.

– Moi rodzice wychowali się w skromnych warunkach i chcieli, żeby moje życie było łatwiejsze. Rzeczywiście nigdy niczego mi nie brakowało. Teraz, kiedy już dorosłam, potrzebuję jednak bardziej duchowego spełnienia. Noszenie hanfu i odtwarzanie zwyczajów naszych przodków wyrwa mnie z pogoni za rzeczami materialnymi – tłumaczy mi Weiwei w rozmowie przez komunikator internetowy.

Odzwierciedla to pewien paradoks: mimo że to w dużej mierze rozbudzony konsumpcjonizm przyczynił się do rozkwitu mody na hanfu, za modą stoi pragnienie uwolnienia się od jego więzów. Odpowiedzią ma być powrót do tradycji, a jej nośnikiem jest właśnie hanfu.

Złoty okres w historii

Na ścianie wisi fotografia ślubna rodziców Weiwei. Uśmiechnięta para młoda ubrana jest na modłę zachodnią. Matka Weiwei ma na sobie białą bufiastą suknię



Kobiety w strojach hanfu w metrze. Shaanxi w północno-środkowych Chinach, 30 kwietnia 2020 r.

i welon, a ojciec garnitur. To dość typowe stroje chińskich nowożeńców w latach 80. i 90. poprzedniego wieku.

– Kiedy byłam małą, też marzyłam o takiej sukni, ale to się zmieniło. Co prawda nie wiem jeszcze, kiedy wyjdę za mąż, ale wiem, że będę miała na sobie hanfu. Dlaczego mamy czerpać z cudzych tradycji, skoro mamy swoje? – pyta Weiwei.

Nie jest sama: takiego wyboru dokonuje nie tylko garstka pasjonatów. Przesyt zachodnim stylem i wzornictwem jest zjawiskiem coraz powszechniejszym wśród młodych Chińczyków.

Dla uczestników ruchu Hanfu powrót do dawnych ubiorów jest nie tylko kwestią estetyczną. To jeden z elementów szerszej ambicji przywrócenia Chinom dawnej chwały. Wzorem do naśladowania mają być dynastie Han i Tang. Ta pierwsza panowała wyjątkowo długo, bo od III wieku przed naszą erą aż do III wieku naszej ery.

Choć te dwie epoki dzieli kilkaset lat, łączy je jedno: obie określane są złotym okresem w historii Chin. Ciąg skojarzeń w głowie Chińczyka, zapytanego o te dwie dynastie, będzie automatyczny: wynalezienie papieru, Jedwabny Szlak, rozwój żeglugi i handlu międzynarodowego, rozkwit kultury.

Nie bez powodu hymn ruchu Hanfu nosi więc tytuł „Chong Hui Han Tang”, czyli „Powrót do epoki Han i Tang”:

*Ucichł szelest jedwabnych szat,
szliśmy nieraz gubiąc drogę.
Chcę powrócić do Han i Tang,
wskrzesić ich wielką historię.*

W imaginariusium ruchu Hanfu strój ma więc wymiar symboliczny: jest nośnikiem tradycji i – jak już powiedzieliśmy – także chwalebnej historii. A za konceptem Hanfu kryje się pragnienie odbudowania potęgi Chin. I ma dokonać się to teraz – w wieku XXI.

Chiński sen

„Podróżuj w hanfu” – tak brzmi tytuł akcji organizowanej przez stowarzyszenie Weiwei z okazji tegorocznego święta narodowego, podczas którego ruch turystyczny zwykle osiąga swoje szczyty. Tym razem, kiedy epidemia w Chinach wreszcie wydaje się być pod kontrolą, podróżnych może być nawet więcej.

Na blogu ruchu, w opisie wydarzenia, można przeczytać: „Hanfu i tradycyjna kultura odgrywają coraz większą rolę w codziennym życiu Chińczyków. Pomagają urzeczywistniać chiński sen

o wskrzeszeniu wielkiej cywilizacji Państwa Środka”.

Brzmi mgliście, ale w głowie osoby zaznajomionej z aparatem pojęciowym Chińskiej Partii Komunistycznej od razu zapali się lampka. „Chiński sen” to termin promowany przez obecnego prezydenta Chin Xi Jinpinga od 2013 r. W swoich przemówieniach publicznych Xi wielokrotnie podkreślał, że głównym celem jego rządów jest spełnianie „chińskiego snu” o „wielkim renesansie narodu chińskiego”. Chodzi o przywrócenie Chinom pozycji światowej potęgi po „stu latach upokorzenia”, jak określany jest okres uzależnienia Chin od mocarstw kolonialnych od połowy XIX wieku do 1949 r.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Chiny stały się drugą gospodarką świata i sukcesywnie umacniają swoją pozycję polityczną. Teraz, nadal z Partią Komunistyczną za sterami, kraj ma podążać drogą modernizacji, ale nie tracąc swojego wyjątkowego charakteru. To kultura tradycyjna, tępiąca przez Partię Komunistyczną w trakcie tzw. Wielkiej Proletańskiej Rewolucji Kulturalnej Mao (w latach 1966-76), jest teraz przez nią samą przedstawiana jako esencja chińskości. Polityka promowania kultury tradycyjnej w Chinach zakłada dziś bowiem jej rolę tożsamościową i narodotwórczą.

Ujednolicenie na siłę

Problem leży jednak w tym, że naród chiński – rozumiany jako jedna grupa etniczna – nie istnieje. Nawet w oficjalnym dyskursie społeczeństwo Chin składa się z 56 narodowości. Każda z grup wyróżnia się pod względem językowym, kulturowym i tożsamościowym.

Budowanie jednej wspólnej tożsamości tak różnorodnego społeczeństwa wiąże się więc z koniecznością spłycenia jej wielowymiarowości. W praktyce promocja tradycyjnej kultury często sprowadza się więc do promocji kultury Chińczyków Han, którzy stanowią ponad 90 proc. populacji kraju.

Efekty tej wybiórczej polityki wspierania tradycji widoczne były chociażby we wrześniu tego roku w Mongolii Wewnętrznej – regionie autonomicznym w północnych Chinach. Tamtejsze szkoły zostały zmuszone do wycofania języka mongolskiego w nauczaniu niektórych przedmiotów – na rzecz mandaryńskiego. Oporni zostali poddani represjom.

To kolejny krok w kierunku ujednolicenia kultury językowej Chin, ale zarazem krok w tył z punktu widzenia ochrony różnorodności.

Kultura tradycyjna służy też tworzeniu pozytywnego wizerunku Chin za granicą. Przykładem narzędzia dyplomacji kulturalnej prowadzonej przez rząd w Pekinie są Instytuty Konfucjusza, zakładane na całym świecie. Głównym ich celem jest nauczanie języka mandaryńskiego i upowszechnianie chińskiej kultury.

Szybki przegląd wydarzeń organizowanych przez Instytuty Konfucjusza w Polsce pokazuje, że w treści ich działań kultura tradycyjna dominuje nad współczesnymi aspektami tego kraju. W Instytutach wysłuchać można wykładów o roli muzyki w starożytnych Chinach, operze pekińskiej, chińskich sztukach walki. Propagowanie wiedzy o dawnych Chinach pomaga odwrócić uwagę od trudnych tematów.

Partia następcą i promotorem

Xi Jinping słynie z zamiłowania do nauk Konfucjusza, a w swoich przemowach często odwołuje się do kultury tradycyjnej. Podczas ostatniego zjazdu partii w 2017 r. mówił wręcz, że „socialistyczna kultura o chińskiej charakterystyce ma swoje źródła w tradycyjnej chińskiej kulturze zrodzonej z pięciu tysięcy lat historii cywilizacji narodu chińskiego”, a „Partia Komunistyczna jest lojalnym następcą i promotorem tradycji kultury chińskiej”.

Takie postrzeganie partii ma dwie funkcje: umacnia jej legitymację polityczną, rysując ciągłą linię między starożytnością a współczesną Chińską Partią Komunistyczną oraz ustala jej monopol w dziedzinie moralności.

Xi Jinping widzi kulturę tradycyjną jako odpowiedź na bolączki współczesnego społeczeństwa. W przekonaniu jego i partii to duchowa pustka i brak zasad etycznych prowadzą do takich problemów jak osamotnienie ludzi starszych czy korupcja. Tę lukę w sercach Chińczyków ma wypełnić konfucjanizm – system filozoficzny i etyczny, który przez wieki był źródłem wartości, przekonań i norm postępowania w społeczeństwie. Dziś ma wyprostować jego nadwyreżony kręgosłup moralny.

Gdy w 2013 r. Xi Jinping został przewodniczącym ChRL (tj. prezydentem), odwiedził Qufu – miasto znane jako legendarne miejsce urodzenia Konfucju-

sza w VI wieku p.n.e. Zadeklarował tam, że konfucjanizm będzie odgrywał pozytywną rolę w rozwoju kraju.

Ten symboliczny akt nabrał konkretnych kształtów rok później. W 2014 r. Ministerstwo Edukacji wydało wytyczne o pogłębianiu nauczania tradycyjnej kultury w szkołach. Jak to sformułowano, celem ma być poprawa postawy moralnej i naprowadzenie młodych Chińczyków na koleiny narodowej dumy.

Ministerialny dokument zakłada wprowadzenie i umocnienie w szkołach edukacji społecznej i rozwoju osobowości. Zajęcia mają wskazać młodym uczniom, jak radzić sobie w relacjach z innymi, szanować starszych i wspierać osoby niepełnosprawne. Edukacja rozwoju osobowości ma koncentrować się na kultywowaniu lojalności, odróżnianiu dobra od zła oraz przestrzeganiu dyscypliny i prawa.

Ujmując rzecz prościej: konfucjanizm ma pomóc w wychowaniu posłusznych obywateli Chin Ludowych.

Duch i biznes

Alé przywiązanie do tradycji ma też charakter oddolny – i to jest właśnie przypadek ruchu Hanfu. Jak grzyby po deszczu w kraju powstają szkoły popołudniowe, których program oparty jest na nauczaniu tradycyjnej kultury i tekstów z kanonu konfucjańskiego.

– Chińscy rodzice uwielbiają wysyłać swoje dzieci na zajęcia dodatkowe – opowiada mi Weiwei. – Moja mama posłała mnie kiedyś do takiej szkoły. Uczylać się pielęgnować dobre nawyki, jak szacunek do rodziców i nieuleganie samolubstwu, ale niektóre treści nie były dostosowane do współczesności. Poza tym to sporo kosztuje. Mama zapłaciła tylko tysiąc juanów za czas letnich wakacji. To nie tak dużo, bo w niektórych ośrodkach czesne wynosi nawet 50 tys. juanów rocznie. To szaleństwo!

Konfucjanizm pozwala wzrastać duchowo, ale jego popularność sprawia, że staje się też sposobem na dobry biznes. Najwyraźniej wypełnienie pustki duchowej ma swoją cenę.

W końcu – jak miał powiedzieć żyjący 2,5 tys. lat po Konfucjuszu inny chiński myśliciel, Deng Xiaoping, który rządził krajem do roku 1989 i zainicjował jego reformy, jak też otwarcie na świat – „bogać się to rzecz chwalebna”.

© MARIA WIŚNIEWSKA

DOROTA

Masłowska:

Cisza szkła



OD CZASU DO CZASU WRACAM MYŚLĄ DO zapomnianej piosenki „Skarby” Libera i Donia. Jej słowa opowiadają o ciężkich warunkach pracy w budowlance, przepłata je zaś zawadzony z penitencjarną tęsknotą refren „Gdy zbudzi nas dźwięk potłuczonego szkła”. Ze wzruszeniem obracam sobie w głowie to niezamierzenie piękne zdanie. Potłuczone szkło jest przecież wyjątkowo bezdźwięczne, nieme. Ciche upiorną ciszą, następującą zazwyczaj bezpośrednio po hałasie, jaki wywołuje szkło tłuczone. Odkąd wróciłam do Warszawy, ten dźwięk budzi mnie w każdy poniedziałek niedługo po szóstej.

Śmieciarka przyjeżdżająca po recyklingi najpierw z rykiem gramoli się, ładuje, mości się w podwórku. Znam te jej kontrolne parsknięcia, przygotowawcze rżenia, wciskające się za nimi przez okno wiotkie smugi spalin, ich srebrzysty zapach przenikający do moich gliczujących się już snów. Zaraz potem przechyłanie się kubła... I trach! Przenikliwy hukobrzęk jest zawsze tak samo epigenetycznie przerażający. Zawsze tak samo się go nie spodziewam, choć wiem, że to tylko metabolizmy codzienności; zwykła, niemordercza lawina słoików i butelek po winiarach, gerberach, radlerach, lagerach. Wielkich winach i małych, jednoosobowych winkach. I zaraz po niej właśnie ta niesamowita cisza, przez półsen nigdy nie wiadomo: albo bardzo krótka, albo bardzo długa. Śmieciarka zaczyna wycofywać się, popiskując miarowo, i jakby sama przerażona tym, co narobiła, odjeżdża na inne podwórka, potwornymi fanfarami wygrywać początek tygodnia.

Wprost za nią wcześniej trzymane pod ciśnieniem, a teraz uwolnione, ruszają pełną parą tramwaje, ciężarówki, auto-

busy, ambulanse, rowery i hulajnogi; porywista rzeka pojazdów zagęszcza się szybko, około siódmej osiągając pełną ciągłość, bezustanność. Grzmiąc i rycząc oplata Pomnik Lotnika i tam przelewa się w Żwirki i Wawelską. Aż dziw, że to właśnie u ich zbiegu rozciąga się ten dziwnie piękny, tajemniczy ogród nonsensu.

Stadion Skry. Z powodu zaszłości i konfliktów miasta z klubem sportowym, których tu dziś niestety nie rozwikłałam, obiekt od wielu lat opiera się remontom i rewitalizacjom. To utrwała go w kondycji wiecznego manowca, miejsca poza czasem i wzrostem. Nie ma tu unijnych orbitreków ani supernawierzchni, lodów rzemieślniczych, hamaków, wytyczonych ścieżek biegowych ani rowerowych, polbruku ani tuj. Na bieżni fermentują mirabelki; pordeviała, poprzerastane roślinnością drabinki gimnastyczne wyglądają jak outdoorowa sala tortur. Wejście wyznacza sucha potłuczona fontanna i coś jakby kostnica samochodów. Wypoziomowany ceglami kiosk z lat 90. licznymi kartkami A4 informuje natrętów, że „Parking nie przyjmuje żadnych wpłat” i „Parking nie udziela odpowiedzi na żadne pytania”. Tak jakby w tej anarchicznej przestrzeni, wśród chabaziów, pokrzyw, butelek i pokruszonego betonu błędni przechodnie notorycznie czegoś dociekali, o coś dopytywali, natrętnie usiłowali dokonać jakichś gorączkowych, mimowolnych wpłat.

Zrujnowana Skra to robaczywy as, którym raz po raz wymachują sobie przed nosami stołeczni politycy. W oficjalnej narracji jej stan definiowany jest jako „śmierć techniczna”, jednak trup ośrodka ma swoich patriotów i beneficjentów; daje schronienie dziwnej społeczności: niemożliwemu kohabitatowi sportowców i włóczęgów. Ci ostatni każdego ranka roją się z krzaków ze swoimi siatkami, nieróżowymi spacerówkami. Mijając się z kolejnymi biegaczami w odzieży funkcyjnej z Lidla, roznoszącymi aure płynu do płukania i porannego fitnessu, opatrzonymi w mierniki tętna i spalanych kalorii, idą zeszytyniałym krokiem osób, które spały na zimnie, nielicznym przez żadne krokومترze. W pochmurne dni może tu nie być nikogo, można biegać kwadransami, za jedyne go arbitra mając nieubranego w gore-tex mężczyznę odsypiającego kaca w wiacie sędziowskiej.

W poranki słoneczne bywa tłoczno, atmosfera zaś jest egalitarna. Starsi panowie ćwiczą jogę na trawniku. Przeskalowani atleci fikają pajacyki. Ukraińcy i Rosjanie, ze swoim ulubieniem dla kulturyzmu podwórkowego, poważnie i metodycznie wyciskają na kikutach drabinek. Hindusi zaś wykonują niezrozumiałe sekwencje ruchów, wymachów i przykuców jakby z zupełnie innego kodu gimnastycznego, pytając zaglądając w twarze usiłujących ujędnąć pośladki i wyszczuplić uda kobiet. Zawsze też bywa silna reprezentacja psów i osób, które uprawiają sport bierny poprzez patrzeć, jak inni go uprawiają.

Modernizacja tej dziwacznej nibylandii to kwestia czasu. Jak na razie, cieszy mnie cisza potłuczonego tu kiedyś szkła, beztroska, wręcz ostentacyjna. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze Wydział I Cywilnym pod sygnaturą I Ns 288/19 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Marii Paliświat, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Kamiennej Górze, ul. Cegielniana 19, zmarłej dnia 07 lutego 2019 r. w Kamiennej Górze.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

POLSKIE MALARSTWO I JEGO KOLEKCJONER

WYSTAWA „KOLORY PRZEMIAN” ZE ZBIORÓW KRZYSZTOFA MUSIAŁA umożliwia zobaczenie polskiej sztuki od połowy XIX wieku po początek naszego stulecia. To także unikalna okazja, bo wszystkie obiekty pochodzą z jednej prywatnej kolekcji i rzadko szerszej publiczności są udostępniane. Jednocześnie jest to bardzo duży wybór – na wystawie znalazło się 170 obrazów i rysunków autorów powszechnie znanych, niewątpliwie zasługujących na szersze grono odbiorców.

Wystawę podzielono na dwie części. Pierwsza prezentuje sztukę powstałą przed 1945 rokiem: od Piotra Michałowskiego, Jana Matejki i Józefa Brandta, przez czasy Józefa Pankiewicza, Olgi Boznańskiej, Jacka Malczewskiego, po Tadeusza Makowskiego, Zygmunta Waliszewskiego i Marka Włodarskiego. Druga to panorama sztuki powstającej od końca II wojny światowej po współczesność: od Władysława Strzemińskiego, Jana Cybisa i Marii Jaremy, Andrzeja Wróblewskiego, Aliny Szapocznikow i Wojciecha Fangora po Jarosława Modzelewskiego i Leona Tarasewicza. Są tu zarówno prace znacznych rozmiarów i muzealnej klasy, jak i niepozorne z pozoru szkice, ale dobrze pokazujące umiejętności ich twórców.

Kurator ekspozycji, Bogusław Deptuła, z tej artystycznej wielobarwności próbuje wydobyć stałość pewnych tradycji w polskiej sztuce, trwałe punkty odniesienia czy inspiracje artystyczne. Prace na wystawie wchodzą ze sobą w dialog, dopełniają się, wzajemnie komentują. Tworzą spójną opowieść o ważnej części naszej kultury ostatnich dwóch stuleci.

Jedną z tych tradycji została szczególnie wyróżniona: koloryzm, rozumiany szerzej niż tylko krąg tzw. kapistów, których prace są oczywiście obecne na wystawie. To zainteresowanie się kolorem, zwrócenie uwagi na jego rolę okazuje się tym, co łączy twórców sprzed dwóch stuleci i dziś tworzących.

Na wystawie zostały zaprezentowane obrazy i prace na papierze z powstającej od czterech dekad prywatnej kolekcji Krzysztofa Musiała. Dzieła z tych zbiorów były wcześniej pokazywane na innych wystawach. Niektóre z obiektów kolekcjoner przekazał muzeum w depozyty. I chociaż w Sopocie możemy oglądać jedynie część większej całości, to ta ekspozycja po raz pierw-



MATERIAŁY PROMOCYJNE PGS / JERZY BARTKOWSKI

PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE



MATERIAŁY PROMOCYJNE PGS / JERZY BARTKOWSKI

szy tak obszernie i kompletnie pokazuje zbiór Krzysztofa Musiała, jeden z najważniejszych w kraju.

„Kolekcjonerstwo to na pewno rodzaj choroby. No, ale choroby chodzą po ludziach” – pisze Jerzy Wojciechowski w tekście towarzyszącym wystawie. I dodaje: „Krzysztof Musiał zachorował poważnie”. Początki były skromne: na początku lat 80. ubiegłego stulecia zakupił akwarelę Niki for a. Dzisiaj w jego kolekcji jest obecna większość ważnych nazwisk – katalog jego zbiorów mógłby pełnić rolę encyklopedii polskiej sztuki. A jednocześnie jest to zbiór silnie naznaczony indywidualnymi gustami, preferencjami i upodobaniami kolekcjonera. Jego zainteresowaniem autotypami czy martwymi naturami, przywiązaniem do tradycji sztuki figuratywnej – chociaż w jego

zbiorach są też prace m.in. czołowych abstrakcjonistów.

Osobiste wybory podkreślono na wystawie. W przypadku artystów dla Krzysztofa Musiała szczególnie ważnych, jak Olga Boznańska, Andrzej Wróblewski czy Wojciech Fangor, można w Sopocie zobaczyć większy wybór ich prac. Zaznaczyć należy, że Fangor jest też autorem niezwyklej portretu kolekcjonera. „Kolory przemian” jest bowiem wystawą podwójną: sztuki, ale też – poprzez wystawione na niej prace – samego Krzysztofa Musiała. Jest to też ekspozycja przypominająca o znaczeniu, jakie ma prywatne kolekcjonerstwo, o jego roli dla kultury i dla tworzącej ją wspólnoty. ■ Ał

■ Państwowa Galeria Sztuki,
Sopot, 15 sierpnia – 22 listopada 2020.

CZERWONE POWOJNIE

75 lat temu wydawało się, że komuniści obejmą władzę także w niektórych krajach Europy Zachodniej. Najbliżej celu byli we Francji i Włoszech.

ZBIGNIEW ROKITA

KRÓTKIE DWUDZIESTE STULECIE SPINAJĄ dwie klamry. Po I wojnie światowej komuniści ogłosili koniec historii i rychłe wyzwolenie proletariatu na całej planecie. Po zimnej wojnie wielu ich adwersarzy też wierzyło w koniec historii, tym razem rozumiany jako definitywny triumf liberalnej demokracji. Ani jedni, ani drudzy nie mieli racji.

Za to po II wojnie światowej w Europie Zachodniej zapanował dziwny moment, wyłamujący się ze schematu: wydawało się, że w niektórych krajach komunizm zatriumfuje, lecz nie drogą rewolucyjnego przewrotu, ale w ramach porządku demokratycznego.

Dobry wujek Joe

Jeszcze jesienią 1941 r. wiele wskazywało, że Niemcy pokonają Związek Sowiecki, a wraz z nim skończy się komunistyczny eksperyment. Cztery lata później sytuacja zmieniła się diametralnie. Komunizm wyszedł z tamtej wojny silny jak nigdy dotąd. W 1945 r. Stalin zajął mniej więcej tę część Europy, którą komuniści chcieli zająć po I wojnie światowej. Różnica polegała na tym, że o ile w latach 1919-21 zachodni politycy demokratyczni nie życzyli sobie bolszewickiego pochodzenia na zachód, o tyle w latach 1941-45 wręcz go oczekiwali. Przynajmniej – do pewnej granicy.

Ci sami politycy walczyli przyczynili się do tego, że podczas wojny Józef Stalin stał się na Zachodzie popularny. Sowiecki dyktator budził sympatię w licznych zachodnich kręgach jeszcze w latach 30., ale dopiero podczas wojny osiągnęła ona szczyty. Roosevelt i Churchill naradzali

się z nim w Teheranie i Jącie jak równi z równym; nazywano to spotkaniami liderów trzech wielkich demokracji. Legitymizowali komunizm.

Historyk Tony Judt pisze w książce „Powojnie”, jak po 1941 r. zachodni alianci prowadzili wręcz kampanię propagandową, mającą zwiększyć sympatię wobec sojusznika na Kremlu w swoich społeczeństwach: „Churchill i Roosevelt regularnie wyrażali w przemówieniach radiowych swój podziw dla Stalina oraz Armii Czerwonej. Wojska sojusznicze szły na wojnę, chwając dobrego, starego wujka Joe. (...) Stalin stał się bohaterem na całym Zachodzie”. W Londynie stanął pomnik Lenina, a urodziny Stalina obchodzono na falach BBC koncertem utworów Prokofiewa. Za przyzwoleniem lub wsparciem władz zbierano fundusze dla Związku Sowieckiego, drukowano broszury o czerwonoarmistach itd.

Splendoru Stalinowi przydawała jego Armia Czerwona, która zajęła Berlin i była tak potężna, że rozpuśczone, w 1945 r. mogłyby dojść do wybrzeży Atlantyku.

Pragnienie alternatywy

Po 1945 r. trudno było wyobrazić sobie powrót do roku 1939. Zresztą – dla wielu nie była to kusząca perspektywa. W licznych krajach wyczuwalne było rozczarowanie kapitalizmem (cieniem kładła się współpraca z nazistami lub faszystami takich przedsiębiorców jak Vittorio Valletta, szef Fiata, Alfred Krupp, Louis Renault) i demokracją liberalną, która w międzywojniu nie sprostowała radykałom. Francuski przywódca Charles de Gaulle tak pod-

sumował ówczesny klimat: „Podczas tej katastrofy [tj. pokonania Francji przez III Rzeszę], pod ciężarem klęski, w umysłach ludzi zaszła ogromna zmiana. Wielu tragedii 1940 r. wydawała się porażką klasy rządzącej i systemu w każdej dziedzinie”.

Dla Stalina była to okazja: nigdy wcześniej ani później partie komunistyczne nie miały tak dużej szansy na przejęcie władzy w Europie Zachodniej na drodze demokratycznych wyborów. Komunizm wydawał się obietnicą budowy nowego sprawiedliwego porządku. Oburzonym i rozczarowanym miał dać alternatywę (wiedza o terrorze, gułagach i realiach życia w Związku Sowieckim nie była na Zachodzie powszechna). Alternatywę szczególnie kuszącą w czasie powszechnej na Zachodzie biedy pierwszych powojennych lat. Przebudowy stosunków społecznych życzyli sobie często ci, którzy przelewali krew za swoje kraje, a teraz liczyli na lepszy los. Moment dziejowy sprzyjał radykalnym planom, wierze w proste rozwiązania złożonych problemów.

Oczywiście już przed wojną komuniści legalnie funkcjonowali w wielu krajach Europy Środkowej i Zachodniej (w przeciwieństwie do Polski, gdzie ich działalność została zakazana wkrótce po 1918 r.). W weimarskich Niemczech byli polityczną potęgą: Komunistyczna Partia Niemiec (KPD) była drugą największą →

Wiec poparcia dla Palmiro Togliattiego po zamachu, w którym lider włoskich komunistów został ranny. Maszerują mieszkańcy Centocelle, rzymskiej dzielnicy przemysłowej. 17 lipca 1948 r.



→ taką partią w skali świata (po sowieckiej). W 1933 r., w przededniu dojścia Hitlera do władzy, elektorat komunistów sięgał 6 milionów dusz, a w wyborach zdobywali po kilkanaście procent głosów (najwięcej w 1932 r.: 17 proc.). Dochodziło do kuriozalnych sytuacji: w Hindenburgu (dziś Zabrze) mieli w radzie miejskiej większość i niewiele brakowało, aby przeszedł ich wniosek o zmianę nazwy miasta na Leninburg (było to w czasie, gdy Petersburg zmieniał się w Leningrad).

Po dojściu Hitlera do władzy i likwidacji KPD palma pierwszeństwa największej niesowieckiej partii komunistycznej przypadła ugrupowaniu czechosłowackiemu. Komuniści względnie silni byli również we Francji. Jednak wcześniej w żadnym zachodnim kraju nie udało im się przejąć władzy – i po 1945 r. było to ich atutem: wielu jawili się jako siła nieskompromitowana, a często osławiona niedawną walką w ruchu oporu. Tak było we Francji, Włoszech i Grecji.

Między Moskwą a Waszyngtonem

Była też druga strona medalu: nieufność, jaką wielu w Europie Zachodniej żywiło wobec Stanów Zjednoczonych, które po 1945 r. wysforowały się na naturalnego lidera świata zachodniego, detronizując Wielką Brytanię i Francję. Nie było jednak oczywiste, że Amerykanie pozostaną w Europie.

Kontynent był zrujnowany. Mawiano wówczas: „Przeżyć wojnę to jedno, przetrwać pokój – co innego”. Jednym z celów amerykańskiego planu Marshalla miało być uzdrowienie gospodarek, w przekonaniu, że chaos i bieda sprzyjają komunistom. Świeżo utworzona CIA raportowała w 1947 r.: „Największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA jest możliwość upadku gospodarczego zachodniej Europy i w konsekwencji dojście do władzy sił komunistycznych”.

Jednak pomoc gospodarcza ze strony kraju, którego PKB był mniej więcej równy PKB całej reszty świata, wielu napawała lękiem. Eric Hobsbawm w „Wiek skrajności” pisał: „USA nie cieszyły się wielką popularnością w Europie Zachodniej, pomimo, a niekiedy właśnie z powodu ich hojnej pomocy w gospodarczej odbudowie Europy. W lipcu 1947 r. zaledwie 38 procent dorosłych Francuzów było przekonanych, że plan Marshalla nie stanowi poważnego zagrożenia dla niepodległości ich kraju; podejrz-

Od końca lat 40. partie komunistyczne w Europie Zachodniej były w odwrocie, a ciosem dla komunizmu stał się rok 1956 i stłumienie węgierskiej rewolucji.

Na Zachodzie wielu przejrzało wówczas na oczy.

liwość wobec amerykańskich pobudek zwiększyła panika wojenna 1948 r., a dwa lata później konflikt koreański. Sfabrykowane komunistyczne zarzuty, że armia amerykańska używa w Korei broni biologicznej, znalazły wdzięcznych słuchaczy”.

Dla wielu atrakcyjną alternatywą wobec Amerykanów zdawał się Związek Sowiecki. W lutym 1945 r. na pytanie, kto mógłby najbardziej przyczynić się do odbudowy Francji, 25 proc. badanych Francuzów odparło, że państwo Stalina; o jeden procent mniej wskazało USA.

– Zwłaszcza we Włoszech percepcja Związku Sowieckiego była zupełnie inna niż w Polsce. To amerykańska inwazja, a potem wojskowa okupacja kraju przyniosła Włochom wiele gorczy i upokorzeń: śmierć od alianckich bomb, głód, wyszysk ekonomiczny, przemoc wobec ludności cywilnej, w tym seksualna, wreszcie demonstrowany kompleks wyższości Anglosasów – tłumaczy italianista dr Piotr Podemski. – Wielu Włochów na serio obawiało się amerykańskiego, a nawet brytyjskiego imperializmu. Dawało to podatny grunt pod sowiecką propagandę.

Sowieci wydawali się alternatywą kuśszą, bo nie dotarli do Europy Zachodniej. A jak głosił popularny potem dowcip: najbardziej lubili ich ci, którzy nigdy nie spotkali NKWD.

Od Rzymu po Paryż

Pierwsze lata powojenne to czas, gdy komuniści wchodzą do rządów koalicyjnych w kilku krajach zachodnich. Współrządzą w Finlandii, Belgii, Włoszech czy Francji. Po kilkanaście procent głosów otrzymują w Danii i Norwegii (choć do 1946 r. Armia Czerwona okupowała północną Norwegię). Za to w Niemczech Zachodnich, powstałych w 1949 r.,

zdobywają w porywach kilka procent głosów, a w 1956 r. KPD zostaje zdelegalizowana. W Wielkiej Brytanii ich sukcesy też są mizerne. Podobnie w Austrii, gdzie w pierwszych powojennych wyborach zdobywają 5 proc., choć Tony Judt twierdzi, że nie byli bez szans: „W Austrii tamtejsza partia komunistyczna popełniła błąd, odrzuciwszy w wyborach – które odbyły się pod koniec 1945 r. – potencjalnie rozstrzygające poparcie szeregowych nazistów i byłych członków NSDAP, co pogrzebało jej szanse na przejęcie władzy w tym kraju”.

Bezspornie największe sukcesy we wczesnym powojniu komuniści święcą w dwóch krajach: Francji i Włoszech.

Liderem Francuskiej Partii Komunistycznej jest były górnik Maurice Thorez (w sumie będzie kierować nią przez 34 lata, aż do 1964 r.). Na początku wojny zdezerterował z armii i aż do wyzwolenia kraju przebywał w Związku Sowieckim. W wyborach parlamentarnych w 1945 r. oraz dwukrotnie w 1946 r. FPK otrzymuje oszałamiające poparcie w przedziale 26-28 proc.; dwukrotnie wygrywa, a raz zajmuje drugie miejsce. Komuniści nie obejmują jednak pełni władzy, de Gaulle nie powierza im kluczowych tek dyplomacji, bezpieczeństwa i obrony. Otrzymują skromniejsze resorty, co nie odzwierciedla woli wyborców. Gdy w maju 1947 r. powstaje nowa koalicja, nie ma w niej już dla nich miejsca.

Największa zachodnioeuropejska partia komunistyczna istnieje wtedy we Włoszech: WPK to ugrupowanie masowe, po wojnie składki opłaca ponad 2 mln członków. Z wielu względów to partia wyjątkowa. Nie jest tylko delegaturą Kremla na Półwyspie Apenińskim. W jej szeregach jest wielu świetnie wykształconych działaczy. Na czele stoi, od roku 1927 do 1964, intelektualista Palmiro Togliatti. Kieruje się formułą: „W połowie Croce, w połowie Stalin” (Benedetto Croce to liberalny włoski filozof). Po wojnie Togliatti zostaje ministrem sprawiedliwości i przyczynia się do przyjęcia projektu amnestii dla byłych faszystów (był to znaczny problem: tu faszyci nie byli okupantami, lecz rządzili krajem od 1922 r.).

Komuniści kontra chadecy

Thorez i Togliatti jeszcze pod koniec wojny porzucili radykalną retorykę i nie zdecydowali się na zagranie *va banque*:

wywołanie strajków czy zamieszek i przejęcie władzy siłą. Stalin dał im do zrozumienia, by nie przeceniali własnych sił: bezpośrednio po wojnie nie potrzebował konfliktu z aliantami, a we Włoszech i Francji – inaczej niż w Polsce – stacjonowały wojska amerykańskie, nie sowieckie. Poza tym Stalin wciąż mógł mieć nadzieję, że komuniści dojdą tam do władzy legalnie.

Nadzieje takie długo utrzymywały się szczególnie we Włoszech. Komuniści wciąż rośli tam w siłę: w 1946 r. zdobyli 4,3 mln głosów. W rządach koalicyjnych byli obecni do lata 1947 r., gdy zostali z nich wyrzuceni (cóż to była za włoska koalicja: katolicko-socjalistyczno-komunistyczna...). Wówczas jeszcze liczyli, że rychło do nich wrócą, ale nigdy się to już nie stało. W wyborach 1948 r. startowali razem z socjalistami, wspólny front lewicowy poparło aż 8,1 mln Włochów.

Ich rywalem stała się Chrześcijańska Demokracja, która w 1948 r. zdobyła niemal połowę głosów, po czym aż do końca lat 80. stała się główną siłą polityczną Włoch. W latach 40. i 50. chadecy mogli liczyć przy tym na mniej lub bardziej dyskretne wsparcie Waszyngtonu – Stany nie chciały dopuścić, aby Italia wymknęła się z zachodniego sojuszu.

– W miarę pogłębiania się zimnej wojny Amerykanie dawali jasno do zrozumienia, że Włochy mają dla nich ogromną strategiczną wartość jako „lotniskowiec” na Morzu Śródziemnym – mówi mi dr Piotr Podemski. – Decydującą bitwą o Italię były wybory parlamentarne w 1948 r., w których komuniści ciężko pracowali na sukces w ramach całkowicie demokratycznych procedur. Mieli znaczne szanse na zwycięstwo. Ale paradoksalnie na przeszkodzie stanęła im ingerencja USA, które przez ogromne wsparcie finansowe i propagandowe dla chadeków zabrały im całkiem realną wygraną.

Podemski tłumaczy, że odtąd komuniści przeszli do głębokiej i jałowej opozycji, a część radykałów młodego pokolenia z czasem sięgnęła po terroryzm jako metodę walki politycznej. Amerykanie stworzyli w ten sposób „zamrożoną demokrację”: stało się jasne, że rządy chadeków pod kuratelą USA są bezalternatywne. Geopolityka uniemożliwiała zmianę władzy.

Grecka wojna domowa

W przejęcie władzy miejscowi komuniści wierzyli również w Grecji. Zbojkotowali jednak wybory parlamentarne w 1946 r. twierdząc, że są represjonowani przez prawicowe władze (w historiografii greckiej represje te nazwano Białym Terrorem).

Konflikt polityczny przerodził się niebawem w wojnę domową, ale komuniści nie otrzymali wsparcia od Związku Sowieckiego. W słynnym „porozumieniu procentowym”, które Churchill zawarł ze Stalinem na kartce papieru w Moskwie w 1944 r., a w którym ustalano wpływy mocarstw w poszczególnych krajach, uzgodniono, że Grecja w 90 proc. będzie „brytyjska”. Stalin respektował później umowę z Churchillem – Grecja nie miała dla niego tak dużej wartości, by konfliktować się tu z zachodnimi mocarstwami. Rugał później tak greckich komunistów za prowadzenie wojny, jak i jugosłowiańskiego przywódcę Titę za wsparcie dla nich.

Pozbawieni wsparcia Moskwy, greccy komuniści przegrali, a kilkanaście tysięcy uchodźców tej wojny trafiło do Polski.

© ZR

Czas konfrontacji

W 1947 r. Stalin postawił zachodnich komunistów w niezręcznym położeniu. Sowiecki dyktator zwołał wtedy komunistów z Polski, Niemiec, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii oraz właśnie Francji i Włoch na zjazd w Szklarskiej Porębie. Miano tam wytyczyć nową strategię: koniec z pokojową koegzystencją z siłami „burżuazyjnymi”. Rozkręcała się zimna wojna, podział na dwa obozy był coraz ostrzejszy.

Dla francuskich i włoskich komunistów był to twardy orzech do zgryzienia. Do 1947 r. zachowywali sporą niezależność od Kremla. Teraz oczekiwano od nich, że staną się w swoich krajach opozycją totalną, że zaczną torpedować wszystkie działania swych rządów.

Tony Judt pisze, że w tym momencie wpływową wcześniej w swym kraju Francuska Partia Komunistyczna przemieniła się „z niezręcznego rządowego partnera koalicyjnego w niepohamowa-

nego krytyka wszystkich francuskich posunięć w kraju i za granicą – do tego stopnia, że w drugiej połowie 1947 r. i przez większą część roku 1948 wielu ludzi odnosiło wrażenie, że Francja zmierza ku wojnie domowej”.

Był to czas, gdy widmo kolejnego światowego konfliktu, teraz między Wschodem i Zachodem, wydawało się szczególnie realne. Niebawem zaczął majaczyć sojusz komunistów z Indii, Chin i Sowietów; dekolonizujące się peryferia mogły wybrać „czerwoną drogę”; wielu wciąż obawiało się dojścia komunistów do władzy na Zachodzie.

W odwrocie

Jednak okoliczności coraz mniej sprzyjały tam komunistom. Wraz z odbudową Europy Zachodniej spadała skłonność jej obywateli do szukania radykalnych rozwiązań społecznych. Działo się tak z jednej strony dlatego, że rósł poziom życia i z czasem stało się jasne, iż kapitalizm to sympatyczniejszy pomysł na życie. Z drugiej strony w wielu krajach zaczynało powstawać już wtedy państwo opiekuńcze. Np. we Francji w 1949 r. wzrost wydatków na świadczenia społeczne w relacji do roku 1938 wzrósł o 64 proc. Przeprowadzono też szeroko zakrojoną nacjonalizację. Jedno i drugie odbierało komunistom argumenty. Atlantyczna orientacja większości zachodnich Europejczyków stawała się pewna.

Od końca lat 40. partie komunistyczne w Europie Zachodniej znalazły się w odwrocie. Wyjątkami były wciąż Francja (niebawem ich pozycja tu osłabnie) i Włochy. Ogromnym ciosem dla zachodniego komunizmu miał stać się rok 1956 i krwawe stłumienie węgierskiej rewolucji. Na Zachodzie wielu przejrzało wówczas na oczy.

Później już tylko Włoska Partia Komunistyczna potrafiła odnaleźć się w porządku demokratycznym, a nawet w latach 80. wygrać wybory do Parlamentu Europejskiego. Był to jednak już inny komunizm.

Widmo dojścia stalinistów do władzy w Europie Zachodniej na drodze legalnych wyborów nie powróciło już nigdy.

© ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest reporterem, stałym współpracownikiem „TP”. Pod koniec września w Wydawnictwie Czarne ukazała się jego książka „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

PODĄŻAJ ZA WZROKIEM

Nauka nie ustaliła jeszcze, czy oczy rzeczywiście są zwierciadłem duszy. Ale na pewno wiele mogą nam powiedzieć o umyśle – naszym i cudzym.

KATARZYNA DZIADOWICZ



MĘŻCZYŻNA W CZARNYM UBRANIU siedzi za stołem przykrytym czarnym obrusem, na którym leży żółta zapalniczka. Spogląda na nią, bierze do lewej ręki i zapala. Po chwili udaje, że prawą ręką zabiera płomień, i podąża za nią wzrokiem. Gdy obie dłonie oddalają się od siebie, mężczyzna pstryka palcami prawej, następnie lewej, a zapalniczka znajdująca się dotychczas w lewej dłoni... znika.

Tak sztukę postrzega większość obserwatorów, ale nie jest to opis do końca zgodny z prawdą. Mężczyzna jest iluzjonistą i właśnie sprawił, że spora część widzów zastanawia się, jak to możliwe, że fizyczny obiekt rozplynął się w przestrzeni, a część bardziej sceptycznych szuka podstępu w zręcznych ruchach magika. W rzeczywistości zapalniczka leży na jego kolanach, upuszczona tam przy akompaniamencie pierwszego pstryknięcia palcami.

Co różni występ wprawiający widownię w zdziwienie od nieudanego, demaskującego iluzję? Badania przeprowadzone przez Gustava Kuhna – psychologa i byłego magika – oraz jego współpracowników wskazują, że decydować może kierunek spojrzenia magika w czasie zagarniania płomienia do prawej dłoni. Jeżeli jego wzrok nie podąży tym śladem, lecz skupi się na lewej dłoni, to znacznie mniej osób pozostanie ślepych na przelot żółtej zapalniczki z dłoni na kolana.

Z kim lepiej nie zadzierać

Mechanizm stojący za tą sztuką można wykorzystać np. w marketingu, i to nie tylko do sprzedaży zapalniczek. Wystarczy umieścić reklamowany produkt na linii wzroku modela, żeby spoglądający na billboard konsumenci z łatwością ten produkt dostrzegli – przynajmniej to sugerują badania przeprowadzone ponad 20 lat temu przez Chrisa Friesena i Alana Kingstone’a z Uniwersytetu Alberty w Kanadzie. Badacze mierzyli szybkość odczytywania przez uczestników eksperymentu pojawiających się na ekranie liter. Przy czym na środku ekranu umieszczono schematyczną twarz z wyraźnie zaznaczonym kierunkiem spojrzenia. Uczestnicy eksperymentu zostali poinformowani, że kierunek wzroku przedstawionej postaci nie musi wskazywać miejsca pojawienia się liter. Mimo to okazało się, że kiedy kierunek spojrze-

nia był spójny z miejscem pojawienia się znaku, uczestnicy dostrzegali i rozpoznawali literę szybciej, niż kiedy wzrok postaci skierowany był prosto na nich lub w stronę przeciwną. Co więcej, ten efekt był widoczny nawet wtedy, gdy badanych zniechęcano do podążania za wzrokiem, mówiąc im, że litery czterokrotnie częściej będą pojawiać się w innym miejscu, niż sugerowałyby to wyświetlone na ekranie oczy.

To tylko jeden z przykładów potwierdzających eksperymentalnie dostępną w życiu codziennym obserwację: mimowolnie patrzymy tam, gdzie patrzą inni. Tylko po co?

Na początku warto zaznaczyć, że z pewnością nie robimy tego świadomie – kiedy wydłużono odstęp czasu pomiędzy wskazówką (pojawieniem się twarzy) a bodźcem (pojawieniem się litery), to opisane powyżej efekty zniknęły. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że badani zyskiwali czas na świadome skontrolowanie swojej uwagi. Można jednak pokusić się o spekulację na temat ewolucyjnej funkcji odruchu śledzenia cudzego spojrzenia. Jaką przewagę mógł dawać tym spośród naszych przodków, u których był obecny? I jaką przewagę daje dzisiaj nam i innym zwierzętom?

Najbardziej podstawową korzyścią wynikającą z tego odruchu może być dostęp do informacji: o jedzeniu, zagrożeniu, a nawet hierarchii społecznej.

O hierarchii, bo ukierunkowanie spojrzenia nie tylko pozwala zdobyć informację, ale także je wysyła. Przede wszystkim ten osobnik, na którego skierowanych jest najwięcej par oczu, przeważnie zajmuje wysokie miejsce w hierarchii. Z nim lepiej nie zadzierać. W dużych, wielopokoleniowych stadach to cenna wskazówka.

Jeżeli chodzi o zagrożenie – fundamentalną sprawą wydaje się zdolność do rozpoznawania, kiedy ktoś patrzy prosto na nas. To sytuacja, która u obserwowanej jednostki często może wywołać strach lub komunikowanie uległości. Osobniki, które nie zauważą, że czai się na nich drapieżnik, mogą nie mieć więcej okazji do śledzenia wzroku innych zwierząt. Eksperymenty psychologów pokazują, że skierowane na nas spojrzenie jest rozpoznawane szybciej niż inne kierunki, a w takiej sytuacji dłużej zajmuje nam wykrywanie bodźców prezentowanych poza centrum uwagi.

Co jest za parawanem

Badacze spekulowali, że kierunek spojrzenia może być narzędziem społecznej rywalizacji. Szympansy i marmozety wykorzystują umiejętność śledzenia spojrzenia, by unikać jedzenia obserwowanego przez innych. Prawdopodobnie ma to na celu uniknięcie konkurencji. Ta zdolność może mieć także znacznie większe znaczenie dla sukcesu reprodukcyjnego osobników – w hierarchicznych stadach szympanсів samce podporządkowane często parzą się z płodnymi samicami po kryjomu, poza zasięgiem wzroku zazdrośnego samca alfa, który zawsze stara się zmonopolizować dostęp do partnerek. Para małp może się schować za dużym kamieniem czy drzewem i robić swoje, jednocześnie śledząc każdy krok przywódcy stada.

Padlinożerne kruki często muszą ukrywać swoją zdobycz przed innymi, dlatego naukowcy spodziewali się, że one także mogą być zdolne do śledzenia spojrzeń. Ich przypuszczenia do pewnego stopnia potwierdziły badania – jedna trzecia dwumiesięcznych (czyli uzależnionych od rodziców) kruków zadzierała głowy, gdy także eksperymentator spoglądał w górę, a połowa sześciomiesięcznych (czyli młodych, ale już samodzielnych) przedstawicieli gatunku nie tylko śledziła wzrok, ale także przemieszczała się, by zobaczyć, co znajduje się za barierą, w miejscu skupienia wzroku eksperymentatora, niewidocznym dla nich z innej perspektywy. U starszych ptaków zadzieranie głowy do góry w ślad za eksperymentatorem nie było regułą. Autorzy badania zaznaczają, że może być to efekt innych potrzeb środowiskowych – dla maluchów spoglądanie w górę jest szczególnie istotne, bo tam może czaić się drapieżnik, podczas gdy dla starszych istotniejsze jest odnajdywanie pożywienia albo rywali. Test śledzenia spojrzenia za barierą, w innym badaniu, przeszły pozytywnie także szympansy.

Z metodologicznego punktu widzenia istotne jest to, że zdolność podążania za spojrzeniem nie opiera się tylko na obserwacji gałek ocznych, bo w warunkach naturalnych zmianie punktu skupienia wzroku towarzyszy zwykle poruszenie głowy. Do pierwszego roku życia dzieci dość stabilnie śledzą obroty głowy rodziców, a pomiędzy 12. a 18. miesiącem zaczynają odróżniać ruchy głowy od ruchów oczu, co objawia się rzadszym podążaniem za „wzrokiem”, kiedy ktoś →

→ odwraca głowę z zamkniętymi oczami. W badaniach zespołu Timothy'ego Eddy'ego 50 proc. szympanów śledziło wzrok, kiedy aktor jednocześnie obracał głowę. Ale gdy jego głowa pozostawała nieruchoma, to na podstawie ruchu gałek ocznych wzrok śledziło zaledwie 30 proc. szympanów. Tym samym nie zawsze możliwe jest zbadanie tego zjawiska poprzez wykorzystanie statycznych ilustracji, jakie często pojawiają się w eksperymentach.

Dostęp do umysłu

Zwierzęta najczęściej bada się poprzez zdolność śledzenia naturalnego spojrzenia eksperymentatora. Wydaje się, że z tym zadaniem najlepiej radzą sobie orangutany, nieco gorzej szympansy oraz inne małpy wąskonose i małpy szerokonose. Ale nie tylko. Udokumentowane badawczo zostały także zdolności do podążania za ludzkim wzrokiem w odległą przestrzeń delfinów, fok, wilków, żółwi leśnych, udomowionych kóz i psów. Śledzenie wzroku nie jest więc cechą wyłącznie ludzką, ale raczej typowym zachowaniem gatunków społecznych.

Z kolei podążanie za wzrokiem przedstawicieli własnego gatunku potwierdzono u różnych naczelnych, w tym u tych ewolucyjnie od nas najbardziej odległych – małpiek (konkretnie: lemurów).

Jednak podążanie za wzrokiem i zdolność skorzystania z dostarczanych przezeń wskazówek nie zawsze idą ze sobą

w parze. Jeśli eksperymentator poda małpom kilka pojemników i będzie spoglądał w kierunku tego, w którym ukrył jedzenie, szympansy czy orangutany będą mieć trudność ze skorzystaniem z podpowiedzi. Ta trudność może mieć źródło w braku motywacji – to, że małpa mogłaby śledzić wzrok człowieka, niekoniecznie musi oznaczać, że będzie tym zainteresowana. Ludzie są przecież dla małp zagadkowi i doprawdy trudno zrozumieć ich zwyczaje.

Susan Mineka wraz ze współpracownikami zaobserwowali, że makaki królewskie (rezusy) są w stanie nauczyć się strachu przed węzami na podstawie obserwacji reakcji lękowych swoich wychowanych w laboratorium rodziców. Ci okazywali strach, obserwując prawdziwe i zabawkowe węże. Taka forma uczenia się przez obserwację wymaga podążania za czyimś wzrokiem w celu zlokalizowania źródła zagrożenia, ale nie byłaby możliwa bez drugiego elementu – odczytania emocji zawartych w wyrazie mimicznym obserwowanego. Uczący się makak musiał więc dostrzec nie tylko to, że uwaga jego rodziców jest skierowana na węża, ale także zrozumieć, że to ten obiekt wywołuje w nich określone emocje. Zjawisko kierowania swojej uwagi na pewien przedmiot lub miejsce, zgodnie z kierunkiem uwagi kogoś innego, określa się mianem współdzielenia uwagi (ang. *joint attention*). Często mylnie utożsamia się je ze wspólną uwagą (ang. *shared attention*), która jest jednak

fenomenem jeszcze bardziej złożonym, bo wymaga wzajemnej wiedzy obu uczestników o ich wspólnym zainteresowaniu.

W opinii wielu badaczy nie powinniśmy na podstawie takich zdolności wysnuwać zbyt daleko idących wniosków, dotyczących przypisywania innym osobnikom stanów mentalnych – a więc traktowania ich jak osoby posiadające umysł. Podążanie za wskazówkami wzrokowymi nie musi wymagać zdolności do przyjęcia punktu widzenia obserwowanego osobnika, a tym bardziej przypisywania mu doświadczeń emocjonalnych. Zdolność do korzystania ze wskazówek wzrokowych może być bardziej „mechaniczna”.

Na podstawie wyników eksperymentu Lindsey Drayton i Laurie Santos z Uniwersytetu Yale można jednak wnioskować, że makaki królewskie uwzględniają w swoim zachowaniu wiedzę obserwowanego człowieka, czyli nie podążają mechanicznie za cudzym wzrokiem w każdej sytuacji. Jeżeli człowiek reagował zaskoczeniem widząc jakiś przedmiot, na który kierował wzrok już wcześniej, to makaki szybciej zaczynały szukać wzrokiem alternatywnego źródła reakcji obserwowanego niż w sytuacji, gdy z danym przedmiotem człowiek zetknął się po raz pierwszy. Zachowywały się więc tak, jakby nie tylko poprawnie postrzegały kierunek spojrzenia, ale także rozumiały, że ma on związek ze stanem wiedzy obserwowanych jednostek.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”: „Do Betlejem!”, „Moc czytania”, „Polska żydowska”, „Smak wolności”, „Halo, tu Ziemia”, „Moc kobiet”.

TYGODNIK
POWSZECHNY



Za panią matką

Badania wskazują, że ze wszystkich gatunków to ludzie najczęściej angażują się w interakcje związane ze współdzieleniem uwagi. Jednocześnie nieznany jest inny gatunek, którego budowa oka równie jasno komunikowałaby o kierunku spojrzenia – tęczęwka ze żrenicą wyróżnia się na tle białej twardówki. Psycholog Michael Tomasello połączył te dwa fakty w tzw. hipotezie kooperatywnego oka. Głosi ona, że budowa naszego oka ewoluowała właśnie po to, by ułatwić nam śledzenie spojrzenia innych ludzi. To ułatwia tworzenie stanów wspólnej uwagi, które są podstawą współpracy. A w niszy ekologicznej, którą nasi przodkowie zajęli, kooperacja była życiową koniecznością.

Stabilne podążanie za wzrokiem innych dzieci opanowują mniej więcej do pierwszego roku życia. Po 12-18 miesiącach są w stanie skupić się na tym, na czym koncentruje się ich mama, czyli współdzielić z nią uwagę. To ważny krok w rozwoju m.in. dlatego, że w znacznym stopniu ułatwia uczenie się języka. Identyfikowanie obiektów, na które patrzy opiekun, pomaga niemowlakom dopasować zasłyszane nazwy do określonych przedmiotów. Badania pokazują, że im lepiej półroczne dzieci radzą sobie z podążaniem za wzrokiem innych osób, tym większy zasób słów posiadają rok później. W ograniczeniu zdolności do korzystania ze wskazówek wzrokowych niektórzy badacze dopatrują się przyczyn deficytów językowych u dzieci ze spektrum zaburzeń autystycznych.

To jednak nie koniec związków zdolności do śledzenia wzroku z autyzmem. Wiadomo, że dzieci z tego spektrum zaburzeń słabiej niż dzieci neurotypowe radzą sobie z testami tzw. teorii umysłu, czyli trudniej przychodzi im przypisywanie innym osobom myśli czy uczuć. A im słabiej wypadają w testach, tym większe szanse, że miały problemy ze współdzieleniem uwagi na wcześniejszych etapach rozwoju. Trzeba jednak zaznaczyć, że trening umiejętności społecznych może zdecydowanie wpłynąć na dalszy rozwój teorii umysłu. W jednym z eksperymentów okazało się, że iluzji, która wymagała od obserwujących podążania za wzrokiem magika (podobnej do iluzji ze znikającą zapalniczką), uległa badana grupa osób z autyzmem, chociaż naukowcy spodziewali się przeciwnego wyniku. Wia-

Młode kruki,
na widok człowieka
spoglądającego w górę,
same będą
zadzierać głowę.



ZOOMAR GMBH / ALAMY STOCK PHOTO

rygodnym wyjaśnieniem jest edukacja badanych – chociaż wykorzystywanie wskazówek społecznych nie przychodzi im tak automatycznie jak osobom neurotypowym, to mogą się nauczyć korzystania z nich.

Spojrzenie w nowym świetle

Umiejętność śledzenia cudzego wzroku może mieć więc wiele zalet i torować drogę do rozwoju bardziej złożonych zdolności poznawczych. Czasem śledząc cudzy wzrok możemy domyślić się intencji tej osoby, choć wiemy też przecież, że nie każde spojrzenie niesie jakieś ważne informacje. Różnicami między tymi dwiema sytuacjami zainteresowali się niedawno Clara Colombatto z Uniwersytetu Yale i współpracownicy.

Wyobraźmy sobie taką krępującą sytuację, znaną z życia codziennego. Przyglądamy się komuś z uporem, mając nadzieję, że nasze zainteresowanie nie zostanie zdemaskowane, aż nagle zostajemy przyłapani. Nasze spojrzenia się przecinają, a my czym prędzej odwracamy wzrok. Jednak nie na coś konkretnego,

a tak po prostu – byle nie przedłużyć tego niezręcznego napięcia. Badacze wykorzystali podobną sytuację w swoim eksperymencie.

Na ekranie wyświetlano filmik prezentujący trzy postaci siedzące tyłem do obserwatora. Dwa warunki badania różniły się wersją prezentacji. W obu osobom badanym wydawano polecenie, by obejrzały filmik tak dokładnie jak to możliwe, gdyż nie zostanie on odtworzony ponownie.

W wersji z odwracaniem wzroku postać siedząca w środku kierowała wzrok na sąsiada z prawej, po czym obserwowana postać odwzajemniała spojrzenie, a środkowa natychmiast uciekała wzrokiem, kierując się w stronę trzeciej postaci, siedzącej po lewej stronie. Ta z kolei cały czas patrzyła przed siebie.

W warunku kontrolnym postać siedząca pośrodku zachowywała się w ten sam sposób, ale jej spojrzenie nie zostało „złapane”, więc odwrócenie wzroku w kierunku sąsiada z lewej mogło być postrzegane jako intencjonalne (a nie „uciekające”). Dopiero wtedy postać z prawej strony spoglądała na osobę siedzącą w środku.

Na linii wzroku prezentowano litery – podczas pierwszego spojrzenia pomiędzy postaciami w środku i z prawej, podczas drugiego – postacią środkową i tą z lewej. Po prezentacji badanym zadano pytania: czy widzieli literę i czy to była litera „T”, czy „L” (jeśli nie widzieli, i tak proszono ich o zgadnięcie).

Wyniki pokazały, że średni poziom rozpoznania liter był wyższy dla pierwszego spojrzenia, ale tylko w warunku eksperymentalnym. W warunku kontrolnym takie różnice nie wystąpiły. Nasuwa się więc interpretacja, że spojrzenia, które nie służą spoglądaniu na coś konkretnego, lecz stanowią tylko formę „ucieczki”, przyciągają naszą uwagę mniej niż spojrzenia wynikające z intencji przyjrzenia się czemuś konkretnemu.

Te wyniki stawiają zjawisko podążania za czymś wzrokiem w nowym świetle. Jak piszą sami autorzy, pokazują one wprost, że przynajmniej my, ludzie, podążamy nie tyle za czymś wzrokiem, co za kryjącym się za nim umysłem.

Rzecz jasna, sami nie zawsze chcemy na to pozwolić – pewnie dlatego jako jedyny gatunek na świecie wynaleźliśmy ciemne okulary.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

SNY O POTĘDZE W SADZAWCE

Zamiast pikiet protestacyjnych przeciwnicy instalacji Jerzego Kaliny sięgnęli po memy i śmiech. Ale „beka” równie skutecznie zakłóca myśl, jak skandowanie „tu jest Polska!”.

DARIUSZ KOSIŃSKI

SKRĘCAM W MASYWNĄ BRAMĘ I STAJĘ zdziwiony. Na zdjęciach, których pełno w internecie, wszystko wygląda o wiele bardziej imponująco. W naocznej rzeczywistości figura Jana Pawła II na tle monumentalnej architektury Muzeum Narodowego wydaje się nikła i mizerna.

Gdy podejść bliżej, okazuje się, że w basenie fontanny nie ma krwawej wody, tylko taka jak zawsze – brudnozielonkawa. Czerwień pochodzi z plastikowej płachty, którą wyłożono dno. Nie wiem, czy tak ją ułożono, czy to efekt działania wiatru i wody, ale płachta wybrzusza się, tworząc na powierzchni nieregularne

„kamyki”, kojarzące się z ogrodową sadzawką.

Stojący pośrodku basenu papież ma nienaturalnie zacięty i zarazem smutny wyraz twarzy. Jakby został siłą zmuszony do robienia czegoś, czego bardzo nie chce. Nawet jego ręce dźwigające głaz wydają się zniechęcone – mam wrażenie, że naj-

*Instalacja Maurizia Cattelana „Dziewiąta godzina”,
Galeria Zachęta, Warszawa, grudzień 2000 r.*



*Fragment instalacji Jerzego Kaliny
„Zatrute źródło”, dziedziniec Muzeum Narodowego
w Warszawie, 23 września 2020 r.*

chętniej opadłyby swobodnie i zostawiły ten absurdalny kamień, który chyba przenoszą przez czerwoną wodę. Wszystko, co napisano i co opłotło się dookoła tej kompozycji, wydaje mi się nagle mocno nieadekwatne. A przecież jest realne i to chyba bardziej niż ona sama. To, co widzę, to nie „Zatrute źródło” Jerzego Kaliny, ale zaledwie początek całego spłotu wydarzeń, któremu przynależy ta nazwa.

Zaczął się jeszcze przed oficjalnym odsłonięciem instalacji. Gdy tylko ją ustawiono, rozszalała się memoburza. Papież Kaliny stawał się Pudzianowskim, Supermanem, bohaterem *fantasy*. Dźwigał kremówkę. Rzucał kamieniem w uciekający tłum i w modlących się liderów PiS. Albo po prostu ogłaszał, że „nie chce ziemniaczka”. Obok memów pojawiały się liczne przewrotne interpretacje, na różne sposoby negujące sens i wartość instalacji.

Gdy w końcu doszło do jej uroczystego otwarcia, nawet oficjele, którzy go dokonali, wydawali się nieco zakłopotani. Skala i rodzaj reakcji chyba przerosły największe obawy. A i dla wyznawców dominującej narodowo-katolickiej narracji ten dziwny papież wcale nie jest tak łatwy do przyjęcia i akceptacji. Sztuka znów wymknęła się spod kontroli i pokazała język ornamentatorom. Ze sztuką trzeba uważać, nawet wtedy, gdy artysta wydaje się do szpiku lojalny.

Barometr

Jerzy Kalina od początku swojej kariery często i z niezłym skutkiem sięga po strategię i zabiegi neoawangardowe, ustawiając jednak ich wektor w stronę przeciwną do sztuki „krytycznej”. Ta z zasady wymierzona jest w utrwalone wzorce postępowania, tradycyjne modele życia indywidualnego i społecznego, w przyjęte hierarchie wartości.

Tymczasem Kalina reprezentuje postawę ortodoksyjnie konserwatywną, w ostatnich latach na dodatek demonstacyjnie zgodną z bieżącymi diagnozami PiS i hierarchii Kościoła. Wprowadza to dość zasadnicze zakłócenie w klarowną linię podziału, według

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM



→ której po jednej stronie mają być ideowi i artystyczni tradycjonaści, a po drugiej – ludzie reprezentujący otwartość na innowację i odmienność zarówno w sztuce, jak i w życiu. Niby wiadomo, że ten podział jest fałszywy, ale w praktyce ta wiedza niekoniecznie się ujawnia.

Widać to było także w medialnych komentarzach do „Zatrutego źródła”. W sposób typowy dla współczesnej kultury krótkiej pamięci pisano i mówiono o Jerzym Kalinie niemal wyłącznie jako o autorze pomnika smoleńskiego na placu Piłsudskiego oraz sztandarowym artyście PiS-owski. Jednocześnie wielu komentatorów sprawiało wrażenie, jakby w odniesieniu do instalacji przed Muzeum Narodowym nie warto było stosować tych samych narzędzi interpretacyjnych, które natychmiast są uruchamiane w przypadku dzieł „eksperymentalnych” i „krytycznych”.

Szczególnie niesprawiedliwe wydało mi się wyrwanie „Zatrutego źródła” z kontekstu twórczości Kaliny, dla której kluczowe znaczenie ma aspekt działania, czasowości i performatywności. To sam twórca oraz przedstawiciele Muzeum Narodowego musieli przypominać, że instalacja nie jest żadnym pomnikiem, że stanowi rodzaj interwencji w określonej przestrzeni, że czas oraz reakcje odbiorców to ważne aspekty jej funkcjonowania.

Jeśli mamy o „Zatrutym źródle” mówić uczciwie i rzetelnie, to we wszystkie aspekty trzeba wziąć pod uwagę, analizując nie tylko samo dzieło, ale cały wir wywołanych przez nie reakcji i kontrakcji, do których należy także jednoznacznie doraźna, a intelektualnie mało satysfakcjonująca autointerpretacja twórcy. Najnowsza praca Jerzego Kaliny (tak jak i wiele poprzednich) nie jest daną raz na zawsze strukturą, ale wydarzeniem, czy raczej ciągiem wydarzeń (jeszcze nieskończonym), których sens nie polega na tym, że artysta i jego polityczni i ideologiczni sponsorzy zaplanowali zainstalowanie jakiegoś zespołu znaczeń, lecz na tym, co ich interwencja wydobyła, ujawniła i ustanowiła.

Dokładnie tak mówił o swojej twórczości sam Kalina w wywiadzie dla „Więzi” w roku 1999: „Nawet gdy się zakłada autonomiczną wizję, nie można całkowicie odseparować się od tego, co dzieje się między ludźmi. Odczuwam konieczność wejścia w relację z drugim człowiekiem, moje akcje są zdeterminowane rzeczywi-

stym miejscem i czasem. Uważam, że performance, happening czy akcja nie mają sensu, jeśli nie odwołują się do aktualnej sytuacji i do bieżących zdarzeń. Zawsze byłem barometrem naszych duchowych czasów, na wiele wydarzeń reagowałem bezpośrednio, większość moich realizacji nawiązuje do kardynalnych spraw Polaków”.

Jak więc już się pośmiejemy z memów, zróbmy krok do tyłu i popatrzmy, co tym razem ten barometr pokazuje.

Po dziewiątej

Wśród typowych strategii sztuki współczesnej, które Kalina wykorzystuje, jest intertekstualność, czyli podejmowanie gry zapożyczeń, polemik i przesunięć odnoszących się do dzieła czy dorobku innego artysty. W przypadku „Zatrutego źródła” partner tej gry jest oczywisty i przywoływany wprost: to rzeźba-instalacja włoskiego twórcy Maurizioa Cattelana „La Nona Ora”, a także to, co się wokół niej w Polsce wydarzyło. Podkreślam: partnerem interakcji nie jest samo dzieło, ale jego ustanowiona wydarzeniowo wersja, rodzaj piętna wytworzonego w wyniku określonych interpretacji i działań. Ich sekwencję i sensy warto przypomnieć, bo to wobec nich pozycjonuje się wydarzenie zainstalowane przed Muzeum Narodowym w Warszawie.

Centralnym elementem pracy Cattelana, pokazanej po raz pierwszy w 1999 r., jest naturalnej wielkości, hiperrealistyczna figura papieża Jana Pawła II powalonego na ziemię i przygniecione przez meteoryt. Oryginalnie umieszczona pod szklanym sufitem i w otoczeniu fragmentów rozbitego szkła, sugerowała, że papież został przewrócony i przygnieciony przez kamień, który spadł z nieba.

Z kolei tytułowa „Dziewiąta godzina” nawiązywała oczywiście do Pasji i do najciemniejszego jej momentu – pory cierpienia i wątplenia, gdy umierający Chrystus zawołał: „Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił”. Te wzajemnie nacierające na siebie odwołania i tropy powodowały, że instalacja była i jest interpretowana na bardzo różne sposoby. Są tacy, którzy twierdzą, że to praca ukazująca upadek Kościoła, niepotrafiącego sobie poradzić z wyzwaniem współczesności. Inni, w tym sam twórca, sugerowali raczej, że jest to wyraz współczucia dla po ludzku słabego papieża, który mimo wszystko pozostaje wierny swojej misji (za taką in-



terpretacją miała przemawiać siła, z jaką mimo upadku papież trzyma w rękach krzyż).

Włoski krytyk sztuki i kurator Massimiliano Gioni, dawny współpracownik Cattelana, zwracał w tym kontekście uwagę, że „w chrześcijaństwie i w katolicyzmie nie ma niczego bardziej świętego niż cierpienie i niczego cenniejszego niż ukazanie ludzkiego wymiaru tego, co święte, a »La Nona Ora« z pewnością to czyni. (...) Dla wielu komentatorów, także spośród duchowieństwa, dzieło to stanowi przypomnienie człowieczeństwa i kruchości, od których nie jest wolny nawet najwyższy autorytet religijny, a patrząc szerzej – także przypomnienie człowieczeństwa Boga” (za portalem artsy.net).

W Polsce jednak debatę wokół „Dziewiątej godziny” zdominowała zupełnie inna interpretacja. Wystawiona w 2000 r. w Narodowej Galerii Sztuki Zachęta praca Cattelana wzbudziła gwałtowny protest środowisk i działaczy prawicowych, którzy uznali ją za profanację postaci Jana Pawła II. W ramach głośnej interwencji dwoje ówczesnych posłów Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodo-



JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS

Jerzy Kalina, Warszawa, 24 września 2020 r.

Praca Kaliny ujawnia proces, który toczy się w Polsce od lat i który polega na radykalnym **odrzuceniu wartości ofiary, cierpienia i uniżenia,** podstawy chrześcijaństwa.

wego, Halina Nowina Konopka i Witold Tomczak, dokonało swoistej rekonstrukcji rzeźby: podnieśli kamień przygniatający papieża i usiłowali postawić jego figurę.

Co ciekawe, sam Cattelan zareagował na tę interwencję w zgodzie z przekonaniem o wydarzeniowym charakterem sztuki współczesnej, interpretując ją jako „odwrócony cud” – ocalenie papieża, które nie przyszło z nieba, ale z ziemi, ze strony ludzi.

Słowo i kamień

Nie wiem, czy Maurizio Cattelan widział lub zobaczy polemizującą z jego instalacją propozycję Jerzego Kaliny. Zapewne

jednak zdziwiłby się słysząc, że dla jej twórcy zasadnicze znaczenie ma sprzeciw wobec ukazania kruchości i śmiertelności papieża.

Według relacji portalu Onet.pl Kalina, przynajmniej włoskiemu koledze prawo do własnej wizji, dodał, że jako człowiek wierzący nie zgadza się, „żeby w moim kraju, gdzie poczęła się idea nowej Polski, po odzyskaniu niepodległości, uśmiercano naszego głównego pasterza. Zbyt wiele trudu i ofiar poświęciliśmy dla odzyskania godności i wolności, by obojętnie przyglądać się postępującej destabilizacji życia społecznego i destrukcji naszego kraju”, czego przejawem mają być „barbarzyńskie” zdaniem artysty akcje działaczy LGBT+ wieszających tęczowe flagi na warszawskich pomnikach, na czele z pomnikiem Chrystusa przed kościołem św. Krzyża.

W istocie więc Kalina nie polemizuje z Cattelanem, lecz raczej używa jego instalacji jako narzędzia polemiki z jasno zdefiniowanym przeciwnikiem ideologicznym. Jednocześnie kontynuuje niejako i przenosi w pole sztuki niezrealizowany do końca akt performatywny naszych posłów i „ocala” Jana Pawła II przed

śmiercią i upadkiem. Idzie nawet dalej: nie tylko uwalnia papieża od brzemienia meteorytu, ale ukazuje go jako tego, kto sam się najwyraźniej spod niego wyzwolił (albo w ogóle nigdy pod nim nie upadł) i teraz trzyma go na wyciągniętych ramionach.

W stulecie urodzin Karola Wojtyły wierny polskiemu Kościołowi artysta ustawił przed Muzeum Narodowym figurę negującą to, co w życiu Jana Pawła II było najbardziej ludzkie – jego śmiertelność. Podniósł go z martwych, by przemienić postać człowieka, kiedyś niosącego słowo i ofiarującego chleb, w figurę siłacza niosącego kamień.

To właśnie w sieci, która już się opłótła wokół „Zatrutego źródła”, wydaje mi się najważniejsze: wyobrażenie niepodlegającego śmierci mocarza i władcy jako fantazmat, który wyparł, przejął i przesłonił w oficjalnym kościelno-państwowym dyskursie i takież ikonografii obraz papieża-człowieka, dominujący w okółopapieskim imaginariuszu za życia Jana Pawła II. Oczywiście i wówczas pojawiały się wizerunki heroiczne i figury prorockie, a wielu ludzi, nie tylko związanych z Kościołem, zżymało się na nadmierną skłonność do papieskich anegdot i kremówek. Ale także przy udziale i za sprawą Jana Pawła II w przestrzeni społecznej przeważał jego obraz jako kogoś bliskiego: naszego brata i ojca, który choć przecież uznawany i nazywany „świętym”, był i pokazywał się jako jeden z nas, dzielący nasze doświadczenia, także te bardzo ludzkie, codzienne.

Pod koniec życia to kruche człowieczeństwo papieża z jego własnej woli nie było usuwane z pola widoczności, ale wręcz wystawiane, jako szczególna wartość, stając się wielką i mądrą prowokacją, skandalem w oczach świata.

Dziś z tego wielkiego papieskiego przedstawienia nie pozostało niemal nic. Kilkanaście lat temu na narzekania, że polscy katolicy nie znają, więc i nie słuchają nauczania „swojego” papieża, można było odpowiadać (i ja tak czyniłem), że nadal oddziałuje dzieło jego życia – ucieleśniony i spełniony performans przemiany spadkobiercy i aktora romantycznych scenariuszy, który stał się papieżem, a potem świętym, nie gubiąc swojego człowieczeństwa i nie skrywając swojego cierpienia, ale ofiarując je, także jako przedstawienie i dramat. Dziś nawet mniej wydaje się to niemożliwe.



→ I właśnie to, że ten papieski performans został przez polski Kościół i wspierających go polityków zanegowany i zarzucony, pokazuje „Zatrute źródło”. Jeśli praca Kaliny rzeczywiście jest barometrem, to sygnalizuje i ujawnia proces, który toczy się w Polsce od lat i który polega na radykalnym odrzuceniu wartości ofiary, cierpienia i uniżenia, a więc tego, co wydawałoby się podstawą chrześcijaństwa.

Znaki tego procesu spotkać można na każdym kroku, przede wszystkim w natrętnie wręcz powracającej retoryce wojennej i przejawach władającej oficjalną narracją polskiego Kościoła wyobraźni militarnej. Ten Kościół jest na wojnie, w jego „szeregi” wstępują coraz to nowi „rycerze” (także oficjalnie noszący takie miano), gotujący się do rozprawy z siłami wrogich „ideologii”.

Nie jest to przy tym już żadna „obleżona twierdza”, która jedynie broni się przed atakami. To oddziały gotowe same rozpocząć „święty bój” w przekonaniu, że Polacy są narodem wybranym już nie do obrony chrześcijaństwa, ale do rozpoczęcia zwycięskiego kontrnatarcia, rekonkwisty Europy.

Wielkość Polski – to mit współtworzony zgodnie przez Kościół i obecne państwo – nie opiera się na gospodarce, kulturze, etyce. Ma charakter militarny i bojowy, a wiąże się wprost z wiernością kontreformacyjnej jeszcze ideologii katolickiego rycerstwa. Przez wieki przynosiła ona ofiary i wyrzeczenia, ale teraz nadszedł czas potęgi. Wielka Polska Ka-

tolicka jest gotowa odzyskać Europę i zaprowadzić w niej rządy Chrystusa Króla. Nie tego chudego i fraszobliwego, który zwykł siadać – wciąż możemy go tam spotkać – przy rodzimych miedzach, ale tego zawsze zwycięskiego dowódcy, mojarza i władcy.

Nie zgadzam się więc z tymi, którzy twierdzą, że instalacja Kaliny to kicz rozumiany jako produkt pozbawiony znaczenia i wyrazu, przymilnie banalny i letni. „Zatrute źródło” powinno być potraktowane poważnie, bo jest artystyczną realizacją pragnieniowej fantazji wychwyconej z energii społecznych. Jerzy Kalina jako prawdziwy artysta pozostaje wierny swojemu *credo*, nawet jeśli jako partyjny propagandzista mówi coś zupełnie innego.

I właśnie jako artyście jestem mu wdzięczny, że tak jednoznacznie wydobyl tę pokusę mocy, która w sposób oczywisty, ale rozproszony, jest w polskim Kościele obecna. Choć sama instalacja rozczarowuje, to jako interwencję uważam ją za skuteczną i fortuną, właśnie dlatego, że wywołuje intensywną dyskusję, ujawnia i skupia uwagę na czymś, co może wolałoby pozostać ukryte. Stojąc przy „Zatrutym źródle” mogę sobie jaśniej uświadomić, co sprawa, że z tym „papieżem” nie chcę mieć nic wspólnego.

Odwracam się od kamienia, plastkowej czerwieni i figury, od gmachu Muzeum. Przekraczam masywną bramę i wchodzę między ludzi.

© DARIUSZ KOZIŃSKA

Podróż w krainę ułudy

DOROTA KOZIŃSKA

W Operze Margrabiów wszystko jest teatrem: nawet gdy z widowni wieje pustką i nie ma nikogo na scenie.

TO MIAŁO BYĆ PIĘKNE MAŁŻEŃSTWO. Elżbieta Fryderyka Zofia, córka Fryderyka, margrabiego Bayreuth, oraz księżniczki pruskiej Wilhelminy, starszej siostry Fryderyka Wielkiego, oślśniła samego Casanovę, który uznał ją za jedną z najurodzawszych niemieckich arystokratek na wydaniu. Jej wdzięki docenił także Karol Eugeniusz, książę Wirtembergii – dwunastoletnia panna wpadła mu w oko w 1744 r., podczas wizyty na dworze w Bayreuth.

W kolejce do ręki margrabiarki stali już inni konkurenci, m.in. król Danii: rodzice Elżbiety wybrali jednak Karola, protegowanego jej wuja Fryderyka. Ślub młodej pary, 26 września 1748 r., przeszedł do historii jako najwystawniejsza uroczystość w dziejach marchii Brandenburg-Kulmbach.

Cisza za przetrwanie

Nowożeńcy dostali w prezencie m.in. świeżo wzniesioną operę – wzorowaną na włoskich teatrach łożowych, zaprojektowaną i pieczołowicie wykończoną przez czołowych artystów i rzemieślników epoki.

Główną pomysłodawczynią tego niecodziennego daru była margrabina Wilhelmina: kobieta wielu talentów, także muzycznych. Gry na lutni uczyła się u samego Sylwiusa Leopolda Weissa. To ona roztoczyła później patronat nad twórczością Bernharda Joachima Hageny, ostatniego z wielkich lutnistów niemieckich. Była też całkiem uzdolnioną kompozytorką.

W trzecią rocznicę śmierci

Ś.†P.

Księdza Prałata Mieczysława Turka

wieloletniego katechety i duszpasterza kościoła św. Floriana i kolegiaty św. Anny, nauczyciela akademickiego Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie zostaną odprawione w kolegiacie św. Anny w Krakowie Msze św. za spokój Jego duszy i w podziękowaniu za wszelkie dobro, które od Niego otrzymywaliśmy

w sobotę 17 X 2020 r. o godz. 19.30 i w niedzielę 18 X 2020 r. o godz. 10.00

DUSZPASTERZE KOLEGIATY ŚW. ANNY, RODZINA I PRZYJACIELE



DANIEL KARMANN / DPA / AFP / EAST NEWS

Odnowiona sala Opery Margrabiów w Bayreuth, kwiecień 2018 r.

Część jej utworów przetrwała do dziś i wciąż wzbudza żywe zainteresowanie muzyków: m.in. Koncert klawiszowy g-moll, w którym partię fletu *obbligato* z upodobaniem realizowali jej mąż albo brat Fryderyk, adepci wielkiego flecisty Johanna Joachima Quantza, oraz napisana w 1740 r. na mężowskie urodziny opera „Argenore”.

Niewykluczone, że margrabina postawiła teatr w Bayreuth nie tyle z myślą o ukochanej jedynaczce i jej świeżo poślubionym mężu, zapalonym miłośniku sztuk, ile z zamiarem wystawiania w niej własnych dzieł scenicznych. Trupę złożoną z najprzedniejszych instrumentalistów i śpiewaków skompletowała przecież na długo przed weselem córki, już w 1737 r.

Wilhelmina znalazła się na rzeczy. Projekt wnętrza opery powierzyła Giuseppemu Gallemu Bibienie, najwybitniejszemu przedstawicielowi włoskiej rodziny malarzy i architektów teatralnych, nadwornemu artyście Sasów w Dreźnie. Jego syn Carlo pozostał na dworze w Bayreuth aż do śmierci margrabiny, tworząc scenografie do kolejnych przedstawień w operze – z niezwykle, podświetlanych od wewnątrz drewnianych struktur, które ówczesnym widzom zapierały dech w piersiach potęgą scenicznej iluzji. Budowę

rokokowej fasady z szarego piaskowca – według zamysłu Josepha Saint-Pierre’a, nadwornego architekta margrabiów – ukończono dwa lata po inauguracji gmachu.

Przedstawienia szły pełną parą przez dziesięć lat. Wilhelmina dostarczała muzykom świeże partytury, ustawiała artystów na scenie, niejednokrotnie sama występowała w inscenizacjach swych oper i Singspieli.

Piękny sen margrabiny skończył się wraz z jej śmiercią w 1758 r. Piękne małżeństwo margrabianki już wcześniej okazało się katastrofą. Elżbieta – zdradzana i odsuwana przez męża od spraw państwowych – niedługo po zgonie Wilhelminy powiła swoje jedyne dziecko: niechcianą i niekochaną przez Karola córeczkę, która przeżyła zaledwie rok.

W Operze Margrabiów zapanowała głucha cisza. Jak na ironię, zapewne dlatego teatr przetrwał stulecia w prawie nienaruszonym stanie – jeśli nie liczyć kradzieży kurtyny przez żołnierzy armii napoleońskiej, którzy przemaszerowali przez Bayreuth w 1812 r., w drodze na Rosję. 60 lat później przepastna, głęboka na prawie 30 metrów scena barokowa dostarczyła inspiracji Ryszardowi Wagnerowi, który pracował nad projektem własnego Festspielhausu ze słynnym

podwójnym proscenium i „mistyczną otchłanią” krytego kanału orkiestrowego.

Coś żywego

Wnętrze teatru przy Opernstrasse, perłę w koronie Hohenzollernów, zobaczyłam po raz pierwszy w ubiegłym roku – wkrótce po ukończeniu gruntownej renowacji gmachu, która zajęła konserwatorom blisko sześć lat i pochłonęła prawie 30 milionów euro. Nic dziwnego: elementy wystroju odnawiano centymetr po centymetrze, z troską o każdy detal wykwintnej stolarki, o każdy błysk światła zaklęty w złoceniach, o złudną perspektywę roztańczonych malowideł iluzjonistycznych.

W Operze Margrabiów wszystko jest teatrem: nawet gdy z widowni wieje pustką i nie ma nikogo na scenie. Magia tego miejsca zaczęła przyciągać artystów już w końcu ubiegłego stulecia. W połowie lat 90. nakręcono tu kilka pamiętnych scen „Farinello” – filmowej biografii słynnego włoskiego kastrata, w reżyserii Gérarda Corbiau. Mniej więcej w tym samym czasie w Markgräflisches Opernhaus rozgościł się Festiwal Wielkanocny – z programem od Bacha po Mahlera, organizowany przy współudziale Internationale Junge Orchesterakademie i nastawiony przede wszystkim



ANDREAS HARBACH

„Gismondo” w Operze Margrabiów w Bayreuth, 11 września 2020 r.

→ na promocję młodych ambitnych muzyków.

Czegoś jednak wciąż brakowało: muzyki i dramatu tworzonych w epoce Wilhelminy Pruskiej, opery barokowej z całym arsenałem jej magii i ułudy, które w żadnym teatrze nie przemówią do widza z taką siłą, jak w scenerii wyczarowanej kunsztem wielkich Bibienów.

W styczniu gruchnęła wieść, na którą czekali nie tylko melomani, ale też „zwykli” mieszkańcy Bayreuth – niewielkiego miasta, które rok w rok po zakończeniu Festiwalu Wagnerowskiego zapadało w jesienne odrętwienie. Na pierwszą połowę września zapowiadziano nowy festiwal Bayreuth Baroque, pod kierownictwem artystycznym chorwackiego kontratenora Maksa Emanuela Cenčicia. W programie – oprócz koncertów i recitali z udziałem gwiazd wykonawstwa historycznego – znalazła się także pełnospektaklowa inscenizacja „Carlo il Calvo” Nicoli Antonia Porpory, w reżyserii samego Cenčicia, śpiewającego też partię Lottaria; oraz wykonanie estradowe *dramma per musica* Leonarda Vinciego „Gismondo, Rè di Polonia”, z udziałem so-

listów oraz {oh!} Orkiestry Historycznej pod dyktando Martyny Pastuszki.

Takiego obrotu spraw nie spodziewali się nawet najzgorzalsi sympatycy młodego zespołu ze Śląska. Od ich pierwszego koncertu minęło osiem lat – poświęconych nie tylko na żmudne opracowywanie materiałów źródłowych oraz rozwój artystyczny ansamblu i każdego muzyka z osobna – ale też na starania o przełom w organizacji i modelu finansowania niszowych przedsięwzięć kulturalnych.

Na włosku

Orkiestra Pastuszki mimo wszystko miała szczęście. W 2015 r. udało jej się nawiązać stałą współpracę z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach, jedną z prężniejszych instytucji muzycznych w Polsce. Trzy lata później zadebiutowała na warszawskim Festiwalu „Chopin i jego Europa”: od tamtej pory, dzięki wsparciu NIFC, systematycznie poszerza swój repertuar o pozycje z literatury romantycznej. Trafiła na kilku mężów opatrnościowych, m.in. Łukasza Strusińskiego z zespołu ekspertów Instytutu Adama Mickiewicza, który od początku towarzyszył muzykom w zagranicznej promocji najambitniejszego z ich dotychczasowych przedsięwzięć – próbie przywrócenia do życia zapomnianej opery Vinciego, jednego z czołowych przedstawicieli szkoły neapolitańskiej, rywała Porpory i nauczyciela Pergolesiego.

Próbie więcej niż udanej, o czym świadczy nie tylko triumfalny pochód

„Gismonda” przez sale koncertowe Europy, ale też obsypane nagrodami i znakomicie przyjęte przez krytykę nagranie dla wytwórni Parnassus Arts. Za tym pasmem sukcesów stoi też oczywiście sam Cenčić – pierwszy współczesny odtwórca roli Zygmunta II Augusta, a zarazem współproducent całego projektu, do którego dołożyła się istna armia organizatorów i sponsorów, na czele ze wspomnianym już Instytutem Mickiewicza oraz spółką Orlen Deutschland GmbH.

Czasy się zmieniają. Miejsce florenckich Medyceuszów i Rady Dożów Wenecji zajmują dziś kapitałowe spółki handlowe, które nie zawsze łatwo przekonać do wpompowania funduszy w przedsięwzięcie niszowej orkiestry z nieznanym szerzej kompozytorem w tle. Tym większa radość, że wszyscy ci dobroczyńcy nie podali tyłów, kiedy nie tylko nad „Gismondem”, ale i całym festiwalem zawisło widmo pandemii.

Sytuacja epidemiczna w Bawarii od miesięcy nie napawała optymizmem. Kiedy ofiarą wirusa padł festiwal Bayreuther Festspiele, a z nim szumnie zapowiadana nowa inscenizacja „Pierścienia Nibelunga”, świat muzyczny wstrzymał oddech. Zdeterminowani inicjatorzy Bayreuth Baroque tym mocniej zwarli szyki. Podjęli desperacką próbę zorganizowania imprezy w obowiązującym reżimie sanitarnym – i to bez żadnych cięć programowych.

Decyzje ważyły się niemal do ostatniej chwili: wraz z postanowieniem, by wszystkie wydarzenia festiwalowe udostępnić także w sieci. Jakimś cudem się udało. Kto podrzywał z „kompletu” publiczności na straszącej pustymi miejscami widowni, temu mina zrzędała na wieść, że pierwsze święto opery barokowej w Markgräfliches Opernhaus ściągnęło przed ekrany aż 360 tys. odbiorców internetowych transmisji.

Blisko łoży

Miałam więcej szczęścia niż oni. Nie dość, że udało mi się wysłuchać „Gismonda” na żywo, to jeszcze posadzono mnie na balkonie w bezpośrednim sąsiedztwie paradnej łoży książęcej. Fama głosi, że margrabiostwo rzadko z niej korzystało, woląc delektować się magią teatru z pierwszego rzędu parteru, tuż przy proscenium – maestrę założenia architektonicznego Bibienich lepiej jednak podziwiać z góry, zapuszczając wzrok w pozornie nieskończoną głę-



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

bie barokowej sceny. Dźwięk za to odbija się miękko i czysto od drewnianych elementów wystroju i dociera bez trudu w każdy zakamarek widowni.

I to wystarczy, by docenić choćby i koncertowe wykonanie „Gismonda”: jak zwykle w przypadku {oh!} Orkiestry ujmujące krągłością brzmienia i świetnym porozumieniem między muzykami. Skomplikowana i – jak to w operze neapolitańskiej bywa – odległa nie tylko od prawdy historycznej, ale i wszelkiego prawdopodobieństwa opowieść o honorze i miłości (z unią polsko-litewską w tle) toczyła się gładko i wartko: także za sprawą solistów, w większości dobrze już oswojonych z partyturą Vinciego.

W większości, bo nie obyło się bez niespodzianek – baszkirska sopranistka Dilyara Idrisova nie dotarła na miejsce z przyczyn logistycznych i w partii Judyty zastąpiła ją niezła skądinąd Hasnaa Bennani. W reszcie żeńskiej obsady jaśniała jak klejnot Sophie Junker, aksamitnogłosa Kungunda ze świetnym wyczuciem dramaturgii i prozodii muzycznej. Nie przepadam za kontratenorem Cenčicia, muszę jednak przyznać, że umiejętnie zbudował postać roztropnego i dobrotliwego Zygmunta. Yuriy Mynenko w roli Ottona nadrobił drobne braki techniczne nieziemsko piękną barwą lirycznego męskiego sopranu.

Świeża, pełna nieszablonowych rozwiązań, a przy tym z werwą i wdziękiem wykonana opera Vinciego wzięła słuchaczy szturmem. Muzycy, nagrodzeni owacją na stojąco, odwdzięczyli się bisem z fragmentem finału. Na kolejnym koncercie dwa dni później było ponoć jeszcze goręcej – co warto odnotować, bo goście z Polski rozjechali się już do domów. Część krytyki niemieckiej okrzyknęła „Gismonda” największym odkryciem festiwalu.

Pożałowałam, że nie dotarłam na całość Bayreuth Baroque. Chciałabym podzielać optymizm organizatorów, którzy już snują plany na przyszły sezon, ufni, że natura sama upora się z zarazą, a jeśli nie – pokonamy wirusa szczepionką. Oby ich nadzieje nie okazały się płonne. Małżeństwo Opery Margrabiów z muzyką barokową z pewnością jest piękne. Niech okaże się również szczęśliwe i trwałe.

© DOROTA KOZIŃSKA

wylicytuj portret Conrada

Z każdym numerem „Tygodnika Powszechnego” coraz bardziej odkrywamy Conrada – a przynajmniej jego portret, wykonany przez Albina Talika techniką kolażu-wyklejanki z archiwalnych numerów magazynu „Conrad” i okładek „Tygodnika Powszechnego”.

Portret ten – nawiązując do hasła przewodniego tegorocznej edycji największego festiwalu literackiego w Polsce – kryje w sobie liczne „widzialne i niewidzialne” odniesienia do dzieł Josepha Conrada.

Licytacja portretu rozpocznie się 15 października o godz. 21.00, zakończy dziesięć dni później – 25 października podczas Gali Nagrody Conrada. Wylicytowaną kwotę przeznaczymy na rozwój Festiwalu Conrada, którego pomysłodawcą, a także współorganizatorem wspólnie z Miastem Kraków i KBF jest „Tygodnik Powszechny”.

Licytować będzie można pod adresem allegro.pl/zobacz/conradfestival

Już w następnym numerze „Tygodnika Powszechnego” zaprezentujemy portret Josepha Conrada w całej okazałości.

CONRAD FESTIVAL



Mario Vargas Llosa podczas prezentacji książki „*Tiempos recios*” („Burzliwe czasy”), Teatr Narodowy Gwatemali, Gwatemala, 3 grudnia 2019 r.

Przebudzenie noblisty

TOMASZ PINDEL

Mario Vargas Llosa opowiada o skuteczności politycznej propagandy, a przy okazji snuje refleksję nad kulisami zimnowojennych zmagani. Dla polskich czytelników zupełnie nieoczywistą.

PRZED DEKADAMI MARIO VARGAS LLOSA powtarzał, że każda strona z jego książek została napisana dziesięć razy, i to było widać w gęstości i dopracowaniu tej prozy. Wydając swoją drugą po-

wieść, „Zielony dom” (1966), pisarz kategorycznie zaprotestował, kiedy redakcja barcelońskiego wydawnictwa chciała usunąć liczne peruwianizmy i dopasować jego styl do hiszpańskich uzusów.

Jednak od lat jego frazy sprawiały wrażenie pisanych ze zbytnią łatwością. Pisarz wyznaje w wywiadach, że chętnie sięga teraz do słownika panamerykańskiej hiszpańszczyzny, żeby unikać słów i wyrażeń niezrozumiałych dla czytelników z innych krajów.

Jego ostatnie powieści nie porywały: może i sprzedaż utrzymywała się na niezłym poziomie, ale już ton recenzji daleki był od niegdyśszych peanów. Dlatego „Burzliwe czasy”, które ukazały się w oryginale w zeszłym roku i właśnie trafiają do polskiego czytelnika w przekładzie Marzeny Chrobak, są taką niespodzianką. To wciąż nie jest rzecz na poziomie dawnych arcydzieł, „Miasta i psów” (1963) albo „Rozmowy w »Katedrze«” (1968), i można jej postawić kilka zarzutów, ale nareszcie jest to powieść bardzo udana. Opowiada ciekawą historię i stawia tezy wykraczające śmiało poza opisywane w niej czasy i miejsce.

Rewolucja gwatemalska

Vargas Llosa opowiada o wydarzeniach w Gwatemali na przełomie lat 40. i 50. minionego wieku – o tzw. rewolucji gwatemalskiej. W wielkim skrócie: w 1944 r. w wyniku społecznej rewolty i strajku obalono dyktaturę generała Jorgego Ubico y Castañedy, który despotycznie rządził krajem od 1931 r. Wprawdzie Ubico przekazał władzę również niedemokratycznej juncie, ale w wyniku kolejnych protestów junta upadła i w grudniu odbyły się wybory prezydenckie, co do których historycy są zgodni, że były uczciwe. Wygrał je Juan José Arévalo Bermejo, wojskowy, a jego rządy miały jednoznacznie demokratyczny charakter.

Wdrożono szereg reform normalizujących życie społeczne i polityczne, podjęto też działania na rzecz niwelowania gigantycznych nierówności społecznych. W listopadzie 1950 r. odbyły się kolejne wybory, których zwycięzcą został Jacobo Árbenz Guzmán. Kontynuował linię poprzednika, angażując się przede wszystkim w wielką reformę rolną. W myśl ustawy część ziem latyfundystów – ale tylko nieużytki i za stosowną rekompensatą – została przekazana w ręce bezrolnych chłopów.

Najpoważniejszym przeciwnikiem politycznym gwatemalskiej rewolucji była potężna korporacja United Fruit Company (zwana La Frutera, jej spadko-

bierczynią jest dziś znana dobrze w Polsce firma Chiquita), która od początku XX wieku prowadziła swoje interesy – czyli plantacje bananów – w całej Ameryce Środkowej. UFC, dzięki potężnemu kapitałowi, wsparciu rządu amerykańskiego i współpracy z dyktatorskimi władzami w regionie, uzyskała pozycję monopolistycznego giganta. Jej ogromne tereny pozostawały poza zasięgiem miejscowych administracji, ewentualne protesty pracownicze tłumiono często przy użyciu wojska, a firma cieszyła się najprzeróżniejszymi przywilejami, np., bagatelka, nie płaciła żadnych podatków. Uregulowanie relacji z La Fruterą było jednym z głównych celów obu gwatemalskich prezydentów i koniecznym warunkiem dla rozwoju kraju.

Amerykańska korporacja nie zamierzała oczywiście rezygnować z przywilejów i przy wsparciu amerykańskich władz podjęła propagandową kampanię przeciwko Gwatemali – oskarżając Arévala i Árbenza o komunizm i straszając sowiecką ingerencją – oraz prowadziła polityczne intrygi, których efektem był zamach stanu przeprowadzony przez generała Carlosa Castilla Armasa w 1954 r. Jego rządy oznaczały kres rewolucji: reformy cofnięto, UFC odzyskała swoją pozycję, ze współpracownikami poprzednich władz i wszelkimi sympatykami lewicy krwawo się rozprawiono. Castillo Armas zginął trzy lata później w zamachu, a Gwatemala osunęła się w trwającą ponad trzy dekady wojnę domową. Liczbę jej ofiar szacuje się na 100-200 tysięcy.

Biznes i władza

Te właśnie lata i postaci bierze na warsztat Vargas Llosa. „Burzliwe czasy” kojarzą się mocno z jego „Świętem kozła” (2000) – tam dostaliśmy opowieść o trwaniu i upadku dominikańskiej dyktatury generała Trujilla (zresztą w najnowszej książce sam generał i kilku innych bohaterów powracają). W obu przypadkach mamy do czynienia z powieścią głęboko historyczną, twardo osadzoną w faktograficznym gruncie, choć autor czasami korzysta z pisarskiego prawa do zmyślenia.

W prologu Vargas Llosa wprowadza czytelnika w sprawy związane z działalnością United Fruit Company – przy czym nie jest to wykład historyczny, tylko upowieściowana nieco relacja ze spotkania Sama Zemurray’a i Edwarda

L. Bernaysa. Ten pierwszy był potężnym biznesmenem i szefem UFC, drugi zaś został jego prawą ręką od *public relations* i uważany bywa za pioniera, a nawet ojca PR-u. Obaj panowie, by skutecznie sprzedawać banany, zdemolowali Gwatemalę i, jak sugeruje Vargas Llosa, wpłynęli na losy całego świata, a w każdym razie obu Ameryk.

„Burzliwe czasy” mają znacznie szersze cele niż tylko dynamiczne zreferowanie tych dramatycznych zdarzeń. Vargas Llosa stawia kilka śmiałych tez, na które historycy nie mogą sobie pozwolić, ale nade wszystko w jednoznaczny sposób ocenia gwatemalską rewolucję i amerykańskie knowania przeciw niej. Pisarz nie pozostawia złudzeń: rządy Arévala i Árbenza nie miały w sobie za grosz komunizmu, sowieckie wpływy czy stopniowa droga do socjalizmu to wszystko wymysły propagandy.

W symbolicznej rozmowie prezydent Árbenz stara się wyjaśnić amerykańskiemu ambasadorowi Puerifoyowi, że reforma rolna ma na celu uczynienie z Gwatemalczyków narodu posiadaczy, a więc to *stricte* kapitalistyczny koncept; za przekazane ziemie zapłacono rekompensaty wedle wartości deklarowanej przez ich właścicieli; wszystko to, co próbuje się wprowadzić w Gwatemali, w USA istnieje i uznawane jest za oczywiste, to najbardziej podstawowe prawa; czyż taka korporacja jak UFC mogłaby nie płacić w Stanach podatków? Ale ambasador jest niewzruszony, nie słucha. Przyjechał tu w konkretnym celu i celów osiągnie.

Vargas Llosa traktuje gwatemalski epizod jako przykład politycznego cynizmu, fatalnego sojuszu biznesu i władzy, oraz stosowania innych standardów wobec „pierwszego” i „trzeciego” świata. W Europie i USA mamy prawa i demokrację, ale Latynosom wystarczy dyktatura, zwłaszcza gdy się nam opłaca. To stała myśl w pismach Vargasa Llosy. Gorzkim jej wyrazem jest motto z Winstona Churchilla, który miał powiedzieć: „O tej cholerniej Gwatemali usłyszałem dopiero, gdy miałem siedemdziesiąt dziewięć lat”. W oryginale Churchill użył sformułowania „*bloody place Guatemala*”: jakże prozoczno, zważywszy na rozlew krwi z czasów wojny domowej.

Takie spojrzenie na okres zimnej wojny pozostaje w Polsce wciąż nieoczywiste. Zwłaszcza że znamy przeciw-

stawną relację z wypadków w Gwatemali.

Plasterek po plasterku

Andrzej Bobkowski, autor kultowych „Szkiców piórkim”, mieszkał w Gwatemali przez większą część rewolucyjnych wydarzeń, a także w okresie puczu i w czasie rządów Castilla Armasa. Śledził te wydarzenia i pisał o nich, przede wszystkim w szkicu „Zachód znów wyzwala” – opublikowanym w paryskiej „Kulturze” w 1955 r., w odpowiedzi na artykuł Stanisława Zakrzewskiego – oraz w „Z notatek modelarza”, na tych samych łamach, parę miesięcy później.

Oj, nie dogadaliby się panowie Vargas Llosa i Bobkowski. Polak bowiem nie ma cienia wątpliwości, że gwatemalskie reformy oznaczały stopniowe wprowadzanie socjalizmu, a może nawet komunizmu, i że Gwatemala stawała się sowieckim przyczółkiem. Jego zdaniem Moskwa szczyła indiańskich chłopów na białą klasę ziemiańską, ubóstwo Indian wcale nie bierze się z nierówności, tylko z ich „konserwatyzmu i lenistwa”, a przecież komunistom nie chodzi o wolność, bo oni „śnią o kajdanach zwanych opieką”.

Pod rządami Árbenza – pisze – żyło się w ciągłym osaczeniu: „Taktyka, którą komuniści zastosowali tutaj, była bez zarzutu. Metoda krojenia salami. Dzień po dniu, plasterek po plasterku. I dzień po dniu czułem, jak coś ciężkiego zgniata mi coraz bardziej oddech...”. United Fruit Company? Árbenzowi wcale nie chodziło o dobro narodu, to po prostu objaw jego antyamerykańskości! W oczach Bobkowskiego firma ta jawi się jako spełnienie kapitalistycznego snu: jest praca, dobra płaca, opieka lekarska, istna sielanka, będąca „solą w oku komunistów”. Pucz Castilla Armasa to wyzwolenie i obrona cywilizacji.

Oczywiście w ówczesnej Polsce pisano o Gwatemali zupełnie inaczej, w tonie oburzenia na amerykański imperializm, zgodnie z zimnowojenną logiką; w tym samym tonie utrzymana jest podróżnicza relacja pióra czeskiego podróżnika Norberta Frýda „Uśmiechnięta Gwatemala”, wydana po polsku pod koniec lat 50. I właśnie zestawienie tych dwóch perspektyw unaocznia nasz problem w dyskusjach na temat zimnej wojny.

Skoro PRL-owska propaganda trąbiła o amerykańskim interwencjonizmie →

→ i imperializmie – a przecież była to propaganda kłamliwa – to znaczy, że żadnego interwencjonizmu i imperializmu nie było. Skoro Amerykanie mówią, że trzeba było ratować Gwatemalę przed komunizmem – a przecież to Amerykanie okazali się mieć rację – to znaczy, że komunizm tam był. I niby wiemy dziś więcej niż kiedyś, niby dystans czasowy ułatwia bezstronne spojrzenie, ale dawne nawyki myślowe wciąż zdają się pokutować.

Powieść na naszą epokę

Vargasowi Llosie trudno byłoby zarzucić lewicowy skręt, przeciwnie: latyno-amerykańska lewica uznaje go za prawicowca, choć jest raczej liberałem, od czasu zerwania z reżimem Castra (Peruwiańczyk był jednym z pierwszych), a przede wszystkim od okresu politycznej aktywności z końcówki lat 80. z pewnością nie można kojarzyć pisarza z socjalizmem czy jego pochodnymi. Więcej nawet: w epilogu powieści, analizując fatalne skutki gwatemalskiego puczu, Vargas Llosa nazywa go „wielkim głupstwem” z kilku przyczyn, z których najważniejsza to usprawiedliwienie i wzrost antyamerykańskich nastrojów w Ameryce Łacińskiej, czego efektem była rewolucja kubańska. Fidel Castro i Ernesto Che Guevara, argumentuje pisarz, wyciągnęli logiczne wnioski z tych wydarzeń, dlatego przybrali tak radykalny kurs.

„Burzliwe czasy” można jednak czytać na jeszcze innym poziomie, nie tylko jako lekcję interpretowania historii. W końcu jest to opowieść o sile propagandy, o tym, jak oddziaływanie na opinię publiczną przez media staje się najskuteczniejszym narzędziem politycznej walki.

Historia United Fruit Company i puczu w Gwatemali wydarzyła się wiele dekad temu, ale jawi się dziś zaskakująco aktualnie: fake newsy, wielka korporacja, mocno niejasne styki władzy i biznesu, wreszcie praktyka dzielenia świata na ten lepszy i gorszy – to wszystko dzieje się dziś jeszcze powszechniej. Burzliwe czasy trwają w najlepszym. © TOMASZ PINDEL

Mario Vargas Llosa **BURZLIWE CZASY**

przeł. Marzena Chrobak, Znak, Kraków 2020

Bez asekuracji

ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Agnieszki Holland o „wróżbicie wieszczącym z moczu”, który chciał leczyć ludzi za wszelką cenę, ma swoją mroczną siłę.

W CZASACH, KIEDY KWITNIE PSEUDOMEDYCYNA i pełni się pseudonauka, podważając często autorytet profesjonalnych badaczy i lekarzy, kręcenie filmu o zielarzu-uzdrowicielu musi być obciążone ryzykiem. Zwłaszcza że premiera „Szarlatana” zbiegła się z sytuacją pandemiczną, której medycyna próbuje stawić czoła. Agnieszka Holland patrzy jednak na swojego bohatera zupełnie inaczej: jak na człowieka, który chciał być Bogiem, choć równocześnie przez całe życie mocował się ze swoimi słabościami i podłościami. I najczęściej im ulegał. Trudno kogoś takiego polubić – można jedynie przyglądać mu się z mieszaniną fascynacji i wstrętu.

Na ekranie dominuje raczej to pierwsze, bo Jan Mikołášek (1887–1973) był w istocie postacią niezwykłą. Na podstawie koloru i konsystencji moczu diagnozował na przestrzeni kilku dekad miliony mieszkańców Czechosłowacji, a wielu z nich także uleczył, aplikując im sporządzane przez siebie ziołowe mieszkanki. Nie ulega wątpliwości, że był to dar – jednak nie w znaczeniu nadprzyrodzonym.

Opowieść napisana przez czeskiego scenarzystę Marka Epsteina wskazuje raczej na wyjątkową intuicję wspartą solidną wiedzą z dziedziny ziołolecznictwa. I jeszcze na połączenie charyzmy i pychy, chwilami wręcz faustowskiej, które przyciągały do jego kliniki tłumy pacjentów z różnych klas społecznych i o różnym statusie majątkowym. Ponoć leczył się u niego nawet brytyjski król Jerzy VI (bohater filmu „Jak zostać królem”). Agnieszka Holland tego akurat epizodu nie pokazuje, ale czuje się w powietrzu wielkość legendy Mikołáški, która przetrwała u naszych południowych sąsiadów aż do dziś.

Tytułowy bohater to postać zbudowana na sprzecznościach i dwuznacznościach, rozpięta pomiędzy misją i kon-

formizmem, między kompulsywną pracowitością i gromadzeniem doczesnych dóbr, hojnym gestem i potrzebą upokarzania. Dodajmy do tego jeszcze ekstatyczną religijność i wybuchające od czasu do czasu niewytłumaczalne okrucieństwo, a dostaniemy kogoś, kto nieustannie się wymyka. Co ciekawe, grający dorosłego bohatera świetny Ivan Trojan (w młodszą wersję Mikołáški wciela się syn aktora, Josef), zanim jeszcze pojawił się u Holland w miniseriale „Gorejący krzew” (2013), wystąpił jako stary Karamazow w adaptacji filmowej powieści Dostojewskiego, wyreżyserowanej przez Petra Zelenkę. I tym razem jego bohater ma wiele z tzw. dostojewszczyzny, przekraczając w swoim życiu kolejne granice i do końca pozostając psychologiczną zagadką.

Tymczasem gdzieś za plecami bohatera przetacza się Historia. Ale prócz traumatycznego epizodu z czasów I wojny światowej „szarlatan” pozostaje dziwnie obojętny na dziejące się wokół rzeczy wielkie i straszne, jak np. masakra mieszkańców Lidic w 1942 r. To wyróżnia go na tle innych bohaterów polskiej reżyserki, zawsze jakoś aktywnych w starciu z machiną dziejowej przemocy – nazizmem, Holokaustem czy komunistycznym zniewoleniem (patrz: „Europa, Europa”, „W ciemności”, „Zabić księdza”...). Skądkolwiek wieje wiatr, Mikołášek robi swoje. Z tą samą sumiennością leczy przyszłego prezydenta Czechosłowacji Antonína Zápotockiego, co hitlerowskich dygnitarzy z Martinem Bormannem na czele. Uwikłany w kolaborację, równocześnie wspiera finansowo ruch oporu. I na dodatek jest gejem.

Nic więc dziwnego, że historia musi upomnieć się o niego – i robi to kilkakrotnie. Swoistą kłamrę stanowi proces Mikołáški z 1959 r., utrzymany w stalinowskim klimacie walki z kułactwem, ale związany także z rzekomym szere-



GUTEK FILM / MATERIAŁY PRASOWE

Ivan Trojan jako Jan Mikolášek w filmie „Szarlatan”

niem zabobonu, przypisywanym medycynie alternatywnej, nie mówiąc o orientacji seksualnej Jana. I tu ujawnia się jeszcze jedno oblicze tego antybohatera – jako ofiary historii. Jakże inna i o ileż bardziej skomplikowana to postać niż tytułowy „obywatel Jones”, nieskazitelny bohater poprzedniego filmu Holland, który poświęcił życie dla walki z zakłamaną wersją historii.

Ta wieloznaczność Mikoláška przekłada się zresztą na wielokształtność samego „Szarlatana”, którego akcja rozgrywa się w różnych epokach i w różnych rejestrach kina. Jego część powojenna bywa zwykle klaustrofobiczna, wyciemniona i wyciszona, utrzymana w wyblakłych tonacjach, podczas gdy niektóre sceny z młodości bohatera czy jego zakazany romans z młodym asystentem Františkem (w tej roli słowacki aktor Juraj Loj) skąpane są w cieplejszym świetle, mają w sobie zmysłowość i okrucieństwo życia.

Jednak cały film, pomimo obecności ucieryanych w mózdzierzu ziół różnorodnych, nie pachnie – a jeśli już, to unosi się nad nim zimny, trupi zapach. Główny bohater zaś tyleż intryguje, co chwilami odpycha. Jego postać często filmowana jest w odbiciach – w sztychach, w laboratoryjnych soczewkach – co jeszcze bardziej przydaje jej obcości, wzmacnianie przez zgrzytliwą, rozmyślnie „nieepicką” muzykę An-

toniego Komasy-Łazarkiewicza. Również subtelnie pokazany wątek miłosny, zrekonstruowany przez scenarzystę ze strzępów zachowanych informacji, z czasem odsłania swoją ciemną podszewkę.

Trudno też zaprzężyć się z kimś, kto uważa, że „możliwość wyboru to najcięższa kara”. I kto chcąc zdusić w sobie pierwotny lęk przed śmiercią, aspiruje do omnipotencji i wyraża swoje strachy w napadach agresji czy autoagresji. Zwłaszcza że w scenach tych widz zostaje pozostawiony bez żadnej asekuracji, z całą ich brutalnością, zdany na domysły i pytania.

Mimo tych wszystkich wątpliwości film o „wroźbie wieszczącym z moczu”, który chciał leczyć ludzi za wszelką cenę, ma swoją mroczną siłę. Jest na pół autentyczną, a na pół wyobrażoną biografią tragiczną, w której główną rolę tak naprawdę odgrywa nie tyle tytułowy szarlatan, co dręczące go demony – te zewnętrzne i te wewnętrzne. Dostajemy zatem połamanego portret połamanego człowieka, który chciał zawładnąć siłami natury, pozostając równocześnie w jej bezlitosnym władaniu. ©

SZARLATAN (*Šarlatán*) – reż. Agnieszka Holland. Prod. Czechy/Irlandia/Polska / Słowacja 2020. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 9 października.

WARTO ZOBACZYĆ

1. 7 śmierci Marii Callas



Opera, reż. Marina Abramović, Niemcy 2020, arte.tv, dostępne do 7 X Na deskach Bawarskiej Opery Państwowej

siedem wybitnych śpiewaczek składa hołd nieżyjącej divie, przypominając jej najszlachetniejsze arie. Są one częścią performansu inspirowanego biografią Callas i przygotowanego przez Marinę Abramović. Towarzyszą mu wizualizacje z udziałem jugosłowiańskiej artystki i Willema Dafoe.

2. Poppy Shakespeare



Dramat, reż. Benjamin Ross, Wielka Brytania 2008, Sundance TV, 10 X, 18.00

Z okazji Światowego Dnia Zdrowia Psychicznego

wyemitowany zostanie blok filmów o tej tematyce. Wśród nich jest „Królowa strachu” (2018) Valerii Bertuccelli i dokument „32 Pills” (2017) Hope Litoff, ale na uwagę zasługuje przede wszystkim „Poppy Shakespeare”, którego bohaterkami są pacjentki oddziału dziennego szpitala psychiatrycznego.

3. Agenci chaosu



Miniserial dokumentalny, reż. Alex Gibney, Javier Alberto Botero, USA 2020, HBO GO

Twórca głośnych dokumentów śledczych

(„Kurs do Krainy Cienia”, „Wynalazczyni. Dolina Krzemowa w kropli krwi”) tym razem zajmuje się sprawą ingerencji rosyjskich służb w przebieg amerykańskich wyborów prezydenckich 2016 roku. Z udziałem świadków i ekspertów nakreśla gęstą sieć zależności i manipulacji, które złożyły się na współczesny obraz cyberwojny.

4. Dylemat społeczny



Dokumentalny, reż. Jeff Orlowski, USA 2020, Netflix

W formie edukacyjnej (chwilami wręcz łopatologicznej) docudramy

twórcy filmu uświadamiają, co media społecznościowe robią nie tylko z naszymi dziećmi, ale i z dorosłymi użytkownikami sieci, sterując ich uwagą i zamieniając ich w produkty. Film pokazuje też wpływ internetu na powszechny kryzys zaufania i powolny upadek demokracji.

JAN

Klata:

Dopust i odpust



STRZEŻCIE SIĘ BANKSY'EGO NIOSĄCEGO dary. Zwłaszcza że ponoć ma na imię Robin. Oczywiście, nie wolno nam wiedzieć, że ma imię, szczególnie tak znaczące, więc cały świat udaje, że prawdziwa tożsamość jest nieznana, że po prostu jest,

który jest. Jedno wszakże jest pewne dla wszystkich, którzy Banksym nie są: jeśli Banksy pojawi się w pobliżu, lepiej się wyprowadzić – tak wynika z doświadczenia wielu ludzi. Mentalnie pojawiają się tłumnie turyści, wandalę, fani, aparat przemocy, media, słowem: masakra.

Fakt, że dzieła najbardziej znanego artysty XXI wieku są popularne, nie umknął uwadze ludzi, którzy chcą zarobić, przecież mamy kapitalizm. Uwagę światowej opinii

publicznej przykuł proces wytoczony przez artystę firmie produkującej pocztówki. Na pocztówce – jak Banksy przykazał – demonstrant rzuca bukietem kwiatów, ale za pocztówkę firma bierze pieniądze, z Banksym się nie dzieląc, Banksy'ego beczelnie monetyzując, o zgodę nie pytając. Więc skończyło się pozwem. No i odpowiedni organ europejski po długich deliberacjach orzekł, że skoro nie-wiadomo-kto jest autorem, więc prawa autorskie nie przysługują, i tyle. Zwłaszcza że nie-autor jest wandalą, bez zgody bazgrzącym na cudzej własności, zamiast na swoim własnym płótnie we własnych ramach. Rabuj zagrabione, nie ma wolności dla wrogów wolności, sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało, chuliganie, przygrozimy ci moruska, żebyś nie bruździł wywrotowo – oto miarodajna wykładnia praw autorskich XXI wieku.

A zatem każdy może zrobić cokolwiek i w majestacie prawa podpisać się: Banksy. System robi porządek z buntownikami.

Wszystko, co stałe, rozplywa się w powietrzu – jak przeniśliwie napisał pewien wielce niemodny w Polsce Wildsteinów myśliciel. Dlatego Banksy robi to, co robi. I dlatego aparat państwowy odmawia mu prawa do bycia kimkolwiek. ©

Lektor:

Sto lat temu i teraz



■ Łukasz Mieszkowski
**NAJWIĘKSZA.
PANDEMIA HISZPANKI
U PROGU NIEPODLEGŁEJ POLSKI**
Polityka, Warszawa 2020, ss. 256

„JESIENIĄ 1918 ROKU w Polsce mnóstwo ludzi było przekonanych, że do kraju powróciła czarna śmierć”. Czarna śmierć, czyli dżuma – bo objawy grypy zwanej hiszpanką w ostrym stadium istotnie ją przypominały. Zresztą, jak zaznacza autor, wybuch pandemii hiszpanki poprzedziła trzecia pandemia prawdziwej dżumy, tyle że przede wszystkim w Indiach i Chinach.

Książka młodego historyka z Instytutu Historii PAN,

przygotowującego doktorat pod intrygującym tytułem „Smoki i wszy. Polska w czasie zarazy 1918–1922”, jest pasjonującym i naładowanym faktami esejem historycznym. Pisany tu i teraz, z pełną świadomością, jak aktualny stał się temat pandemiczny. Mieszkowski stawia pytanie o powody nikłej obecności tamtej klęski w naszej pamięci społecznej. Hiszpanka to w Polsce trauma niezapisana – brak

wiarygodnych danych statystycznych, a dramat jej ofiar przesłoniły wydarzenia związane z odzyskaniem niepodległości i budową nowego państwa. Tymczasem hiszpanka była u nas nie mniej okrutna niż gdzie indziej, a na obszarach wyniszczonych wojną, ogołoconych z mężczyzn i dotkniętych nędzą, jak Galicja czy wschodnie tereny Rzeczypospolitej, szerzyła się bez ograniczeń. Nawet w miastach z nowoczesną infrastrukturą sanitarną – Warszawie, Krakowie, Poznaniu czy Lwowie – bywało nie lepiej. Mieszkowski cytuje cudzoziemca, który pisał, że w stolicy „wyczuwa się smród przy mijaniu ludzi na ulicy”. Dodajmy kryzys uchodźczy, brak znajomości zasad higieny czy po prostu – brak mydła. Wojna i pandemia – łączy je związek przyczynowo-skutkowy. „Największa”

to panorama gigantycznej katastrofy, która ogarnęła niemal cały glob i która bez wojennego szaleństwa nie przybrałaby takich rozmiarów. Oddziaływanie było zresztą wzajemne – być może na niektórych decyzjach amerykańskiego prezydenta Wilsona zawążył stan jego umysłu po nawrocie choroby, która go ostatecznie zabiła...

A co z covidem? Autor pokazuje obie pandemie w ich związku z wielkimi kryzysami: wtedy wojną światową, dzisiaj kryzysem klimatycznym. Znajduje podobieństwa w reakcjach przywódców: „Sto lat temu część z nich hiszpankę ignorowała bądź bagatelizowała, dziś jest gorzej – politycy zmyślają i kłamią”. Oczywiście medycyna poczyniła olbrzymi postęp, a masowy strach przed koronawirusem może paradoksalnie napawać optymizmem. Czy jednak ludzkość wygra? ©

PAWEŁ

Bravo:

Ogonek a sprawa ludzka



DWA DNI DOPIERO GRZEGORZ PUDA JEST ministrem rolnictwa, a już pewnie ma dosyć tej roboty. Owszem, unijnych pieniędzy i posad w agencjach do rozdania jest tam dostatek, a branża w dodatku obojętna na ostatnie kryzysowe utrapie-

nia. Wirus, nie wirus – zboże jak zawsze urosło i się z kłosa posypało, późne jabłka kraśniej w październikowej mgłę, a gęsi obrastają pokornie tłuszczem, odliczając dni do świętego Marcina. Ale jednak to trudna posada, jest się w krzyżowym ogniu sprzecznych wymagań. Z jednej strony chłop potęgą jest i basta, z drugiej różni miastowi gładzą mu, że wszystko na wsi jest nie tak i szczują na dodatek Brukselą.

Niech pan, panie Grzegorzu, sięgnie pod drugą od lewej paprotkę na parapecie. Od maja leży tam pismo, co to komisarz unijna od zdrowia i bezpieczeństwa żywności Kyriakides wysłała do ministra Ardanowskiego. Pisz tam sroga Cyprija, że Polska nic nie uczyniła, mimo napomnień, w sprawie zerwania z rutynowym obcinaniem ogonków prosiąt. Czemu się tak robi? Żeby uniknąć potem w hodowli zachowań kanibalistycznych, czyli tego, że jedna świnka drugiej ten ogon obgryza i kaleczy. Obcięcie przez człowieka załatwia radykalnie problem, ale od stron objawów, a nie przyczyn. A te przyczyny to zły stan emocjonalny i zdrowotny świń zamkniętych w przemysłowej hodowli. „Świnie mają nieodpartą potrzebę poznawania otoczenia i poszukiwania paszy (węsenie, gryzienie i żucie). Jeżeli nie mają takiej możliwości, to stają się znudzone i sfrustrowane” – czytamy w unijnej broszurze informującej, jak ograniczyć to zjawisko. Równie ważna jest kwestia temperatur przestrzeni i w ogóle tego wszystkiego, co można w sumie łatwo zmienić, ale to kosztuje dużo monet. To temat jak znalazł, by go dopisać do „piątki dla zwierząt”. Rolnicy i tak nie darują, że był pan, panie ministrze, twarzą tamtego projektu „likwidacji wsi”, więc śmiało!

Ale to nie koniec. Pani komisarz żąda postępów jeszcze w innej kosztownej i kłopotliwej sprawie – ściślejszego raportowania zatruc spowodowanych przez pestycydy. A także większych wysiłków, by promować ich coraz mniejsze stosowanie. Unijna strategia zmian w sposobie produkcji i spożycia żywności (*Farm to fork*, w wersji polskiej „od pola do stołu”) zakłada obcięcie o połowę liczby środków ochrony roślin do 2030 r. To jest potencjalnie jeszcze większy cios w tradycyjną gospodarkę niż redukcja wydobycia węgla i naszej zależności od niego, chociaż na razie słychać głównie górników.

Na pewno trzeba trochę przesadzić z naciskaniem na rolników, żeby się hamowali z pestycydami – biorąc pod uwagę arcyłudzką skłonność do upraszczania sobie życia i maksymalizacji zysków dziś kosztem ewentualnych kłopotów pojutrze. Ubocznym skutkiem tej zrozumiałej przesady jest jednak utożsamienie chemii ze złem. Łatwo przyjmujemy to za pewnik, powodowani tęsknotą za czasami, do których nie możemy wrócić, bo jest nas po prostu za dużo. Myślałem o tym niedawno, zażywając jesiennego słońca w miejscu bardzo stosownym, by poczuć nostalgię za tym, jak to kiedyś się „po ludzku” pracowało, mieszkało i jadło. Rozległe miasto-ogród w katowickim Giszowcu tchnie surrealnym spokojem, jakby ktoś przeniósł tu tolkienowskie Shire. Małe domki z miętami dla oka krzywiznami, kręte dróżki, zadbane obejścia, cienisty park i dobrze pomyślane wspólnotowe przestrzenie... ale tuż za żywopłotem czai się wielkopłytowy Morдор, betonowe osiedle, które wjechało na stalowych gąsienicach w sam środek tej sielanki.

Kiedy pierwszy żal mija, przychodzi jednak myśl, że te bloki to dla ich mieszkańców żaden totalitarny koszmar, tylko dom, lepszy czy gorszy, ale jedyny możliwy. Masy ludzi, jaka napływała do pracy, nie dałoby się przecież osiedlić, mnożąc miasto-ogród razy dziesięć. Inna sprawa, czy te bloki mogły wyglądać mniej więziennie i czy trzeba je pacykować na pastelowo – ale to nie zmienia faktu, że jako dzieci drugiej połowy XX wieku przynależymy do nich, a nie do tych domków obok. To jest nasz habitat. A świnka na nasz talerz trafia z dalekiego, nieznanego nam hangaru, przepuszczona przez łańcuch przetwórstwa i dystrybucji. Bez tego łańcucha większość z nas nie miałaby co jeść, a w każdym razie nie jadłaby w sposób, jaki uważa za właściwy i godny.

Bóg, każąc człowiekowi czynić sobie ziemię poddaną, zapewne zdziwiłby się, gdyby mu powiedziano, że to się skończy przycinaniem świńskich ogonków. Ale nawet jeśli uda nam się odejść od paru konkretnych nadużyć, nadal

będzie w cenie odwaga przyznania się, że tak już namieszaliśmy w naszej ojcowiznie, iż nie da się tego tak całkiem odkręcić. © P



MAGDALENA POTACEK / ADOBE STOCK

Kiedy w zimne wieczory po lekturze materiałów o kanibalizmie w hodowli świń chwilowo nie mam ochoty na boczek, robię sobie wegetariański wariant carbonary, a właściwie jej połączenie z mało u nas znanym, prostym, sycącym daniem pasta e patate. Kroimy 400 g obranych ziemniaków w drobną

kostkę, wrzucamy na osolony wrzątek, gotujemy ok. 10 min. Przekładamy na patelnię, gdzie na oliwie rozgrzaliśmy ząbek czosnku, dusimy dalej do pełnej miękkości z tymiankiem lub rozmarynem, podlewając odrobiną wody. Na koniec rozgniatamy je z grubsza i wrzucamy 300 g ugotowanego krótkiego makaronu, mieszamy, po czym wyłączamy ogień i dodajemy, wciąż intensywnie mieszając, krem jajeczno-serowy, taki sam jak do carbonary (3-4 żółtka dokładnie zmieszane z 60 g tartego sera pecorino aż do osiągnięcia konsystencji jogurtu). Na koniec szczodra garść czarnego pieprzu.

DO SAMOLOTU BYLE JAKIEGO

Bilety na pierwszy z pandemicznych lotów donikąd zostały wyprzedane w niecałe 10 minut.

Powściągnijmy jednak krytykę
– w pewnym sensie
większość współczesnych podróży
wiedzie donikąd.

MAREK RABIJ

WE WSPOMNIENIACH CHŁOPÓW, KTÓRZY POD KONIEC XIX wieku wyruszyli do Ameryki za chlebem, często pojawia się motyw torów kolejowych. Widok stalowych nittek, które biegły gdzieś poza linię horyzontu, będącą dotąd również granicą świata wyobrażeń okolicznych mieszkańców, budził zrazu niepokój. Z czasem jednak strach przed nieznanym ustępował miejsca ciekawości – a stąd zwykle był już tylko krok do decyzji o szukaniu lepszego życia z dala od ziemi ojców.

Widok torów zdążył nam spowszednieć. W ostatnich miesiącach mieliśmy jednak niewiele okazji do podziwiania na niebie smug kondensacyjnych rysowanych przez samoloty. Można widzieć w tych zgrabnych liniach podstęp – jak ci, którzy wierzą, że odrzutowce na rozkaz wiadomych sił rozpylają nam nad głowami serum politycznej potulności. Można też przeliczać każdą godzinę lotu odrzutowca na tony dwutlenku węgla, którym plują jego silniki – jak ci, którzy, skądinąd nie bez racji, oskarżają linie lotnicze o przybliżanie katastrofy klimatycznej.

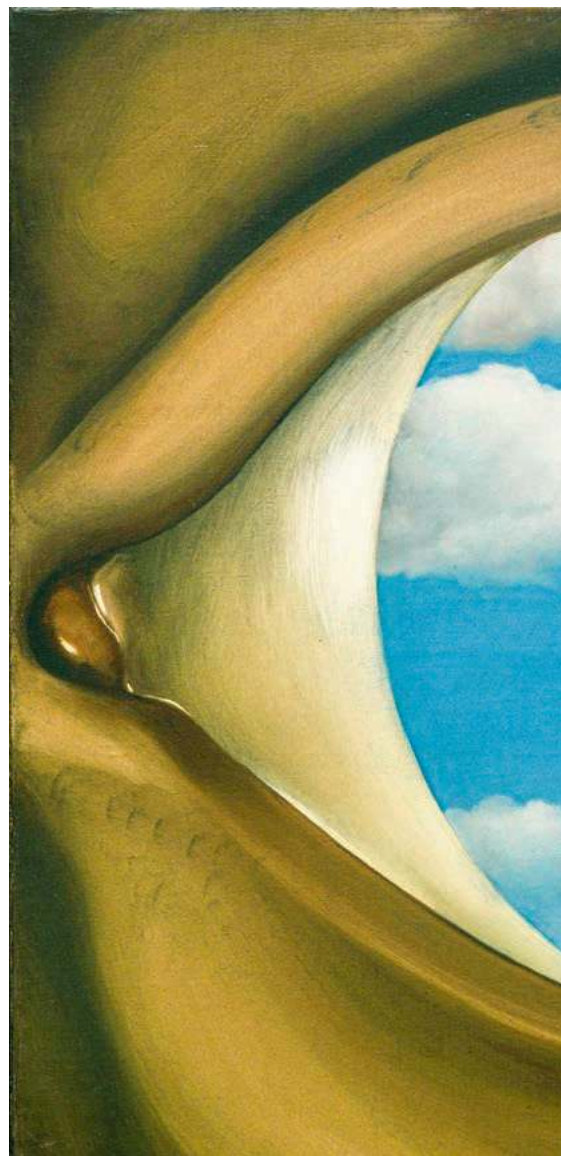
Mam jednak wrażenie, że wszyscy obserwatorzy podniebnych smug pozostawionych przez oddalający się samolot po

pewnym czasie przyznaliby, że widzą w nich coś jeszcze. Obietnicę podróży.

Pięć tysięcy mil bez celu

Siedem godzin od startu do lądowania upłynie na tym samym, co wydarzyło się wcześniej podczas tysięcy innych lotów. Ktoś zapewne zlekceważy sygnalizację „zapnij pasy” i zdesperowany pobiegnie do toalety, zanim samolot ustabilizuje kurs na wysokości przelotowej. Komuś znów zrobi się zimno i będzie wyklócać się z sąsiadem o skierowanie wylotu wentylacji w inne miejsce. Kiedy personel poprosi o wyłączenie telefonów, część pasażerów spróbuje jak zawsze zająć uwagę lekturą magazynów pokładowych, przerzucając kartki z nonszalaną stałych bywalców.

Potem zasunięte zostaną kotary oddzielające klasę ekonomiczną od biznesu oraz luksusowej kabiny klasy pierwszej. Gdy posiadacze najdroższych biletów, kosztujących nawet 2,6 tys. dolarów, będą delektować się deserem i alkoholem z karty, pomiędzy rzędami siedzeń klasy ekonomicznej (575 dolarów za miejsce) pojawią się lekko już zniecierpli-





René Magritte
„Falszywe
zwierciadło”,
1928 r.

RENÉ MAGRITTE / FINE ART. IMAGES / FORUM

wione stewardessy z wózkami pełnymi aluminiowych tacek z gorącym posiłkiem i z pytaniem, na które nigdy nie ma dobrej odpowiedzi: „Kurczak czy wołowina?”.

Lot australijskich linii Qantas, który 10 października wystartuje z lotniska w Sydney, pod jednym względem będzie jednak inny od wszystkich. Po siedmiu godzinach, zakreśliwszy pętlę widokową nad Wielką Rafą Koralową i australijskim interior, maszyna wyląduje na tym samym lotnisku, z którego wystartowała.

„Prawdopodobnie była to najszybsza sprzedaż w historii naszej firmy” – mówił australijskim mediom wyraźnie poruszony przedstawiciel Qantas. 134 miejsca na pierwszy w historii firmy lot donikąd sprzedady się w niespełna 10 minut, ku wielkiej radości przewoźnika, który – jak wszystkie linie lotnicze świata – walczy teraz o przetrwanie. Kolejne prognozy tegorocznych wyników finansowych firmy nie mogą znaleźć dna. Aktualnie zarząd Qantas zapowiada prawie 3 mld dolarów strat i spadek przychodów rok do roku co najmniej o 21 proc. – ale przy optymistycznym założeniu, że pod koniec roku nad branżą lotniczą zaświeci jednak słońce. Nawet w tym, coraz

mniej realnym scenariuszu firma do grudnia będzie jednak zmuszona pożegnać się z 6 tysiącami pracowników.

Własne „dzienniki roku zarazy” prowadzą szefowie innych linii. Z polskiego LOT-u dobiegają sygnały o brakującym miliardzie złotych. Niemiecka Lufthansa tylko w pierwszym kwartale straciła 1,7 mld euro, francusko-holenderski sojusz Air France KLM – 2,61 mld. British Airways – 1,36 mld funtów. W skali całej branży spadek przychodów w porównaniu z rokiem ubiegłym sięgnie zapewne 419 mld dolarów. W dodatku analitycy ruchu lotniczego nie zostawiają złudzeń, że na powrót popytu na bilety lotnicze do poziomu sprzed pandemii trzeba będzie poczekać co najmniej do wakacji 2024 r.

Ludzie boją się latać – podkreślają ze smutkiem szefowie linii. To prawda. Ale też większości z nas nie opuszcza szczenięca fascynacja podróżami lotniczymi, której posmakowaliśmy, latając zabawkowym samolotem nad dywanem w pokoju rodziców – w naszej wyobraźni dywan stawał się kółkiem barw Ziemi widzianej z wysokości 10 km. Gdybyśmy uczciwie pogrzebali w pamięci, odnaleźlibyśmy w niej także wspomnienie tamtej mieszanki strachu, zawstydzenia



→ i ekscytacji, która towarzyszyła nam przed pierwszą podróżą prawdziwym samolotem. To właśnie ta część opowieści o lataniu, która wlewa nadzieję w serca szefów linii lotniczych. Jeśli przez pandemię nie można latać w określonym kierunku, może by tak polatać dla samego latania? Wbrew pozorom, robimy to przecież od dawna.

Gra w klasy

Zuchwały czyn Ikara wydaje się błahostką w obliczu perwersji, jakiej dopuszczamy się, wsiadając do skrzydlatej tuby z aluminium i tworzyw sztucznych, które cienką ścianką odgradzają pasażerów od 50-stopniowego mrozu na zewnątrz.

Raczymy się kolacją szącąc wino, oglądamy film w pokładowym systemie rozrywki i jednocześnie pędzimy 11 km nad ziemią z prędkością dochodzącą chwilami do tysiąca kilometrów na godzinę. Ryzyko ukarania za taką zuchwałość wynosi w dodatku – jak szacuje holenderska Flight Safety Foundation – jedynie 1 do 2,5 mln lotów, a w przypadku korzystania wyłącznie z dużych i renomowanych linii zaledwie 1 do 29 mln. Słowem, łatwiej trafić szóstkę w totolotka, niż na listę ofiar katastrof samolotowych.

Lotnicze bóstwa są dziś nie tylko łagodne, ale też hojne. Najgorliwszych wyznawców, spędzających w podróży po kilkaset godzin rocznie, wodzą na pokuszenie obietnicą raj w vipowskich salonikach, oddzielną odprawą i darmowym transportem na lotnisko, a w zamian za ofiarę z biletu klasy biznes lub pierwszej gotowe są zesłać na każdego łaskę superkomfortowej podróży. Nikt nie zamierza tu wysłuchiwać narzekania Thomasa Piketty'ego na nierówności, bo przecież właśnie o ich podkreślenie chodzi. Nieprzypadkowo personel pokładowy, który zawiaduje wsiadającymi pasażerami, przepuszcza tych z ekonomicznej przez kabinę klasy biznes, aby przez kilka lub kilkanaście kolejnych godzin lotu męczyło ich wspomnienie komfortu, jakiego tym razem zaznają ich towarzysze podróży.

Księgowi oczywiście dostrzegą w tej zabawie regułę Vilfreda Pareta, bo w zyskach z przeciętnego lotu międzykontynentalnego jakieś 70-80 proc. stanowią wpływ z 15-20 proc. miejsc w najwyższych klasach rezerwacyjnych. Przykładowo: za trwającą niemal dobę (z postojem w Dubaju) podróż na trasie Warszawa-Sydney zapłacić trzeba w jedną stronę minimum 3,5 tys. zł – przy założeniu, że niestraszne nam kilkanaście godzin poniewierki w klasie ekonomicznej. Za pierwszą klasę w tym samym locie przewoźnik zażyczy sobie co najmniej 14 tys. zł w jedną stronę, oferując w zamian komfortową jednoosobową kabinę z fotelem zmieniającym się w pełnowymiarowe łóżko, możliwością wyboru oświetlenia z palety kilkudziesięciu barw, prywatnym barkiem, dostępem do internetu i szeregiem innych udogodnień.

Księgowość zostawmy jednak buchalterom. Dla tysięcy pasażerów tradycyjnych linii gra w klasy rezerwacji stanowi dziś co najmniej tak samo ważny element zabawy w latanie, jak widoki z okna czy atrakcje czekające w miejscu przylotu. Kupując bilet, na kilka lub kilkanaście godzin nabywamy również nowy, tymczasowy status społeczny. Wśród stałych bywalców lotnisk zdarzają się nawet gotowi na podróż wyłącznie po to, aby zachować srebrny, złoty lub platynowy status w programie lojalnościowym przewoźnika. To ludzie gotowi polecić – w wymiarze praktycznym, nie geograficznym – właśnie donikąd.

Nic więc dziwnego, że pokłady samolotów i hale odlotów wielkich lotnisk z ich licznymi poczekalniami to dziś jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie tak ostentacyjnie lekceważy się postulaty rewolucji francuskiej. Wolność? Owszem, ale w granicach wyznaczonych regulaminem rezerwacji. Spróbuj, biedny posiadacz biletu w klasie *economy saver*, dołączyć do pasażerów z biznesu i *first class*, wysiadających w pierwszej kolejności. Równość? Naturalnie, ale nie w dostępie do posiłków, nie wspominając o pokładowej karcie win. Braterstwo? Nie w poczekalni klasy pierwszej jednego z arabskich przewoźników, gdzie pasażerowie po masażu i spotkaniu z profesjonalnym golibrodą mogą zapalić cygara, posłuchać koncertu fortepianowego na żywo, zjeść posiłek *à la carte* lub po prostu uciąć sobie drzemkę w istic sułtańskim komforcie. „Bracia” z klasy ekonomicznej mogą w tym czasie najwyżej wybrać, czy przed następnym lotem prześpią się na siedząco, czy jednak na podłodze.

Linie lotnicze z premedytacją kultywują w ten sposób arystokratyczny rodowód, który wywodzi od luksusowych liniowców kursujących w XIX i na początku XX w. pomiędzy Europą a Ameryką. Obserwując zapchane do niedawna lotniska, trudno uwierzyć, że jeszcze pół wieku temu latanie było przywilejem nielicznych. Momentem przełomowym w dziejach branży okazał się rok 1978, gdy prezydent Jimmy Carter podpisał Airline Deregulation Act, który znacząco poluzował kryteria startowe dla branżowych debutantów.

Na amerykańskim niebie z miejsca rozgorzała wojna cenowa, która jakość serwisu pokładowego zepchnęła na trzeci plan. Pomiędzy 1978 a 2010 rokiem średnia cena biletu lotniczego spadła w USA z prawie 600 do 320 dolarów. Jakość na ilość zaczęli zamieniać także kolejni przewoźnicy z Europy. Samoloty z podniebnych odpowiedników luksusowych liniowców zmieniły się w autobusy, ku rozpaczy branżowych wyjadaczy pokroju Thora Johnsona, wieloletniego szefa linii PanAm, który wspominał z rozrzewnieniem czasy, gdy pasażerowie do samolotu ubierali się jak do opery.

„Dziś latanie może kojarzyć się ze wszystkim poza odświeżnością” – pisze z kolei Keith Lovegrove w książce „Airline: Style at 30,000 Feet”. Brytyjski fotograf i projektant wychował się na lotnisku, jego ojciec był bowiem pilotem linii pasażerskiej w złotych czasach tej branży, czyli w latach 50. i 60. zeszłego wieku. Szukając przedmiotu-symbolu współczesnego lotnictwa pasażerskiego Lovegrove wskazuje na dmuchaną poduszkę zakładaną na szyję przez pasażerów klasy ekonomicznej ściśniętych jak kurczaki na fermie. „Dla czasów, gdy latał mój ojciec, byłyby to zapewne kryształowa popielniczka lub srebrna taca, na której podniebne hostessy (termin stewardessa przyjął się później) serwowały pasażerom wytworne ordewry” – kwituje.

W każdym dobrym towarzystwie prędzej czy później pojawia się jednak *enfant terrible*. W ten oto sposób lotniczy światek poznał Michaela O'Leary'ego, prezesa linii Ryanair i architekta jej spektakularnego finansowego sukcesu. Literatura poświęcona modelowi biznesowemu irlandzkiego przewoźnika sama w sobie stanowi sporych rozmiarów bibliotekę. Nam wystarczy w tym miejscu konstatacja, że sukces Ryanaira polegał na prostym zabiegu, jakim było całkowite odrzucenie bagażu arystokratycznych asocjacji ciągnących się za lotnictwem.

Podniebną ucztę, którą tradycyjne linie lotnicze nadal próbują serwować klientom, Ryanair zmienił w bar szybkiej ob-



Bar na pokładzie samolotu Airbus SE A380-800 Emirates Airline

sługi. Lista dopłat w cenniku irlandzkiej firmy sugeruje wręcz, że z premedytacją zadaje pasażerom cierpienia, by zechcieli sobie ulżyć, sięgając jeszcze raz po kartę kredytową. Pierwszeństwo wejścia na pokład? Bagaż podręczny większy niż szaszetka? Dodatkowo miejsce na nogi? Irlandczycy na wszystko mają jedną odpowiedź: płacić lub zaciśnij zęby.

Mogę, więc lecieć

Sukces, z którym obnosi się O'Leary, jest jednak również dowodem na to, że coraz rzadziej podróżujemy, bo naprawdę musimy. Coraz częściej koronnym argumentem za rozpoczęciem podróży jest samo istnienie przewoźników, którzy w ciągu najwyższej 48 godzin potrafią przetrzymać nas w dowolny punkt kuli ziemskiej. Do tego za kwotę, która nie zrujnuje domowego budżetu, ani nie wymaga długiego oszczędzania.

Ileż wakacyjnych podróży biegnie dziś trasą wyznaczoną nie przez rekomendacje bedeków, lecz przez newslettery biur podróży i linii lotniczych kuszących promocjami na wybrane połączenia! Bali za 900 zł. Indie za 1,3 tys. zł. Australia za jedyne 4 tys. w obie strony! Samo polowanie na tanie bilety zmienia się w pełnoprawną atrakcję. Mozaika współczesnego rynku turystycznego, na którą rokrocznie składa się ponad 1,3 mld podróżnych i prawie 40 mln lotów, na pewno byłaby uboższa, gdyby egzotyczna podróż wymagała większego nakładu przygotowań, pieniędzy i czasu, niż trzeba dziś do dokończenia rezerwacji *online*.

Współczesnego turystę – pisze szwedzka reporterka Jenne Dielemans w głośnym zbiorze „Witajcie w raju. Reportaże o przemyśle turystycznym” – od podróżnika różnią właśnie oczekiwania. Ten ostatni wyrusza w podróż, z góry zakładając, że jej pełnoprawnym składnikiem będą niewygody, trudności logistyczne, a może nawet niebezpieczeństwa. Turysta chce po prostu odpocząć i miło spędzić czas. Ta w gruncie rzeczy dość oczywista obserwacja nabiera znaczenia, gdy dodatkowo zdamy sobie sprawę, że miejsc do prawdziwego podróżowania jest na świecie coraz mniej.

Mniejsza nawet o brak białych plam, za którymi tęsknią współcześni globtrotterzy śniący o przygodach Livingstone'a czy choćby o awanturze na miarę przygód Tomka Wilmowskiego z książek Alfreda Szklarskiego. Białe plamy poznikały przede

Białe plamy poznikały przede wszystkim w naszych głowach. Nie da się już wyruszyć w podróż, nie ciągnąc za sobą ogona skojarzeń i obrazów z internetu, telewizji czy reportaży.

Dziś możemy być co najwyżej post-podróżnikami.

wszystkim w naszych głowach. Nie da się już wyruszyć w podróż, nie ciągnąc za sobą ogona cytatów, skojarzeń i obrazów z internetu, telewizji czy reportaży autorstwa tych, którzy byli przed nami. W tym znaczeniu wszyscy jesteśmy obecnie najwyższej post-podróżnikami, bo nawet jadąc po raz pierwszy w jakiś zakątek świata, możemy liczyć góra na konfrontację wcześniejszych wyobrażeń z rzeczywistością.

Owszem, nawet takie zderzenie bywa cennym doświadczeniem. Szkopuł w tym, że coraz częściej owocuje rozczarowaniem, gdy okazuje się, że na miejscu jest po prostu tak samo jak gdzie indziej. Świat zbiegł się pod wpływem globalizacji, co początkowo cieszyło nas niepomniernie, bo w nowym wymiarze łatwiej było go ogarnąć. Dziś dostrzegamy drugą stronę. Centra azjatyckich metropolii wciąż wydają się egzotyczne w porównaniu z uporządkowanymi aglomeracjami Europy Zachodniej. Ale czym tak naprawdę Bangkok różni się dziś od – powiedzmy – Kuala Lumpur? W hotelowym resorcie na Dominikanie wystrój wnętrza, a nawet jedzenie bywa łudząco podobne do oferty ośrodków na Filipinach. Wszędzie leci też taka sama (o ile nie ta sama) muzyka, no i wszędzie można porozumieć się po angielsku. Tego oczekują przecież nastawieni na komfort klienci-turyści.

Nic dziwnego, że w krajach żyjących głównie z turystyki składa się dziś na ołtarzu z napisem *all inclusive* nie tylko środowisko naturalne, ale nawet regionalną tożsamość. Antropologzy badający życie codzienne górskich plemion Nepału w poważnym tonie piszą, że tamtejszymi społecznościami rządzą trzy wielkie religie: buddyzm, himalaizm i turystyka.

Evelyn Waugh w noweli „Scoop” już przed II wojną światową szydził z korespondentów, którzy nie palą się do relacjonowania konfliktów zbrojnych w regionach pozbawionych porządnej infrastruktury hotelowej. Brytyjski pisarz w gruncie rzeczy przepowiedział kierunek ewolucji współczesnej turystyki. Jeśli wszystko nam jedno, dokąd polecimy, dlaczego w sumie nie polatać w kółko, delektując się w tym czasie smakołykami, będącymi częścią rytuału podróży lotniczej?

Kto wie, może dzięki temu na nowo rozsmakujemy się w lataniu jak przed pandemią? Bez tęsknoty nie oderwalibyśmy się przecież od ziemi.

© P MAREK RABIJ

STANISŁAW

Mancewicz:

Planeta Placek



NASTROJE NIE SĄ RÓŻOWE, MOŻNA WRĘCZ rzec, bez silenia się na przenośnię, że są złe. Poczucie bezpieczeństwa mamy coraz mniejsze i gdzie nie spojrzeć – popatrzmy – tam się coś przykrego czai. Putin ze swymi truciznami, za morzami

przygnębiająco pomysłowy Trump, wirus, w którego istnienie nie wierzy większość narodu polskiego, bądź – tu blisko – Jarosław Kaczyński, w którego z kolei owa większość wierzy, i dla którego nie ma żadnych granic, jeśli idzie o rozwiązania ustrojowe, systemowe i personalne. On zaiste, jeśli by spróbować zdefiniować go krótko – jest czystym kaprysem. Nie ma kapryśnego władcy, który by nie figurował w indeksach nazwisk dowolnej antologii anegdotek. Czyny kapryśnych władców są dobrze utrwalone, a koń mianowany senatorem jest ich symbolem. Ostatnie rozdanie tek ministerialnych w Polsce, od lat zresztą ich rozdawaniem zajmujące się właśnie Jarosław Kaczyński, jest rzecz jasna z tego gatunku.

Zacznijmy rytualnie, czyli narzekaniem. Oto niech się radują wszyscy niemający akurat dzieci w wieku szkolnym. Polska szkoła nigdy nie była nowoczesna, nawet w XIX wieku uchodzącym w każdym podręczniku za wiek nowoczesności. Dziś, w rozpoczynającej się dobie zarządzania nią przez ministra Czarnka z Lublina, ma szanse stać się modelem na skalę planetarną. Mamy tu na myśli wyłącznie planety co najmniej tak płaskie jak placki ziemniaczane. Ktoś tu powie, że przesadzamy, że takich planet nie ma. Otóż są. My, Polacy, mieszkamy na takiej planecie i się tego ani nie wypieramy, ani nie wstydzimy. Co więcej, nigdy nie wychylamy się przez

barierkę na brzeжку usmażonego placka tego, by spojrzeć na spód jego.

Ktoś tu może zbyt optymistycznie i raczej na przekór naszym mniemaniom powie, że jednak opinie Czarnka z Lublina były na ogół rozumiane na opak. Że nie ma co się czeplić. Co także ciekawe: on sam tłumaczy, że to, co ongiś powiedział – na przykład na temat praw człowieka – zostało brutalnie wyrwane z kontekstu. I właśnie o tym, o wyrwaniu z kontekstu, chcielibyśmy dziś napisać kilka zdań osadzonych mocno w kontekście. Zostawimy w tym celu pana Czarnka na boku. Zaczekamy sobie cierpliwie na jego bezkontekstowe opinie, jak się tylko ów humanista umości na swej nowej posadzie, znów – to szkoda – za nasze pieniądze. Nawiasem, a będzie to uwaga w rodzaju wycia do księżycy: jak to jest, że tego typu figury nigdy nie prowadzą swoich biznesów, tylko zawsze żyją z pieniędzy publicznych? To naprawdę jest przykre. Człowiek nieodporny, sądzący naiwnie, że pieniądź publiczny należy wydawać rozważnie i z sensem, zawsze ma w takich razach kłopot.

Na koniec wypada rzucić spostrzeżenie o charakterze szerszym. Naprawdę żyjemy w czasach wypowiedzi wyrwanych z kontekstu. I w tym jednym sensie nasz świat – paradoksalnie – jest bezpieczniejszy niż kiedykolwiek. Bo bezkarność w mowie publicznej jest teraz absolutnie powszechna. Popatrzmy, że żaden polityk, mówca, literat bądź dajmy na to kompozytor, ktokolwiek wyrażający się publicznie, przedstawiający swe myśli w dowolnej formie, przez sto wieków albo lepiej nie wypierał się ich twierdząc, że został źle zrozumiany. Brał na klatę odpowiedzialność za swe opinie, i tyle. Bez względu na to, czy był mądry, głupi, czy się pomylił, czy go z tej okazji wpisywano bądź też usuwano z podręczników szkolnych. Dziś tak już nie ma.

Finiszem każdej wypowiedzianej, a zauważonej dziś bredni jest chroniczne zaprzeczanie i twierdzenie, że kretynizm stał się kretynizmem tylko dlatego, że został wyrwany z kontekstu. To jest – uczulamy – zawsze nieprawda. Ktoś nam zarzuci, że zabawiamy się tu zjawiskami oczywistymi, owszem, chcemy jednak zaznaczyć, że jesteśmy dopiero na progu epoki wyrwanej z szerszego kontekstu. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



MINISTER EDUKACJI PRZEDSTAWIA NOWE ABECADŁO.

Lekcje czytania na Copernicus Festival

Spośród wszystkich wynalezionych przez człowieka form ekspresji i komunikacji literatura wydaje się najściślej związana z czasem.

W ramach Copernicus Festival, którego bieżąca edycja odbywa się pod hasłem „Czas”, organizujemy 5 „Lekcji czytania” prowadzonych przez **Grzegorza Jankowicza**.

Każda będzie omówieniem innej wizji czasu przedstawionego w literaturze.

Wśród proponowanych lektur znajdują się:

„Historia twojego życia” Teda Chianga, „Tajemny cud” Jorge Luisa Borgesa,

„Czas się zwija” Margaret Atwood, „Tajny agent” Josepha Conrada,

„Dzień za dniem” Clarice Lispector.

Wszystkie „Lekcje...” odbywają się online o godz. 11.00 od wtorku 6 października do soboty 10 października na naszym profilu [f/LekcjeCzytania](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania)

Więcej informacji o programie festiwalu na www.copernicusfestival.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ORGANIZATORZY:



PRZY WSPARCIU:



PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKÓWA



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



TEMPLETON
RELIGION
TRUST

weź, prenumeruj!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



GEERS  DOBRY SŁUCH

REKLAMA

BEZPŁATNE BADANIA SŁUCHU

Profesjonalny dobór aparatów słuchowych i ochronników słuchu. Możliwość bezpłatnego testowania aparatów słuchowych.

Umów się na konsultację ze specjalistą:

 **800 889 400**

Jesteśmy dostępni w całej Polsce!

Weź udział w naszym jesiennym Konkursie

Szczegóły na stronie: www.geers.pl

